WRZOS

88 błędy gram

'jak to mówi dialektem 97, 14

MARYA RODZIEWICZÓWNA

WRZOS

POWIEŚĆ

WARSZAWA
W DRUKARNI SYNÓW ST. NIEMIRY
PLAC WARECKI 4
1903

231

klimat skojarzeń artyst.-i za który bierze odpowiedzialność już wiek, lecz jej epoka

Sienkiewiczowska rubaszność i [illegible] stylu 250 – to było, było znajome, przeniosło spopularyzowane konwencje na jeszcze bardziej płaskie i „chwytliwe" tematy

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Марта 1902 года.

36

I

Wszystko się stać może, ale żeby się Andrzej Sanicki miał żenić, to szczyt, co plotka wymyślić zdolna.

A pani Celina?

Gdy ta wieść gruchnęła po mieście, każdy ramionami ruszył — nawet nie zaprzeczał — był to absurd.

Plotka jednak nie cichła, owszem utrwaliła się. Mówiono, że podobno pan Andrzej z ojcem się pojednał, że kawalerskie swe mieszkanie zwija, że ojciec, pan prezes, ustępuje mu pierwsze piętro w swej kamienicy na Marszałkowskiej, że widziano ich obu, pod rękę, wychodzących od jubilera. Słowem dziwa.

Więc zaczęli znowu wszyscy pytać jednogłośnie:

— Cóż na to pani Celina? Żyje i pozwala?

— Żyje, pozwala i śmieje się! — uspokoił malarz Józef Radlicz, który u pani Celiny bywał co piątek.

Saniccy byli szeroko znani; ojciec powaga prawnicza, syn zdolny technik. Koło znajomych było tedy szerokie—gawędom nie było końca.

Andrzej po śmierci matki z ojcem się poróżnił; doszło do zupełnego zerwania. Jedni mówili, że im poszło o spadek — nieboszczka była bardzo bogatą — drudzy, że już wtedy ojciec wymagał, by syn z panią Celiną zerwał.

Odtąd minęły trzy lata. Ludzie już się oswoili z zerwaniem, z panią Celiną, z trochę hulaszczem życiem pięknego Andrzeja, gdy wtem ta wiadomość! Saniccy znaleźli się znowu na ustach całego miasta.

Doktór Morawski, stary znajomy prezesa, z którym co wieczór grywał w winta i należał do zaufanych, był oblegany przez panie swoje w domu i przez wszystkich znajomych.

Ale doktor był to kpiarz i dowcipniś—każdemu pod sekretem powierzał co innego. Wreszcie oburzył na siebie nawet żonę.

— Od dwudziestu lat nie zdradziłam ani razu twego zaufania—i tak mi płacisz!—wołała rozżalona.

— Od dwudziestu lat ani razu nie powierzyłem ci cudzego sekretu i dlatego żyję w zgodzie z całym światem. Znasz prezesa, bywa u nas—spytaj go sama. Ja nie jestem telefonem!

Spytać prezesa nie było łatwo, bo się od pewnego czasu nie pokazywał, ani u doktorów,

ani u innych znajomych. Mówiono, że na wieś wyjechał. Napadły tedy panie na Radlicza, który się z Andrzejem przyjaźnił.

— Naprawdę się żeni? Z kim? Gdzie?

— Daleko. Ze wsi bierze jakąś topolę, czy stokroć.

— Ze wsi, z daleka! Chyba. Tutaj nie mógłby się ożenić—mając taką reputację.

Malarz się śmiał, złośliwemi oczyma wodząc po paniach. Nie wierzył temu—ale nie przeczył.

— Poznał ją w karnawale zatem. Kto to być może? Poczęto przypominać wszystkie importowane ze wsi na karnawał panny.

— Niech się panie nie trudzą. Na karnawale nie była—i on jej wcale nie zna.

— Awantura! Więc prezes zwyciężył — postawi na swojem—żeni go! Biedna ofiara.

A Radlicz wciąż się uśmiechał złośliwie — równie nie wierząc politowaniu, jak i poprzedniemu ostracyzmowi.

Że zaś to był piątek, więc krótko bawił, bo mu śpieszno było do pani Celiny na wieczorek.

Pani Celina, młoda rozwódka po bogatym bankierze, mieszkała sama na Erywańskiej i prowadziła dom otwarty, gdzie rolę gospodarza nie tytularnego spełniał od lat pięciu Andrzej Sanicki.

Płeć piękną, oprócz gospodyni, przedstawiało kilka jej kuzynek tylko; za to mężczyzni schodzili się tłumnie. Pani Celina była przepysznie

piękną, śpiewała po mistrzowsku, umiała bawić gości rozmową dowcipną — pozwalała się innym bawić swobodnie.

Gdy Radlicz wszedł, zebranie było kompletne. W gabinecie grano w winta, w salonie deklamował najlepszy komik, a roiło się od dziennikarzy, artystów, ludzi najzdolniejszych i najweselszych, wśród których majestatycznie, przesuwała się pani Celina.

— Witam!—podała mu po koleżeńsku rękę.— Ma tam pan co nowego?

— Mam miny ludzi, co się dowiadują o małżeństwie Andrzeja. Ale może to za ostro będzie tak wobec wszystkich?

— Ależ owszem. Przygotowałam panu papier i ołówki—tam pod lampą. Smaruj pan, a żywo!

Śmiała się, ubawiona, prowadząc go do stołu.

— Andrzeja niema?—spytał oglądając się.

— Za wcześnie. Przecie teraz patryarchalnie obiaduje z tatkiem—o szóstej.

I znów się śmiała.

Radlicz witał znajomych — i wnet w koło jego osoby i ołówka zebrała się spora grupa.

Rysował i tekst układał. Wybuchy śmiechu towarzyszyły tej robocie, a komik kończył deklamację; do fortepianu usiadła pani Celina, i nie tracąc z oczu towarzystwa, i nie przestając rozmowy z młodym Maksem Unfriedem, brała luźne akordy. W gabinecie rozpoczęła się

ostra kłótnia dwóch graczy, z jadalni rozlegał się szczęk kryształów.

W tej chwili za krzesłem Celiny, w drzwiach gabinetu stanął gość ostatni, i rozglądał się po sali.

Był młody, bardzo wysoki i zgrabny. Miał twarz suchą i nerwową, ciemno-blond, kędzierzawą czuprynę nad szerokiem czołem, oczy ocienione mocno, zuchwałe, usta szydercze. Był bardzo przystojny, ale wyraz miał niemiły. Wypisał się na tej twarzy przesyt i duma, gwałtowność żądz, bezwzględność charakteru, ledwie pokryte światową ogładą.

Bardzo elegancki i szykowny, ubrany wykwintnie był to właśnie bohater chwili—Andrzej Sanicki.

Wzrok jego, trochę chmurny, obiegał salę, spoczął wreszcie na pani Celinie i zamigotał ogniem.

W tej chwili ona się obejrzała, jakby poczuła jego spojrzenie, i nie przerywając gry, skinęła mu głową.

Maks Unfried, dobrze wytresowany, wstał natychmiast, podali sobie dłonie, i Sanicki zajął jego miejsce. Chwilę rozmawiali we troje, banalnie, potem Maks dyskretnie zajął się sprzeczką wintową i zręcznie się wycofał.

— Wcześnieś się zwolnił?—rzekła Celina. Muzyka głuszyła rozmowę.

— Za wcześnie. Niecierpię tych piątków. Czemu nie podają kolacji? Głowa mnie boli szalenie!—rzucał przez zęby gniewnie.

— Mogłeś się tu nie pokazywać, iść wprost do buduaru!

— Tak, żeby mi tam znowu wpadła Bella, jak wtedy.

— Nie zdziwiła się wcale.

— Ale ja byłem w głupiej pozycji. Nie lubię tego.

— Widzę, że cię głowa boli, ale to nie z mojej winy—więc mi nie grymaś.

— A komuż?—uśmiechnął się gorąco.

— Tak—to i owszem. Lubię szampan—nie znoszę wermutu. Cóż tam nowego na łonie rodziny?

— Ano—jutro jedziemy!

— Już? Napiszesz do mnie zaraz po przybyciu?

— Naturalnie.

— A nie skłamiesz?

— Dlaczego?

— Może ci się ona podoba.

— To napiszę. Albo to pierwszy raz, że mi się ktoś podobał. Wiedziałaś o tem pierwsza.

— To dobrze. Cóż ojciec?

Andrzej brwi zmarszczył. Twarz jego przybierała wtedy tak twardy wyraz, że pytający radby był słowo cofnąć. Pani Celina poprawiła się.

— Musi być rad, i o mnie raczy zapomnieć.

— On o tobie—ty o nim też zapomnij!

Chwila milczenia. Akordy łączyły się w śpiew. Andrzej rozpogodził twarz. Radby słuchał, ale śmiechy przy stole przeszkadzały mu.

— Co tam Radlicz wyprawia?—spytał niecierpliwie.

— Rysuje karykatury ze znajomych, którzy się dowiadują o twem małżeństwie.

— Zmarnuje się na tych głupstwach próżniak! Nie graj—nie śpiewaj, aż zostaniemy sami.

— Jesteś dzisiaj, jak pokrzywa. Boję się ciebie!

Spojrzała na niego zalotnie. Z pomiędzy purpurowych warg błyskały zęby—oczy pałały.

Wstał gwałtownie—spojrzał po ludziach.

— *Quelle corvée*—szepnął przez zęby.

W tej chwili lokaje otworzyli drzwi jadalni, oznajmili kolację, uczynił się rumor, Andrzej, już zupełnie *correct*, począł się witać na wsze strony.

Było jednak coś takiego w nim, że go nikt nie spytał o osobiste sprawy, nikt wzmianki nie uczynił, nie zażartował, nawet fertyczna i śmiała Bella, wesoła rozwódka, która się nikogo i niczego nie lękała, której dowcipy były ostre, zachowanie swobodne, i z którą Andrzej był na stopie koleżeństwa.

Po kolacyi goście poczęli się przerzedzać, gracze kończyli rachunki, panowie odprowa-

dzali panie, świece dopalały się w kandelabrach, zegary biły późne godziny. Jak zwykle, pozostali najdłużej: Radlicz i pani Bella.

Pani Bella zasiadła do fortepianu i poczęła swawolne francuskie szansonetki, którym malarz wtórował. Pani Celina otworzyła drzwi na balkon. Kłąb świeżego powietrza wpadł do salonu i począł zganiać kłęby dymu tytuniowego.

Na balkon za panią Celiną wyszedł Andrzej. Na ulicy było już pusto—naprzeciw, w kamienicy wszystkie okna już ciemne. Nareszcie byli sami, bo o tych dwoje w salonie się nie troszczyli.

Pani Bella grała hałaśliwie, uszczęśliwiona bezwstydem piosenek, Radlicz przywiózł świeżo z Paryża nowy ich zapas...

— Musi mi pan tekst przepisać, ten o rakach szczególnie — zawołała, śmiejąc się jak szalona.—Chodźmy już! Obowiązek spełniony!

— Może dziś mam przepisać, jeżeli wolno odprowadzić—rzekł.

— A naturalnie, dziś, dziś! — odparła, zbierając rękawiczki.

Lokaj za nimi zamknął i zaryglował drzwi i gaz w przedpokoju zgasił. Oni zeszli, nucąc na schodach. Ulice były puste i głuche, ruszyli pod rękę, pieszo, na Mazowiecką.

— Ciekawam, okropnie ciekawam epilogu... tam—rzekła pani Bella — Cesia głupstwo robi, że to lekko traktuje!

— Bo może i nie bardzo dba—zaśmiał się Radlicz.

— Gorzej, bo zanadto sobie wierzy. Mówiłam jej: strzeż się sakramentu! Wyśmiała mnie. A no, zobaczymy.

— Ja tylko ciekawym argumentu, jakiego prezes użył, by syna do małżeństwa doprowadzić, a tego właśnie nikt się nie dowie.

— Ba, Cesia nawet nie wie. No, tej młodej pani życia nie zazdroszczę, jeżeli będzie kochała.

— Czyż koniecznie ma kochać męża?

— Takie panny ze wsi są zwykle karmione chlebem czarnym i... cnotami. Ogromnie się cieszę z tego skandaliku... Odegramy w nim rolę—zobaczy pan! Czy aby ładna będzie?

— Nawet tego pani Celina nie ciekawa. Wspomniałem — ramionami ruszyła — *je m'en fiche!*—rzekła. Co prawda nawet Andrzej tego nie wie.

— Cesia jest dziwnie lekkomyślna w tym razie. Zdradzić można dla najbrzydszej... żony, a najpiękniejszą dawną dla najszpetniejszej nowej!

— „W miłości niema zdrady, jest tylko wieczny ruch“ — zadeklamował Radlicz, dzwoniąc do bramy.

I tak tych dwoje najzaufańszych, niewiele więcej wiedziało, od reszty znajomych — nie wiedziała też słowa zagadki pani Celina.

Przed kilku miesiącami, bez żadnego wstępu, bez wahania, bez widocznej zmiany usposobienia, Andrzej pewnego wieczoru rzekł spokojnie:

— W tym roku mam się ożenić.

Ona, zawsze panująca nad sobą, zawsze przytomna, rzuciła obojętnie:

— Tak? A wybór uczyniony?

— Ja wybrałam raz na zawsze — ciebie. Żonę—wybiera mi ojciec.

— Ojciec. Więc pogodziliście się?

— Nigdyśmy się nie kłócili. Ludzie o tem mówili, my nigdy! Naszych spraw rodzinnych nie powierzamy nikomu. Mówiłem ci, że może na uczucie nasze przyjść czas próby! Przyszedł—ja się nie boję—a ty?

— Jam ci nigdy nie odbierała swobody. Byliśmy względem siebie szczerzy i prawi. Nie robiłam ci nigdy scen, ani piekła w domu. Będziesz tu zawsze panem i ukochanym, dopóki zechcesz!

— Dziękuję ci i całem życiem zapłacę.

— Nie masz za co dziękować i płacić. Wszystko jest twoje, i nie ja ci w czemkolwiek się sprzeciwię, bo przecie czujemy jedno za drugie. Któż jest tedy ona?

— Nie znam, nie wiem, nie ciekawym. Ojciec wybrał.

— Ale się zgadzasz? Dobrze jest wiedzieć, z kim się będzie miało do czynienia. Żyć przecie będziesz pod jednym dachem, obcować codziennie? Brr!

Wzdrygnęła się i pobladła, ale zapanowała znowu nad sobą i rzekła poważnie:

— I jakże i ty potrafisz jej kłamać uczucie! Po co? Dlaczego?

— Jam nigdy nie kłamał i nie skłamię.

— Więc któraż się zgodzi, prawdę wiedząc.

— To rzecz ojca. On wie, jakim jestem, i że ustępstwa żadnego od honoru nie uczynię.

— Szkoda mi ciebie. Bardzoś młody i niedoświadczony, gdy tak lekko do tego przystępujesz.

— Czy lekko, to ja wiem, alem nie zwykł się uchylać od żadnego zobowiązania. Byłem może kiedyś lekkomyślny, dziś nie. Ale to nasze rodzinne sprawy. Niema nad czem rozpaczać, stało się!

Pani Celina zrozumiała, że temat był wyczerpany, że ani słowa więcej rzec nie można, że teraz trzeba użyć całej delikatności i sprytu, by go nie urazić, by wpływ utrzymać, bardziej wzmocnić. Znała go doskonale, od wielu lat, wiedziała, co czynić. Te dwa miesiące uczyniła mu jedną pieśnią rozkoszy i miłości.

W dzień wyjazdu prezes trochę niespokojny szedł do syna. Nie sprzeciwiał się Andrzej nigdy, tylko termin odkładał, przedłużał, zwlekał.

Zastał go zajętego pakowaniem rzeczy— i odetchnął.

— Zatelegrafowałem o konie!—rzekł.

— Gotów jestem!—odparł syn.

Zmierzyli się badawczym wzrokiem, i prezes dodał po francusku z naciskiem.

— Ufam ci zupełnie, że dotrzymasz słowa.

— Niezawodnie. Tylko ojciec wie warunki.

Uśmiech dziwny przemknął przez oczy prezesa.

— Wiem! — *odparł.* — *Bądź spokojny.* Nie *przegrywałem nigdy spraw, jeszcze bardziej skomplikowanych.*

Andrzej brwi zmarszczył. Ten uśmiech go gniewał i drażnił.

— Kiedy i gdzie jedziemy? — zagadnął szorstko.

— Za godzinę — nadwiślańską, niedaleko, ośm stacyi.

— Mam urlop z biura na trzy dni.

— Wystarczy—na pierwszy raz.

— Jakto? Na pierwszy raz? Więc ileż razy myśli ojciec mnie tam wozić?

— Ja tylko ten raz. Potem będziesz jeździł sam. Chyba chcesz się zaraz oświadczyć.

— A naturalnie.

— Tyleś czasu odkładał. Myślałem, że zechcesz jeszcze przedłużyć swobodę.

— O, ja jej wcale tracić nie zamierzam i potem. Wolę sprawę co rychlej załatwić.

— Jak sobie chcesz. Jedźmy tedy. Po drodze opowiem ci, gdzie jedziesz i do kogo.

Andrzej nie zdawał się być ciekawy. Wsiedli do powozu i ruszyli. Mieli mnóstwo znajomych i co chwila spotykali kogoś. Gdy po raz może dziesiąty uchylili kapelusza, młody człowiek wybuchnął:

— Mógł ojciec na tę śmieszną wyprawę wybrać nocny pociąg. Każdy, kto na nas spojrzy, nawet nie ukrywa uśmiechu. Dostaniemy się na języki wszystkich dowcipnisiów i będziemy niezawodnie figurowali w niedzielnym *Kurjerze Świątecznym!*

— Nie możemy tam przyjechać wśród nocy przecie. Ośm stacyi kolei, potem dziesięć wiorst końmi. Zresztą, mój drogi, nie pierwszy to raz będą mówić o tobie. Nie żyłeś, jak fijołek i lilia.

— Ale nie byłem śmieszny. A! żebyż to się raz skończyło. Czy ta panna wie, w jakim celu przyjeżdżamy?

— Wie. Ojciec jej powiedział, i ja się z nią rozmówiłem.

— Czy to być może?!

— Tak.

— I zgadza się? Słodkie musi mieć życie w domu!

Prezes nic nie odrzekł, bo byli już na dworcu. Załatwił bilety sam, i dopiero, gdy wsiedli do wagonu i pociąg ruszył, zapalił cygaro, wygodnie się rozsiadł, i począł mówić, jakby przerwy między zapytaniem syna a odpowiedzią nie było.

— Zapewne, że żywot ma nie słodki. Ojciec jej przed pięciu laty ożenił się po raz wtóry z panią Tomkowską, bardzo bogatą wdową, po tym Tomkowskim, u którego trzymał w dzierżawie folwark i zarządzał jego interesami. Głupstwo palnął, z płatnego oficjalisty przeszedł na bezpłatnego. Po co? sam nie wie! Proponowano mu świetne posady, bo człowiek to bardzo zdolny, uczciwy i fachowiec. Ano— przyznał mi się, że żal mu było rzucać swą pracę innemu. Przywiązał się do tych dóbr, upoiła go złuda dziedzictwa—i poszedł ze służby w niewolę. Ale ty go znasz nawet, bywa przecie u mnie. Kolegowaliśmy w szkołach, i choć się rzadko widujemy, przyjaźń pozostała. Nazywa się Szpanowski.

— Taki suchy, śniady brunet, opalony, jak cegła?—wtrącił Andrzej.

— Ten sam. Był żonaty z Ostrowską, daleką naszą krewną. Umarła ona w dwa lata

po ślubie, zostawiając córkę Kazię. Ta Kazia— to ona!

Pomimo woli Andrzej słuchał uważnie. Prezes sięgnął do pugilaresu i podał mu fotografię.

Była to fotografia z małego miasteczka, nędzna, blada, a wyobrażała dziewczynę źle ubraną i niezgrabną, stojącą sztywno, przy tekturowej, obrzydliwej dekoracyi fotografa jarmarcznego zapewne.

Była chuda, śniada, bez wyrazu na twarzy ściągłej i prawie dziecinnej. Stała tak sobie, bez żadnej pozy, z obwisłemi ramiony, patrząc wprost przed siebie. Oczy miała ciemne i łagodne, i gruby warkocz przerzucony przez ramię.

Andrzej popatrzał, i obojętnie fotografię zwrócił.

— Cóż? Jakże ją znajdujesz—spytał prezes.

— Okropna!

— Takąś chciał mieć. Odpowie wszelkim twym wymaganiom. Będzie spokojna, poważna, dobra i cicha. Zgadza się na wszystko, zrozumie swe położenie, i nigdy poza granicę nie wyjdzie. Dla ciebie będzie wygodna, a ja ją będę okrutnie lubił!

Andrzej aż się zdziwił zapałowi ojca. Nie słyszał nigdy, by prezes nad kimś się unosił. Uśmiechnął się lekko.

— Widzę, że ojciec już ją dobrze zna.

— Ano — tobie się zdaje, że ci obojętne, kogo w dom wprowadzisz. Dla mnie nie! przyznaję. Myślisz, żem się bał twego romansu—nie—bałem się, byś nie wybrał panny na wydaniu, w karnawale. Teraz jestem rad i spokojny.

Andrzej ramionami ruszył; coś w tonie ojca go gniewało. Była to wciąż pewność jurysty, który wie, że sprawę wygra.

— To dziwnie jednak, że tego ideału dotąd nikt ojcu nie sprzątnął—wtrącił ironicznie.

— Dziewczyna ma zaledwie dwadzieścia lat i ani grosza posagu. Hodowała się na folwarku dzierżawnym, w kącie głuchym, w pracy od dziecka. Ojciec ją oddał do klasztornej pensyi w Galicyi, ale po dwóch latach odebrał, bo się obejść bez niej nie mógł. W rok potem się ożenił, i razem z nim poszła na bezpłatną służbę do Tomkowskiej. Jakeś rzekł — nie słodki ma żywot—od czasu zwłaszcza, gdy się tam urodziła córka! I ojciec i ona cierpią jedno za drugie. On na wszystko się zgadza, byle na dziecka poniewierkę nie patrzeć, ona gotowa na jeszcze gorszą dolę, byle on nie widział jej utrapień! I tak — mój drogi, niema trudności nie do rozwiązania. Myślałeś, że dasz mi zagadkę bez odpowiedzi. Ano—przegrałeś raz pierwszy!

— Jeszcze nie po ślubie! Jeszcze ja się rozmówię—mruknął Andrzej.

— Nie powiesz jej więcej, niż ja! Zresztą, o co się spierać? Lepszej nie znajdziemy nigdzie. Przyjdzie czas, gdy mi podziękujesz.

Syn począł dobywać gazety poranne. Po chwili obadwaj zagłębili się w czytaniu. Temat był wyczerpany.

Na świecie był kwiecień; pola jeszcze szare, pługami poorane, gdzieniegdzie ledwie zielenieć poczynały. Pociąg mijał łany dobrze uprawne, porządne dwory, ludzi pracujących na roli, gaje i sady kwitnące. Przez okna wagonu wpadał kłębami świeży podmuch wsi, więc prezes rychło gazetę rzucił i rozglądał się po okolicy.

— Mało znasz wieś!—rzekł do syna. Zobaczysz ją z najlepszej strony, bo i pora urocza, i Gurów — dwór Tomkowskiej, t. j. Szpanowskich, jest jednym z najlepszych gospodarstw w kraju. Tam już nie sielanka i nie dyletantyzm, to już fabryka rolna, bardzo rozumnie prowadzona. Nie znam się na tem, ale chylę głowę, bom widział rachunki Szpanowskiego. Zdumiewające ma rezultaty.

— To ten Gurów, zkąd Jasiński ma konie?

— Ten sam. Stadninę mają jedną z pierwszych w kraju. Pokaże ci ją Szpanowski, bo ma słabość do koni.

— Więc zabawimy ile?—zagadnął Andrzej niespokojnie.

— Ano — nie mniej, jak do jutra wieczór. Zdaje mi się, że to niezbyt długo.

Andrzej powrócił do gazety, ale czytał nieuważnie. Pomimo wszystkiego ta wyprawa, im bliżej celu, tem gorzej go drażniła.

— Jeśli ojciec już grunt przygotował, to ślub może się odbyć jeszcze w maju! — rzekł po chwili, zapalając papieros i mnąc nerwowo gazetę.

— Naturalnie. Im prędzej, tem lepiej. Dom mamy urządzony, papiery w porządku.

— I znajomych mniej latem. Mam nadzieję, że do jesieni wyczerpią nasz temat i znajdą nową pastwę dla plotek.

— Możecie wyjechać gdzie na lato!

— Razem! Dziękuję! oburzył się Andrzej, i posępnie umilkł.

Przypomniał sobie zeszłą wiosnę, którą spędził z panią Celiną na Capri. Parę miesięcy marzeń, szczęścia, śpiewu i rozkoszy. Teraz, jakże trudno będzie idyllę tę powtórzyć. Niepodobna!

A pociąg pędził i pędził, coraz bliżej złowieszczego celu. Odebrano już bilety, prezes prostował zesztywniałe członki, i także niespokojny, chodził od okna do okna.

Andrzej przetarł dłonią czoło i oczy, wzdrygnął się i z pod brwi spojrzał na ojca.

— Właściwie — matka mi dała termin do października! — rzekł nieśmiało. Dlaczego się śpieszymy tak bardzo?

— Dlatego, żeś się zgodził na to sam przed dwoma miesiącami—i ja zaangażowałem swoje słowo—odparł spokojnie prezes.

Syn głowę spuścił. Był to ostatni protest.

Pociąg zwalniał już — i zatrzymał się wreszcie.

Prezes przez okno się wychylił i kiwnął głową służącemu w liberyi.

— Konie są?—Weźcie rzeczy—rzekł.

Sługa, niemłody już człowiek, i snać rzeczy świadomy, spojrzał ciekawie na Andrzeja, zbierając tłomoczki.

— Jest co w brankardzie do odebrania?— zagadnął.

— Nie. Państwo w domu?

— Czekają z herbatą.

Przeszli przez stacyę, oglądani ciekawie przez tłum żydów i gawiedź rozmaitą. Zdawało się Andrzejowi, że i tu widzi miny dwuznaczne. Rozdrażnienie jego rosło.

Gdy wyszli na podwórze, już wolant gurowski stał przed gankiem. Cztery siwki bardzo rasowe, stangret z wąsiskami jak wiechy, powozik—jak z igły. Gawiedź poczęła im z drogi

się usuwać, z widocznym szacunkiem. Andrzej odetchnął. Ruszyli. Minęli miasteczko liche— i wydostali się między pola. Słońce chyliło się ku zachodowi. Ludzie kończyli roboty, od gajów i sadów szły cudne wonie.

Andrzej się uspokajał spokojem i pogodą otoczenia.

Stać się to musi, dał słowo matce, teraz ojcu, życie się jakoś urządzi, wszyscy się przecie żenią, a iluż z miłości! Nie wyglądają oni jednak jak ofiary i męczennicy.

Drogą przed nimi jechał parobczak z galicyjska przybrany, na drabiaku, zaprzężonym w spasłe dwa siwe mierzyny. Jechał, i okrutnie śpiewał. Stangret krzyknął, by ustąpił, ten ino batem śmignął, i dalej gnał z góry.

I słychać było jak z fantazyą dalej śpiewał:

Siwy konik, siwy—malowane siodło,
Jakież mnie też licho do dziewczyny wiodło?

Minęli go przecie, i stangret mu batem pogroził. A ten się roześmiał tylko, błyskając zębami białemi i oczyma, jak bławatki. Prezes do kieszeni sięgnął i rzucił mu rubla.

— To z Gurowa człowiek? — spytał stangreta.

— Nasz fornal, Stacho—co masło do kolei dostawia — odparł służący. Pan go z Galicyi wyrostkiem przywiózł! Tyle lat służy, to się rozbestwił!

— To już na gurowskich jesteśmy gruntach?

— A już—od lasu graniceśmy minęli.

Stacho fornal na boczną drogę skręcił, do folwarku, który czerwieniał swemi murami wśród pustych pól.

Olbrzymie obory tworzyły czworobok, ludzie się kręcili tu i tam, zadając wieczorną paszę, w budynku u bramy rozlegał się gwizd centryfugi.

Przez otwarte okno tego budynku wyjrzała na turkot furgonu młoda dziewczyna, w szafirowej płóciennej bluzie, i zawołała Stacha.

— Masz kwit?

— Mam, proszę panienki.

— Dawaj żywo! Czegoś się opóźnił?

— Olaboga! Anim chwilczyny nie zmitrężył. Stangret Paweł może świadczyć, co po warszawskich gości jeździł.

Chłopak ku stajniom ruszył, i po chwili wrócił z kwitem w garści.

— Galantom zdał — wzięli za to dziewięć złotych, a tyle mi oddali!—rzekł kładąc na stoliku trochę srebra i miedzi.

Dziewczyna obejrzała kwit, wciągnęła go do ksiąg, których stos leżał na stoliku, odrachowała pieniądze, wpisała rozchód, śpiesząc się bardzo.

Stacho stał, i patrzał, mnąc w ręku rubla.

— Możesz iść—rzekła, oczu nie podnosząc.

— Konie panience zaprzęgać?—spytał.

— Naturalnie! Żywo.

— Ja chciał panience coś pokazać—uśmiechnął się.

Spojrzała na niego.

— Dostałem od tych gości, co do dworu pojechali!—rzekł, pokazując rubla.

— Za co?—zdziwiła się.

— Albo ja wiem. Jechałem se śpiewając—minęli mnie—było dwóch—jeden stary, drugi młody. Ten stary rzucił mi papierek.

— No—było podziękować!—rzekła chmurno, zbierając kapelusz i rękawiczki.

Stacho głową pokręcił. Z tą swoją panienką był on trochę kolegą. Gdy go malcem przywieziono z Galicyi — sierotę — szukali razem gniazd w sadzie, a potem ona go czytać i pisać uczyła.

Dziś na stacyi Paweł stangret gadał z lokajem, że po kawalera do panienki przyjechali. Stacho chciał się koniecznie dowiedzieć, czy to prawda, a jakoś nie śmiał. Panienka była gniewna, czy zmartwiona, nie chciała rozumieć.

Pokręcił Stacho głową, westchnął i poszedł konia zaprzęgać.

Młoda dziewczyna rozmówiła się jeszcze z pisarzem i dozorcą mlecznym i wyszła przed sień.

Stacho już zajeżdżał jednokonną bryczką. Wsiadła do niej i ruszyła za bramę. Koń znał drogę, codziennie dwa razy ją odbywał, o świcie i późnym wieczorem.

Dziewczyna tedy nie kierowała nim i wolno puściwszy lejce, rozglądała się po polach.

Wiedziała, kto są goście i w jakim celu przyjeżdżają, że tam czekają na nią, że się opóźniła, czekając na Stacha, przecie się nie śpieszyła. Wzrok jej spoczął na kępce drzew na horyzoncie i wahała się.

Nagle targnęła lejce, skręciła konia i tęgim kłusem ruszyła ku tej kępie drzew, pozostawiając Gurów na stronie. Spóźni się jeszcze o godzinę, ale być tam musi dziś jeszcze.

Łuny zachodu już gasły, przejrzysty, cudny zmierzch ogarniał krajobraz, po gajach zawodziły słowiki.

Smagłe policzki dziewczyny pałały ogniem, usta kurczyły się bolem, oczy były pełne łez.

Polną drożyną sprostowała odległość i wjechała na podwórze gęsto krzewami zarosłe, pod drewniany stary dom, stojący wśród zdziczałego sadu.

Na ganku stara kobieta siedziała samotna.

— To ty, Kaziu! — zawołała zdziwiona.— Zkądże... w roboczy dzień, wieczorem. Jakżeś się uwolniła?

Dziewczyna uwiązała konia do ganku i stanęła przed nią, dysząc jakby pieszo tu biegła.

— Wcalem się nie uwolniła. Jadę z Porębów do dworu. Zboczyłam do babci — na chwilę—po ostatnie słowo. Prezes przyjechał z synem po ostateczną decyzyę.

Umilkła chwilę, połknęła może łzy.

— Czy on już naprawdę nie wróci, babciu?— szepnęła.

— Staruszka potrząsła głową żałośnie.

— Oj nie; oj nie!—odparła głucho.

— Bo ja mu przecie łamię wiarę!—ponuro rzekła dziewczyna. — Babcia choć nie wierzy, chroni mu przecie ten dom i szmatek ziemi... i czeka... a ja... mam zdradzić?

— Moje dziecko, nie nam się równać! Ja jego nie czekam, ani dni dożywam. Ja już nie mam obowiązków, jam swoje odbyła, odcierpiała, odpracowała. Tobie trzeba swoje spełnić. Ty nie zdradzasz, ty nie łamiesz wiary; ty musisz życie przeżyć.

— Babcia wie, że gdyby nie ojciec, zniosłabym stokroć więcej jeszcze. Ale patrzeć nie mogę na jego wyrzuty i zgryzotę. Muszę zejść z oczu pani Tomkowskiej. Wiem, że to, co mnie czeka, jeszcze będzie gorsze, ale przynajmniej ojciec nie będzie codziennym świadkiem.

Zamilkła, smutnemi oczyma patrząc przed siebie.

— Żeby choć wieść, że on żyje, żeby choć we śnie!—szepnęła ponuro.

— Gdyby żył, wieść by była. Grób tylko milczy! Ty, dziecko kochane, z czystem sumieniem ofiarę spełnij. Ojciec ci pierwszy!

— Babcia mnie w sercu zachowa?

— Jak wnuczkę jedyną.

Dziewczyna przypadła do jej kolan i łkała długą chwilę. Potem się podniosła, otarła łzy i ucałowawszy ręce staruszki, milcząc, zeszła z ganku.

— Przyjedź-że prędko!—pożegnała ją łagodnie.

— Jutro wieczorem!

Koń ruszył. Dziewczyna już nie dała sobie roztkliwiać się. Wolę miała bardzo silną, postanowienie stałe. Gdy wjeżdżała w podwórze Gurowa, była zupełnie spokojną, prawie wesoła. U bramy, niespokojny, czekał na nią ojciec. Już trzeci raz odchodził od gości, wyglądał jej przybycia.

— Nareszcie!—odetchnął.—Chodźże prędzej. Prezes się ciągle o ciebie dopytuje. Przyjechali już dawno.

— Muszę się przebrać chyba.

— Tylko prędko.

Zawołał stajennego, by konia odprowadził, i poszli razem do oficyn.

Dom mieszkalny był jasno oświetlony, dwór cały obszerny, ślicznie zbudowany, luźny i zamożny. Kazia mieszkała w oficynie, z woli i rozkazu jasnej pani, która nienawidziła pasierbicy, i trzymała ją, jako płatną sługę. Co prawda, antypatya była wzajemna, tylko Kazia umiała ją ukryć dla ojca.

Szpanowski wszedł za córką do jej mieszkania, i podczas gdy ona zmieniała bluzę roboczą na niedzielną sukienkę, stał u stolika, zapatrzony w płomień świecy, zamyślony, stroskany.

— Młody Sanicki bardzo przystojny, gładki! — zaczął wreszcie wahająco — ale ma coś w sobie... czy ja wiem, coś zimnego, ostrego. Kaziu, jeśliby ci się nie podobał... zlituj się... nie idź. Ja się tak boję o ciebie!

— Otóż znowu tatko wynalazł sobie troskę!—odparła prawie śmiejąco.—Przecie Sinobrodym tylko dzieci straszą. Jeśli podobny syn do ojca, tom gotowa do jutra już się zakochać.

Szpanowski odetchnął. Jakby cień zszedł mu z twarzy.

— Ty poczciwości. A pokażno się, czyś ładna? Obrócił ją do światła i z miłością patrzał.

Kazia była wysoka, trochę za chuda, niezbyt zgrabna, miała twarz mocno opaloną, oczy ciemne i poważne i ogromny warkocz, opleciony bez pretensyi w koło głowy. Sukienka niedzielna, źle skrajana, nie ubierała, lecz szpeciła ją jeszcze. Ale Szpanowski tego nie widział, a ona o to nie dbała. Byle było czyste i całe!

— Chodźmy! — zawołał, całując ją w czoło.

Z oficyn sto kroków było do pałacu. Przeszli milcząc—obojgu biło mocno serce.

W jadalni lokaje nakrywali do wieczerzy. Z salonu rozlegał się silny, dźwięczny głos prezesa, a gruby śmiech pani domu.

— Ten nieoceniony prezes ze swym humorem—szepnął Szpanowski — od trzech godzin prawi, aż wszystkich rozruszał.

Znaczyło to, że i macocha była wesoła, co się nigdy nie zdarzało. Kazia uśmiechnęła się gorzko, nieznacznie.

Szpanowski drzwi otworzył. Jasne światło olśniło na chwilę dziewczynę, szumiało jej w głowie, nie wiedziała, co ma dalej ze sobą robić, jak się poruszyć, i zatrzymała się u progu, czując się bezmiernie głupią i nieszczęśliwą.

Ale prezes czatował na tę chwilę, frazes urwał, podniósł się żywo z fotelu i szedł do niej uśmiechnięty, uradowany, z gotowem słowem.

— Witam panią. Dopominam się od godziny. Ale młodym do starych nie skoro. Panna Kazimiera nie dba o mumię prezesa. Za karę przywiozłem swoją młodszą edycyę. Pani pozwoli przedstawić sobie mego jedynaka. Proszę dla niego o sympatyę.

Od stołu, gdzie przerzucał ilustracye, Andrzej wstał, składając ukłon „stylowy.“ Przytem jednem spojrzeniem objął postać dziewczyny i spotkał na sobie jej wzrok spokojny, poważny.

Egzamin trwał sekundę, potem Kazia nieśmiało podała mu rękę, bez słowa. Nie umiała zdawkowych frazesów.

— Pani, jak zwykle, zajęta. Jak to dobrze, że jutro święto. Skorzystamy przecie z pani towarzystwa!—mówił prezes.

Kazia spojrzała po salonie. Macochy nie było.

— Kiedy bo ja i w święto... mam zajęcie!—rzekła, spoglądając ku ojcu.

— Jutro robimy sobie wakacye!—rzekł Szpanowski.—Panowie chcą obejrzeć gospodarstwo, urządzimy tedy wielką rewię i paradę naszej rolnej armii.

— Ano, to będę wolna! — uśmiechnęła się Kazia.

— Pani lubi wakacye?—spytał Andrzej.

— O lubię!—rzekła szczerze.

— To dowód młodości.

— Nie koniecznie! To dowód, że mam po czem odpoczywać.

— Racya!—zawołał prezes.

— Ja siebie do próżniaków nie liczę — zaprotestował Andrzej. Pracuję także w biurze technicznem, ale żebym się znowu tak bardzo cieszył z niedzieli... to nie!

— Bo pan ma ich pięćdziesiąt dwie na rok, a my na wsi żadnej!—odparła Kazia.

— Jakto? Przecie na wsi także na ten dzień przerywa się roboty.

— Na roli. Ale inwentarz potrzebuje codzień starania. Przeróbka nabiału nie przerywa się nigdy.

— Tak, tak—nasze zajęcie to rozwiązanie kwestyi *perpetuum mobile!* — zaśmiał się Szpanowski.

W dalszych pokojach rozległ się płacz dziecka i zaraz potem głośne, dosadne strofowanie pani domu.

Mimowoli rozmowa się urwała i była sekunda przykrego milczenia. W tej chwili pani weszła do salonu, niosąc na ręku swą jedynaczkę.

— Prezentuję panu moją dziedziczkę! — zawołała do prezesa.

— Śliczny, rozkoszny dzieciak! Jakie oczy! — zachwycał się prezes tak czelnie, że Kazi krew uderzyła do twarzy, ze strachu, że się macocha obrazi.

Dziecko było szpetne. Z wielką głową, bezkształtnemi rysami, blade, anemiczne, grymaśne, snać i rozpuszczone bezmiernie. Było rzeczywiście kopią matki. Nos zadarty, policzki płaskie i szerokie, oczy małe i blade. Tylko matka była czerwona i zdrowa, wysokiego wzrostu i otyła, a kopia prócz brzydoty miała jeszcze niezdrowie i wątłość.

Kazia niepotrzebnie się lękała. Pani Szpanowska połknęła jak cukierek komplementa prezesa i uśmiechnięta, pożerała rozkochanym wzrokiem małą szpetotę. Była to jedyna istota, którą kochała, oprócz siebie.

— No, Zosieńko, podaj panu rączkę, przywitaj się!

Ale Zosieńka popatrzała chwilę na prezesa, wykrzywiła się i pokazała mu język.

— A pfe! — upomniała ją matka, całując przytem.

— Rozkoszna psotnica! Szczęśliwy wiek szczerości! — zauważył uprzejmie prezes.

— Głupiutkie to jeszcze, a przytem służba uczy nie wiedzieć jakich zbytków. No, pobaw się, Zosiu!

Postawiła ją na ziemi i rzekła do wystrojonej piastunki, która ją chciała wyprowadzić:

— Zostaw panienkę i możesz odejść. Niech się dziecko uczy bawić samo. To rozwija samodzielność.

— Ma pani dobrodziejka zupełną racyę. Samodzielności brak młodemu pokoleniu!—potwierdził prezes i zaraz, jak z rękawa, począł sypać przykłady rozmaitych systemów wychowania.

Kazia usunęła się w drugi koniec salonu i usiadła przy stole, gdzie Andrzej przerzucał czasopisma.

Znaleźli się odosobnieni i sami, bo Szpanowskiego odwołano do rządcy. Szukając tematu, by rozmowę zagaić, młody człowiek, ze złośliwym, dyskretnym uśmiechem, śledził zabawę małoletniej gurowskiej dziedziczki.

Mała, zostawiona sobie, poszła przedewszystkiem do kosza pełnego kwitnących, cieplarnianych roślin, strojącego parapetowe drzwi do ogrodu, i poczęła pełnemi garściami rwać liście, kwiaty, całe rośliny, rzucała je sobie pod krzywe, niezdarne nogi, i deptała po nich.

Andrzej spojrzał na Kazię. I ona przypatrywała się tej zabawie. Zarumieniła się ze

wstydu i podeszła do dziecka. Pochyliła się nad nią i łagodnie wyjęła z rąk cały hyacynt z cebulą.

— Nie psuj kwiatków, to je boli! — rzekła prawie prosząco. Dziecko nagle wrzasnęło dzikim głosem, rzuciło się do niej, wyrwało kwiat.

— Co to, Zosieńko! — zerwała się matka, i nagle do furyi podobna tupnęła nogą.

— Po co dręczysz dziecko! Jak śmiesz!— krzyknęła na Kazię. — Zerwała kwiat. Niech rwie. To wszystko do niej należy! Ona tu pani. Biedna Zosieńko... no, nie płacz... nie... rwij kwiatki. Zrób sobie bukiecik. Wolno dziecku, wolno!

Kazia blada, przerażona, cofnęła się bez słowa.

Wróciła na swe miejsce, pochyliła głowę, i widział Andrzej, jak drżała całem ciałem.

Tedy nagle rozmowę zagaił, popchnięty żądzą wydostania się ztąd co najprędzej.

— Pani wiadomy cel naszej wizyty. Zdaje mi się, że im prędzej się porozumiemy — tem lepiej. Z woli ojców naszych i losu jesteśmy sobie przeznaczeni.

Mówił prędko, zniżonym głosem, nie patrząc na nią.

Gdy skończył, oczy podniósł. Kazia już zapanowała nad sobą, spotkał jej wzrok spokojny, poważny.

— Ojciec pana mówił ze mną!—odparła.— Alem ja mu nie powiedziała nic o sobie, co panu powiedzieć będę obowiązana.

Zdziwił się, prawie przeraził.

— Musimy tedy sobie poczynić obustronne zwierzenia!—odparł, uśmiechając się z przymusem.—Czy mamy zaraz zacząć?

— Sądzę, że nie. Za chwilę podadzą kolacyę, a tutaj, to trudno.

— Zatem jutro poproszę panią o godzinę rozmowy.

Kazia, zamiast odpowiedzi, porwała ze stołu lampę. Był wielki czas, bo właśnie Zosia uchwyciła za róg makaty, którą stół był nakryty, i ledwie Andrzej miał czas się usunąć, wszystko, co było na stole: książki, gazety, albumy, porcelanowy wazon, kryształowa patera na bilety, popielniczki, noże do papieru, skrzynka z cygarami—z wielkim hałasem i brzękiem spadło na ziemię, a razem z tem upadła Zosia, podnosząc natychmiast wrzask piekielny. Na to nawet prezes nie znalazł komplementu, a jako amator i zbieracz starożytności, załamał ręce nad skorupami serwskiego wazonu.

Pani Szpanowska przypadła do dziecka.

— O mój Boże! skaleczyła się!

Dziecku nic się nie stało, ale wiedziało, że za wrzask dostanie cukierków. Używało tedy, aż Andrzej mimo woli uszy zasłonił.

Szpanowska zwróciła się do Kazi.

— Nie mogłaś biedactwo zatrzymać? I owszem! Na życie jej nastajesz! Umyślnie lampę zdjęłaś, żeby straciła opór, i upadła. Marysia, zabierz panienkę. Zaraz zimnej wody do główki. Przepraszam pana. O mój Boże! Może być wstrząśnienie mózgu! I wyniosła dziecko.

W tej chwili wszedł Szpanowski, za nim lokaj.

— Co tu się stało?

— Mój łaskawco! Najcenniejsza marka!— odparł prezes, stojąc w żałosnej pozie nad szczerbami wazonu. Obejrzał się, że pani niema, i ciszej dodał, by tylko Szpanowski słyszał.

— Zlitujcie się! Kata sobie chowacie!

— Ja!—Szpanowski gorzko się uśmiechnął. Ja ani chowam, ani tu co znaczę. Wiem, co będzie, ale zmienić nie mogę, i tyle pociechy, że pewny jestem, iż nie dożyję owoców tego systemu.

Usunęli się do kominka, i rozmawiali dalej półgłosem, spoglądając na młodą parę.

Lokaj tymczasem sprzątnął trofea samodzielności Zosi, a Andrzej już swobodniej zagaił rozmowę z Kazią.

— Pani zapewne zna Warszawę?

— Nie byłam tam nigdy!

— Nie może być!—zdumiał się, uszom nie wierząc.

— Tak się złożyło. Chowałam się bez matki, ojciec był zawsze bardzo zajęty. Bywał w Warszawie chwilowo sam, bobym mu zawadzała tylko. Potem spędziłam kilka lat w klasztorze w Galicyi. Znam Lwów i Kraków, mamy tam dalekich krewnych, a w Warszawie ani jednej znajomej osoby.

— Niewiele się pani bawiła w życiu!

— Nie. Raz tańczyłam w Lublinie na ostatki! Przyznała się szczerze. Ojciec nie lubi zabaw i czasu niema. Na zabawy trzeba mieć dużo wolnych chwil, swobodnej myśli i kółko znajomych. A tutaj nie mamy stosunków. Jest kilka domów, gdzie bywa macocha, a ja nie, gdy tu przyjeżdżają, ja ich nie widuję. Dużo jest roboty!

Coraz bardziej pochwalał Andrzej wybór ojca. Z taką żoną nie będzie miał kłopotu. Nie będzie wiedziała nawet, co znaczą wymagania.

— Więc nie lubi pani zabaw?

— Nie. To, co się tak nazywa, jest bardzo bezmyślne. Po tych tańcach byłam tydzień nie swoja i chora. Gdybym miała kiedy wolny czas, lubiłabym czytać, ciągle czytać, albo grać...

Urwała, widząc cień niechęci na jego twarzy.

— Ale, broń Boże, komuś! Tak, samej sobie o zmroku. Zresztą, możebym już nie potrafiła. Od klasztoru nie grałam nigdy.

— Pani dobrze klasztor wspomina.

— O! Bo mi tam było, jak w raju. Lepiej być nie może.

— Może pani była jednocześnie z panną Zaleską?

— Z Tunią? A jakże. Siedziałyśmy na jednej ławce. Może pan ją zna?

— Naturalnie! Wyszła za mego przyjaciela Dębskiego. Bywam u nich w Warszawie, i podzielam pani sympatyę dla pani Marty. Nie znam dowcipniejszej kobiety i swobodniejszego koleżki.

— Myśmy z nią też kolegowały we wszystkich figlach — odparła Kazia, już zupełnie ośmielona.

Twarz jej się ożywiła, oczy świeciły żartem i swawolą. Musiała być bardzo wesołą i dziecinną jeszcze w gruncie. Andrzeja zaczynała bawić.

— Bagatela!—roześmiał się.—Więc bywają figle w klasztorze? A byli w to zamięszani studenci?

Kazia oburzyła się ogromnie.

— Studenci! Po co? Gdzie? Przecie to na wsi było, a nam wcale studenci nie byli w głowie! O! pan nie zna klasztorów i ich ducha.

Pan wie, że jeśli w książce był zakreślony ustęp, tośmy go nie czytały. Za nic!

— Pani daruje, ale nie wierzę. Jestem pewny, że pani Tunia czytała—roześmiał się.

— I Tunia nie, bo ona wcale nie ciekawa była książek. Ja za siebie mogę przysięgnąć.

— Czy i nadal zachowała pani taką siłę woli do zakazanych rzeczy?

— Jeśliby mnie wzięto na słowo, to bym dotrzymała.

— A jakby pokusa była za silna?

— Jabym się wcale nie dała kusić i nie myślałabym więcej o tem.

— O pani! To pani jeszcze chyba pokus nie zna.

Kazia poczerwieniała aż po białka oczu. Nie były to żadne wyrzuty sumienia, ale prostotę jej i powagę uraził ton ironiczny Andrzeja. Straciła swobodę.

— Co do owych zakreślonych ustępów spytamy o to pani Tuni! — mówił dalej żartobliwie. Jakież tedy figle płatają się po klasztorach?

— O, różne!—odparła już sztywnie. — Było nas przecie kilkadziesiąt, konceptu nie brakło.

Urwała i spojrzała z pod brwi w głąb salonu. Pani Szpanowska wchodziła, i Kazia z daleka czuła jej straszny wzrok na sobie, instynktem bała się sceny.

— Państwo zawsze wieczory tu spędzają razem!—spytał Andrzej półgłosem.

— O nie! Gdzież tam. Przychodzimy tylko na kolacyę. Ojciec do późna z administracyą konferuje, ja u siebie czytam.

— A co pani czyta?

— Obecnie? Kalinki „Sejm czteroletni.“

— A przedtem?

— Przedtem miałam Szekspira.

— A powieści?

— Powieści tam niema prawie.

— Gdzie? Tam?

— U babci Boguskiej.

— Żyje babka pani?

— Nie—ona mi nie babką. Daleka krewna matki, ale ją wszyscy babcią nazywają, więc i ja tak o niej i do niej mówię! Bardzo, bardzo stara, i taka dobra!

— I ma bibliotekę?

— To jej wnuka książki.

W tej chwili otworzono drzwi jadalni, oznajmiając kolacyę. Prezes podał ramię Szpanowskiej—rozmowa młodych się przerwała.

U stołu mówiono o koniach, o kwestyach ekonomicznych, trochę o polityce. Kazia nie otworzyła ani razu ust: Andrzej składał swą towarzyską daninę pani domu, która szeroko i długo opowiadała o swych stosunkach w Warszawie za życia pierwszego męża, o jego cno-

tach i zdolnościach, o stracie, jaką z jego śmiercią poniosło społeczeństwo, okolica i ona sama.

Andrzej słyszał od ojca, że nieboszczyk Tomkowski zrobił fundusz przypadkowo na akcyach, że był mniej, jak nieroztropny, że fundusz utrzymał i potroił Szpanowski, że pożycie państwa Tomkowskich było nieustającą domową wojną, a stosunki w Warszawie ograniczały się do wełnianego jarmarku i bywania w teatrze.

Ale słuchał uprzejmie i udawał, że we wszystko wierzy.

Szpanowski, ten wcale tego nie słuchał. Zapewne umiał na pamięć. Debatował gorąco z prezesem o karygodnem graniu na giełdzie fikcyjnem zbożem.

Kazi kolacya wydawała się bez końca. Zmęczona fizycznie dwunastogodzinnem zajęciem, miała jedno wrażenie: pozbyć się towarzyskiego przymusu, schować się do swej izdebki, i pomyśleć spokojnie o tem strasznem jutrze. Takiego lęku doświadczała w klasztorze, gdy coś zbroiła, i wzywano ją do przełożonej na morały. Teraz będzie jeszcze gorzej. Musi się spowiadać przed obcym człowiekiem, wyznać mu tajemnicę swą najdroższą. Chwilami miała wielką pokusę milczeć, ale potem wrodzona prawość dokuczała jej nieznośnie. O, wieleby

dała, żeby już było po tej rozmowie. Była pewną, że wysłuchawszy jej, Andrzej się cofnie i rada była temu. To znowu żal jej było ojca, który się tak cieszył jej zamążpójściem. I tak biła się z myślami!

Nareszcie wstano od stołu. W salonie, gdy Kazia rozmyślała, jak się wymknąć, prezes się do niej przysiadł, zostawiając syna na pastwę pani domu.

— Cóż, nie bardzo straszni warszawiacy!— spytał żartobliwie.

— Pan prezes zawsze się ze mną droczy! Ja wcale bojaźliwa nie jestem.

— Jużeście się porozumieli?

— Oj, nie!—odparła żałośnie.—Jutro mamy mieć okropną rozmowę!

— Niema nic okropnego! On będzie prawić to samo, co już pani odemnie wie. Niech się pani nie przeraża—to minie, jak zły sen. Przyszłość w pani ręku.

Kazia milczała, prezes się przestraszył.

— Niechże pani mnie starego nie zawiedzie. Ogromnie już panią kocham, marzę o synowej. Życie pani różami wyścielę. Zwyciężymy, pani!

— Dziękuję panu serdecznie. Ale może pan Andrzej mnie nie zechce, gdy — lepiej pozna.

Prezes markotnie głową pokręcał.

— Cała bieda w tem, że on ślepy i głuchy obecnie. Gdyby poznać chciał!

Pani domu dała hasło do spoczynku.

Zaczęto się żegnać, i Szpanowski odprowadził gości do przeznaczonego dla nich pokoju.

Gdy Saniccy zostali nareszcie sami, prezes ciekawie spojrzał na syna, który ziewał na potęgę.

— No i cóż? Jakie masz wrażenie—spytał.

— Nie pamiętam, żebym się kiedy tak zanudził! Aaa—czuję migrenę i dreszcze. Brr!.. To ci pańszczyzna!

— Słodkie oni tu mają życie z tą starą! A dziecko! I pomyśleć, że jeśli się to wychowa, będzie milionową dziedziczką, rozrywaną partyą!

— Bogu dzięki — nie dla mnie! — ziewnął Andrzej.

— Jakże ci się moja Kazia podobała?

— No—podobać się —to chyba nawet ona nie marzy. Ale—przyznaję, że ojciec wiedział i znalazł, co mi potrzeba, a raczej, na co się zgodzę. Po tem piekle, które tu ma, będzie jej wszędzie dobrze, i wody mi nie zamąci. Ależ to niezgrabne, dzikie, nie ułożone! A ubrane! Gwałtu, kto jej tę suknię krajał i wybierał?— Powiesić takiego majstra!

— Niceście nie rozmawiali?

— A o czemże z *tem* rozmawiać! Przecie to nawet w Warszawie nie było — mówiliśmy o klasztorze. Zna Dąbską—były razem w Galicyi. Jeśli już koniecznie mamy się pobrać, niech ojciec namówi Szpanowskiego, żeby z nią do Warszawy przyjechał. Poproszę Dąbskiej, żeby ją po ludzku ubrała. Żeby ją kto ze znajomych zobaczył w tej sukni! no!..

Ziewnął raz jeszcze Andrzej i począł się rozbierać.

— Nie rozumiem, jak ci ludzie tak żyć mogą. Bez towarzystwa, cały wiek z bydłem i czeladzią.

— To się mylisz. Szpanowski czyta i myśli, zacofany nie jest; dziewczyna ma także głowę w porządku, jest zdrowa, prosta i prawdziwa. Tomkowska—niby Szpanowska, chciałem mówić—jest koczkodan. Ale tego towaru znajdziesz pełno po świecie.

— Oni wcale rodziny nie mają?

— Nie—i to coś znaczy.

— Nawet wiele znaczy, jak dla mnie.

— Zatem—dogodziłem ci. Jutro Szpanowski urządzi wam „*a parte*“ — rozmówicie się— i wieczorem możemy wracać. Uf—spracowałem się!

I spoczął prezes—syt chwały i trudów.

Nazajutrz zbudziła ich obu — cisza. Ni turkotu dorożek, ni dzwonków tramwajów, ni

wrzenia ulicy. Andrzej spojrzał na zegarek— była ósma. Za oknem śpiewały ptaszki radośnie, słońce zaglądało szczeliną rolety. Wyjrzał tedy przez szybę. Okno wychodziło na sad owocowy, który stał w kwieciu, biały, zroszony, wonny.

Pokój był na piętrze, więc widok był szeroki, bliżej owa biel kwietna, dalej błękit stawów, wreszcie olbrzymi łan zielonej runi. Het, poza tem widać było czarne pola.

Od pól tych wracał Szpanowski na siwym koniu; dla niego dzień się już rozpoczął ze świtem. Wracał do domu na śniadanie.

Z folwarku wracała też Kazia i spotkali się na drodze. Andrzej oczyma ich przeprowadził, aż mu zniknęli za sadem. A właśnie i prezes się obudził.

— Jak tu cicho! Już nie śpisz? Otwórz-no okno! Czy to już późno?

— Myślę, że dla wieśniaków bardzo późno! Ósma! Co za przepyszne powietrze!

— Aha — powietrze jest — ale *Kurjera* nie będzie. Była sesya kanalizacyi wczoraj — nie dowiemy się, co uradzili—aż jutro!

Lokaj zajrzał dyskretnie. Zawołał go prezes.

— U was już może o obiedzie myślą?— spytał.

— Nie. Pan z panienką właśnie przy śniadaniu.

— A pani?

— Pani niezdrowa. Kazała oznajmić, że wcale nie wyjdzie.

— *Quelle chance!* — mruknął prezes—a głośno:—Pani często niedomaga?

— Ej, nie, proszę pana. Ale często nie wychodzi ze swych pokojów. Tak sobie — jako pani!

Miało to zapewne znaczyć: co ma sobie nie dogadzać.

— Państwo każą tu podać śniadanie?—spytał lokaj.

— Ależ nie. Zaraz schodzimy!—żywo prezes zaprzeczył.

Andrzej już prawie gotów, oknem wyglądał, nie mogąc się nacieszyć wonią i widokiem.

— Jednakże mają i wieśniacy kęs przyjemności—mruknął.

— Idź, kiedyś ubrany! — naglił go ojciec. Szpanowski wyprawi was do sadu—i kończcie!

Syn z westchnieniem usłuchał.

Gdy otwierał drzwi jadalni, usłyszał głos Kazi.

— Już idę, tatusiu. Nie mogłam w niedzielnej sukni jeździć do doju i wydawać ze spiżarni. Zaraz się przebiorę!

Spotkali się na progu, cofnęła się i zmieszała.

Była ubrana w bluzę płócienną, szarą, ściągniętą skórzanym paskiem. Wydała mu się w tym stroju smuklejszą i zgrabniejszą.

Uśmiechnęła się do niego i podała rękę.

— Dobrze się panu spało? — spytał Szpanowski uprzejmie.

— O wyśmienicie, dziękuję! Państwa już widziałem przez okno na drodze. Dzień się tutaj wcześnie rozpoczyna.

— Latem wstajemy o czwartej, zimą o szóstej.

— To okropne.

— Rzecz nawyknienia. Pomimo to z dnia na dzień nie można podołać robocie.

Kazia wytłomaczyła sobie, że gdy gość ją zastał w domowym stroju, przebierać się niema racyi. Nalała mu tedy herbaty, przysunęła ciasto, i usiadła na swem miejscu, oznaczonem pękiem kluczy.

— Nigdym nie widział takiej masy drzew w kwiecie. Za ogrodem rzekę państwo mają?

— Nie, to sztuczne stawy. Były tam łąki przerżnięte ruczajem. Przed paru laty urządziłem hodowlę ryb. Obecnie daje to rocznie trzy tysiące dochodu. Jeśli pan ciekawy, możemy obejrzeć.

Wejście prezesa przerwało odpowiedź!

— Spóźniłem się. Słyszę, pani nie zdrowa! Nic groźnego, dzięki Bogu. Dziękuję pani—co

za śmietanka! Bodaj to wieś błogosławiona. Mój pan syn cały ranek z pożądaniem na sad w kwiecie wygląda. Ręczę, że marzy o spacerze.

— Ano, Kaziu, to zaprowadź pana Andrzeja do ogrodu—rzekł Szpanowski. Spotkamy was nad stawem.

Dziewczyna wstała posłusznie, chociaż pobladła bardzo, czując, że chwila stanowcza się zbliża.

Wyszli przed dom, okrążyli go, i znaleźli się pod cieniem kwitnących jabłoni, których białe płatki osypywały ich przy lada powiewie, przy trąceniu skrzydeł ptaszych nieledwie.

Wyżeł łaciasty łasi się do Kazi, zdziwiony, że nie może jej namówić do zabawy, i wyścigów. Ale ona szła bardzo poważna, objaśniając gościa.

— Ten sad ojciec też urządzał, kiedy tu rządcą został. To są całe kwatery jednolitego gatunku. Po sto sztuk w każdej. Tam na lewo są cieplarnie i inspekty, na prawo szkółki, a dalej park.

Schyliła się po fijołki, którymi murawa była pokryta.

— Literalnie można się w nich tarzać!— zauważył Andrzej.

— O to jeszcze nic w porównaniu do Szadowa, folwarku, który ojciec dzierżawił, i gdziem

się urodziła i wzrosła. Tam były murawy fioletowe, a bzy do okien się wciskały. Tam było ślicznie!

Oczy jej zabłysły uciechą.

— A gniazd ile tam było: w głogach, w malwach, w chmielach—pod nogami. Bo sad był mały i zdziczały, ale żyło tam wszystko swobodnie.

Teraz tam nowy dzierżawca — byłam raz, ale już inaczej. Dzieci ma kilkoro — chłopcy, ptaki nawet ich się boją!

Zebrała bukiecik fijołków, i poszli dalej.

— Pani lubi wieś?—zagadnął Andrzej.

— O, lubię. Chciałabym mieć malutki szmatek własnej ziemi—byłabym wtedy szczęśliwa.

— A jakże pani decyduje się żyć w mieście? — rzekł, od razu wszczynając główny temat.

— Bo tak trzeba!—odparła z prostotą, spojrzała mu w oczy—i dodała po chwili namysłu:

— Pan się też decyduje na coś, co nie jest dla pana szczęściem.

— Co ojciec mój mówił pani o mnie?—zagadnął?

— Mówił, że pan kocha bardzo piękną i wykształconą panią—mężatkę, ale, że pan obiecał matce ożenić się, że pan jest dobry i delikatny, że ojcu pana pusto i samotnie w domu, że potrzebuje opieki i starań i towarzystwa

na starość i że mnie polubił—więc—żebym się zgodziła!

Mówiła spokojnie, szczerze, wciąż patrząc nań swemi łagodnemi, poważnemi oczyma.

— I nic więcej? — spytał Andrzej z naciskiem.

— Nic! Albo może być co więcej? Ja odpowiedziałam, że się zastanowię—i gdy drugi raz przyjechał, zgodziłam się, bo muszę i bom go bardzo polubiła. Żebym miała dość nauki, poszłabym na nauczycielkę, ale nie mam dyplomu, a teraz tyle wymagają! Uczyłam się dobrze, i dalej sama się kształcę, ale na dyplom trzeba kursów i egzaminów, a na to niema czasu. I zostać tu mi nie sposób, macocha mnie nie lubi, za to ojciec cierpi. Trzeba się usunąć!

Oczy jej stały się bardzo smutne, gdy mówiła dalej.

— Pomyślałam tedy: Gdy odejdę, ojciec będzie miał spokój, on o tem marzy, by mi los zapewnić. A tam u państwa w domu nie będzie mi gorzej, niż tu. Wiem, co mnie czeka, uczucia nie daję, więc i żądać nie mogę, a przecież źli dla mnie nie będziecie! Tylko i ja mam panu coś do powiedzenia.

Zabrakło jej słów i krew uderzyła do skroni.

Stali już nad stawem, na cyplu, gdzie się dwa zbiorniki łączyły z sobą, przegrodzone gro-

belką i upustem. Z cichym szelestem woda biegła pod ich stopami, a nad niemi płacząca brzoza szemrała drobniuchnem liściem, do wody zwieszając warkocze.

Andrzej zdziwiony patrzał na nią. Chwilę pasowała się ze sobą, potem z rezygnacyą skazańca, rzekła cicho i nieśmiało.

— Bo i ja, jak pan—kocham kogoś!

Zdumiał się ogromnie i brwi zmarszczył. Spostrzegła to, i coś nakształt radości mignęło jej w oczach.

— Zapewne pan się cofnie po tem, ale powiedzieć musiałam.

— A on jest może żonaty,—uśmiechnął się dziwnie.

— Ach, gdzież tam — oburzyła się, tak jej prostocie wydawało się to anormalnem i grzesznem.

— A zatem nie kocha pani?—badał, czując nielogiczny gniew i oburzenie, zamiast logicznego zadowolenia.

— Owszem—i on mnie kochał, ale jego już niema.

— Więc umarł?

— Nie wiem, zginął, może nie żyje. Już trzy lata bez wieści wyjechał. Z Warszawy wyjechał na dwa lata, właśnie egzamin na lekarza złożył, miał osiąść w Lublinie. I tak wszystko się zmieniło. Byliśmy zaręczeni—

i powinnam mu wiary dochować. Nazywa się Stanisław Boguski.

— Boguski! Pamiętam, słyszałem to nazwisko.

Zamilkli, i stali, zapatrzeni w wodę. Andrzej rozmyślał, walcząc z resztą nielogicznego gniewu. Rozsądek mu wracał. Kazia, zbywszy tajemnicy, odetchnęła swobodniej i cierpliwie czekała wyroku. W głębi duszy pragnęła, by się cofnął.

Ale Andrzej już równowagę odzyskał, ocenił położenie.

— W anormalnych jesteśmy warunkach!— zaczął mówić. — Ja ubóstwiam inną kobietę, pani marzy o innym mężczyźnie. Czy sobie nie gotujemy czyscowego życia? A jednak możeby gorzej było, gdybyśmy siebie kochali bez wzajemności! Nie wiem, byłby to może piekielny żywot. Dziękuję pani za wyznanie i szczerość. Oboje nieszczęśliwi, uszanujemy swe niedole. Proszę panią o rękę.

Kazia przeraziła się teraz dopiero. A zatem stało się! Tamten umarł, ona go w tej chwili grzebie.

Jeszcze raz spróbowała się wycofać.

— A jeśli ta pani owdowieje?—szepnęła.

— A jeśli on wróci?—odparł.

Potrząsnęła głową.

— To co innego. Gdy wejdę do domu pana, już dla niego nie żyję.

— O jakże pani nieznaną rzeczą jest miłość!—zawołał gorzko.

— Owszem, ale dla miłości nie wolno być nieuczciwą—rzekła bardzo poważnie.

Poczerwieniał mimowoli.

— Wedle tego ja jestem nieuczciwy.

— Nie, bo pan mnie nie oszukuje, i tak jest w zwyczaju u świata, że ja powinnam pilnować honoru pańskiego nazwiska i domu. Lecz, gdy ta pani owdowieje...

— Nie ożenię się z nią nigdy! O tem nie może być mowy!—przerwał prędko, stanowczo.

— Więc jeśli pan chce, to już między nami skończone—rzekła, starając się uśmiechnąć.

Wyciągnął do niej dłoń, i uścisnęli prawice.

— Ojciec się bardzo ucieszy!—rzekła. Proszę, nie mów mu pan prawdy; pan prezes mi to także obiecał. Mało ma radości w życiu, niech tę ma bez troski.

— Nie powiem nic i pani będę wdzięczny, gdy o tem więcej mowy między nami nie będzie!

— Jak pan sobie życzy, słowa nie powiem. Ja rozumiem, jak to boli, gdy ktoś obcy naszych ran dotyka. Ja tego panu nie uczynię.

Spojrzała mu poczciwie w oczy i mówiła dalej.

— Pan prezes wzmiankował, że pan życzy sobie ślubu cichego i bez zwłoki. Ojciec mi posagu nie daje, ale mam po matce dwa tysiące rubli na wyprawę. Muszę inaczej się ubrać—uśmiechnęła się—pan bogaty!

— Mamy pół Warszawy znajomych, co najgorsza!—odparł.

— Ach, tak, to najgorsze! Bardzo się lękam narazić pana na śmieszność swą dzikością i nieobyciem.

— Postaramy się tego uniknąć. Ma pani przecie wśród tych obcych koleżankę! Pani Tunia nam dopomoże. Państwo przyjadą do Warszawy i udamy się pod skrzydła pani Marty!

— Tak, prawda! Ona mnie nauczy i poradzi!

— Kaziu, Kaziu!—rozległ się z głębi ogrodu głos Szpanowskiego.

Kazia spojrzała ku słońcu, i przeraziła.

— Już około dziesiątej!—zawołała, ruszając na wołanie.

— Pani nie potrzebuje zegarka! — zaśmiał się Andrzej —jest akuratnie trzy kwadranse na dziesiątą.

— Miałam zegarek, ale mi go Zosia potłukła na miazgę!—odparła wesoło. — Nauczyłam się tedy oryentować po słońcu.

Naprzeciw nich ojcowie szli, prezes rozpromieniony, Szpanowski niespokojny.

— Panna Kazimiera pewno dla mnie zebrała fijołki — wołał prezes z daleka. — Proszę starego udekorować! I nadstawił klapę surduta.

Gdy mu wkładała kwiatki, ciszej spytał:

— Cóż? skończone?

— Skinęła głową, i spojrzała ku ojcu, do którego Andrzej przystąpił właśnie z oficyalną przemową.

Szpanowskiemu rozjaśniła się twarz, obie ręce wyciągnął do młodego człowieka, któremu aż wstyd było, że oszukuje poczciwca.

— Serdeczniem panu rad i za zaszczyt dziękuję—mówił rozrzewniony. — Z całem zaufaniem dziecko panu powierzam, będąc pewnym także, że i ona wam wstydu, ni przykrości w dom nie wniesie.

Potem padli sobie z prezesem w objęcia, i Szpanowski naprawdę ze szczęścia zapłakał, gdy mu Kazia pogarnęła się w ramiona.

A ona w tej chwili zapomniała o sobie, tylko szczęśliwa była, jego zadowoleniem.

II

Babcia Boguska siedziała o zmroku na swym ganeczku, który już maj ustroił zielenią i bzami, a u jej stóp siedziała Kazia na stopniu schodów; Kazia jakaś inna, przebrana modnie, uczesana modnie i obie milczały już długą chwilę. Słowik zawodził w bzach; dziewczyna, założywszy bezczynnie ręce, patrzała zamyślona na drogę i pole; staruszka machinalnie robiła na drutach kaftanik bawełniany.

Wreszcie Kazia westchnęła głęboko:

— Żeby się to już raz skończyło! Te sześć tygodni próżnowania zdają mi się bez końca. A przytem mam taki chaos w głowie z tej Warszawy, że jestem wciąż, jak w gorączce.

— A przecie to będzie twoje życie! — wtrąciła stara.

— Nie, broń Boże! Nie będę przecie życia spędzała po magazynach i pracowniach sukien ani u Tuni, której drzwi się nie zamykają od wizyt.

— U was też będą wizyty, może jeszcze więcej!

Dziewczyna ruchem rozpacznym objęła głowę.

— Przywykniesz!—spokojnie rzekła babcia Boguska. Wśród tych ludzi znajdziesz miłych i sympatycznych, potem przyjaciół, i zażyłe stosunki.

— Żebym tylko robotę miała. Nie wytrzymam bez pracy. Teraz, tutaj, dzień mi się rokiem wydaje! A tam oni mnie, ja ich nie rozumiem. Boję się odezwać, tak oni jacyś inni.

— Jutro przyjeżdżają panowie Saniccy?

— Nie wiem ściśle. Zapowiedzi już wyszły— a taki cichy ślub—może się codzień odbyć! — odparła obojętnie.

— Już eś zupełnie spokojna!

— Czy ja wiem? — Jestem odurzona i tak zmęczona tem wszystkiem, że radam, by się skończyło. Macocha rada też mnie się pozbyć co rychlej — nie wiem dla czego — codzień przykrzejsza! Odebrała mi klucze i zajęcie — a teraz przy każdym obiedzie narzeka na darmozjadów i próżniacze panny, wyglądające konkurentów. Boję się Warszawy, ale chyba tam, nie będą mi tyle dokuczali. Prezes jest dla mnie tak dobry, jak ojciec.

— A twój narzeczony?

— Dobry także i uprzejmy!—odparła krótko.

Pomimo, że przed babcią Boguską nie miała tajemnic, o Andrzeju nie mówiła nigdy więcej. Staruszka była tem w głębi serca urażona. Zdawało się jej, że Kazia już zapomniała o jej wnuku, a wyznać nie śmie, że tamtego już kocha. Stosunek ich nie miał już dawnej serdeczności.

— I naprawdę nie masz ślubnej sukni? To nie ma sensu! Co ludzie tu pleść będą! — zauważyła po chwili, trochę gderliwie.

— Pomyślałam, że to niepotrzebny zbytek i ceremonja. Z kościoła pojedziemy wprost na kolej. Nie mam matki, któraby mnie stroiła, ani domu gdziebym się przebierała!

— Bardzo to dziwaczne, i nie stosowne. Poco ludziom dawać materjał do plotek!—zamruczała Boguska.—Żebym miała głos; tobym nigdy na to nie pozwoliła.

Kazia spuściła głowę.

— Żeby babcia miała głos, wtedy inaczejby było!—rzekła smutnie.

Staruszka zrozumiała ją i nagle pożałowała swych podejrzeń. Kazia nie zapomniała, tylko już nie pozwalała sobie myśleć i mówić o tamtym.

Znowu umilkły. Zdala od gościńca trąbka pocztowa grała. Po chwili dziewczyna się odezwała:

— Ludzie o mnie tu prędko zapomną. Zaledwie znają—nie powrócę nigdy. Może ostatnią wiosnę wiejską widzę... Wszystko się zmienia, i mnie trzeba się zmienić. Przez tę parę tygodni w mieście dusiłam się wśród murów, tęskniłam ogromnie do pól. Ja nie wiem, jak tam wyżyję. A to już i tęsknić nie będzie wolno—nie wrócę!

— A mnie odwiedzić nie myślisz, niecnoto!—smutnie uśmiechnęła się staruszka.

— Prezes kiedyś się oburzył na macochę, i zaprzysiągł, że mnie tu nigdy nie puści! — odparła.

— A ojca! Przecie odwiedzisz.

— Ojciec do nas przyjedzie. On to rozumie, że tu dla mnie niema miejsca. I tak już, nie wrócę do pól.

— Na pogrzeb mój przyjechać musisz. Wolno ci przecie będzie mnie do trumny ułożyć! Nikogo swojego nie mam, a blizko już mi do ziemi!

— O babciu! — żałośnie szepnęła Kazia, do kolan jej się tuląc.

I płakała długo w cichości.

A w tem na drodze turkot się rozległ, coraz bliższy.

— Po ciebie jadą!—rzekła staruszka.

Na podwórze wpadł wózek, którym Szpanowski pole objeżdżał — powoził Stacho Skowronek.

— Co się stało?—zawołała Kazia, przerażona o ojca.

— Pan mnie na gumnie złapał i kazał duchem po panienkę jechać, a sam do gości poszedł.

— Przyjechali!—Kazia spojrzała żałośnie na Boguską.

— Jutro zatem ślub. Będę w kościele, daj mi wiedzieć, na którą godzinę, żebym cię pobłogosławić mogła. Boża wola, dziecko, Boża wola, nie nasza! Wszystko ci się zmieni, tylko duszy nie zmień—pamiętaj—duszy nie zmień. Niechże cię Bóg prowadzi. — I przytuliła ją drżącą do piersi, krzyż nad głową kreśląc, i po chwili Kazia już była na drodze za starym dworkiem, w którym marzyła życie przebyć, a którego już może więcej nie zobaczy.

Milczała smutnie, gdy wtem Stach się odezwał:

— Panienko, proszę mnie wziąć ze sobą do Warszawy.

— Jakże to, Stachu? Nie można! Cóżbyś tam robił?

— A cóż—koniebym obrządzał! Stary pan mówił, że ma swoje konie.

— Nie mogę przecie narzucać tam ciebie. Nie wypada!

— Ja mu się sam pokłonię, i poproszę. Mnie tu po panience będzie nudno!

— Ależ na służbie jesteś.

— O! tom już urządził. Dzisiaj właśnie dałem w pysk karbowemu, więc mnie rządca wygnał.

— Aleź, Stachu, oszalałeś.

— Com miał oszaleć! Trzeba było rację zrobić, tom zrobił. Inaczejby mnie naprzeciw lata nie uwolnili!

— Nie wyżyjesz w mieście. Szkoda ciebie, Skowronku!—uśmiechnęła się smutnie.

— I tu mi ostać nijako. Do głowym to wziął, pociągnę za panienką. Okrutną ochotę mam! — I śmignął z fantazją biczyskiem.

Na werandzie ogrodowej zastała Kazia obu Sanickich z ojcem, pijących herbatę. Pani domu wymówiła się migreną i nie wyszła. Chciała dokuczyć pasierbicy i zamanifestować, że do żadnych względem niej obowiązków się nie poczuwa.

Prezes był rozpromieniony i wesół. Andrzej blady, zmęczony jakiś, czy niezdrów. Ledwie ukrywał, że go to śmiertelnie nudzi i drażni, że spełnia nieznośny obowiązek. Kazia przeraziła się na myśl, że ojciec może zauważyć jego zły humor, domyślić się prawdy, zaczęła też zaraz wesoło rozmawiać z prezesem, odwracać uwagę Szpanowskiego.

— Ta dziewczyna nie ma nerwów, ni czucia!—pomyślał z niechęcią Andrzej.—Mógłbym ją nogami kopać, zniesie wszystko.

I rozdrażniony, wściekły podniecał się przeciw niej, poprzysięgał, że drogo zapłaci. Wmówił sobie, że jest spólniczką ojca w spisku na jego swobodę i swobody tej postanowił im nie zaprzedać nigdy.

Pani Celina ostatniemi czasy była szczytem uroku i czułości, usidliła go na nowo, przyjechął tu, pijany szałem i rozkoszą. Kazia, zwykle obojętna, była dla niego wstrętna. Wrzał w nim bunt, i złe, nienawistne instynkty.

Był tak źle usposobiony, że nawet prezes bał się wybuchu i skandalu w przeddzień ślubu; drżał, nadrabiał miną, Boga prosząc, by już było prędzej po przysiędze. Dalej — prezes był spokojny. Ale, co życzył pani Celinie w tej chwili, co on jej w przyszłości poprzysięgał!

Jeden Szpanowski nie kipiał w duszy, nie udawał, nie pomstował. Głowa jego pełna była spraw i kłopotów gospodarskich, ale w głębi serca miał spokojną radość, że jutro Kazię swą dobrym ludziom odda, że los jej, szczęście zapewni. Uważał, że Kazia była zanadto niefrasobliwą i wesołą, jak na zakochaną pannę, a Andrzej zbyt sztywny i milczący jak na narzeczonego, ale traktował to jako dziecińswo, i dalej o tem nie myślał.

Po chwili odwołano go do rządcy, więc przeprosił gości i ulotnił się na długą konferencję.

Gdy go nie stało, humor Kazi się urwał. Prezes z niewyczerpaną werwą prawił i prawił, ona słuchała tylko, zmrożona wyrazem twarzy Andrzeja. Drgnęła nagle, gdy prezes wyrzekł:

— Jutro, o tej porze będziemy już do Warszawy dojeżdżali. Dąbscy mają być na dworcu, i Radlicz pewnie przybyć nie omieszka.

— O pewnie! Ten czyha na nasze karykatury!—mruknął niechętnie Andrzej.

Kazia spojrzała na niego. Oczy miał złe, brwi ściągnięte, przykry wyraz ust.

— Widocznie chce pan, by temat miał gotów—rzuciła z gniewnym błyskiem w oczach.

— O! to nie ja chcę!—odparł z naciskiem.

— Dlatego też ma pan minę ofiary, czy skazańca. Jeszcze czas! Jeżeli o mnie chodzi, jest pan wolny.

Ale tu prezes za ręcę ją porwał, przerażony.

— Panno Kazimiero, litości. Niech pani ma wzgląd na mnie! On jest dziś chory, rozdrażniony; proszę mu darować!

— Są granice na wszystko, nawet na upokorzenia. Niech pan wejdzie w moje położenie; dlaczego, po co mam to znosić i cierpieć?! Przygotowanam na złą dolę, ale nie chcę obelg, i jedną rzecz mam prawo strzedz, swej godności. Lepiej się cofnąć dziś, bo potem nie do humorystyki będziemy tematem, ale do skandalu. Ja nie dam sobie ubliżać! Umiem uda-

wać, gdy chodzi o spokój ojca, ale nawet dla niego nie zniosę fałszywej pozycji!

— Pani nie taiłem swych uczuć! — rzekł Andrzej.

— Ja też nie potrzebuję uczuć pana, ani ich wymagam, ale potrzebuję delikatności i wymagam względów i poważania, jeżeli mam zostać pańską żoną.

— Nie uchybiłem w niczem swoim obowiązkom.

— Uchybiłeś i jeżeli masz honor, przeproś!— rzekł stanowczo prezes.

Andrzej się opamiętał. Co powie ludziom, na co ojca narazi. Zrywać w przeddzień ślubu! Przytem powstydził się, że postąpił jak gbur.

— Jestem niezdrów i zdenerwowany—przepraszam panią—rzekł, schylając głowę.

Kazia, milcząc, przyjęła przeprosiny. Chwilę patrzała ponuro przed siebie, wreszcie szepnęła przez zaciśnięte zęby:

— Ach, gdyby nie ojciec!...

I taki był jej dziewiczy wieczór.

Nazajutrz rano, o dziesiątej, pojechali do ślubu. Za bramą spotkali furgon z jej kuframi a obok fornal Stacho siedział, odświętnie ubrany.

— Czy on jedzie do Warszawy? — spytała ojca.

— Ano tak. Urwis od tygodnia nudził mnie o to, a wczoraj prezesa uprosił. Niech jedzie, ręczę, że po miesiącu będzie się napierał z powrotem. Odeślesz mi go! Tymczasem nie było sposobu utrzymać. Prezes kupił te dwie klacze kasztanowate, i skarogniadą dla ciebie, pod siodło. Będą cię tam pieścili, dziewczyno! No, chwała Bogu!

I uśmiechał się radośnie poczciwy Szpanowski. A ona z zazdrością myślała, że Stacho wrócić może, gdy się stęskni za polami.

W parafii, jako w dzień powszedni, kościół był prawie pusty. Babcia Boguska modliła się półgłosem, kilka kumoszek i starców drzemało po kątach.

Gdy ksiądz wyszedł do ołtarza, Andrzej podał ramię Kazi, ojcowie ruszyli za nimi, i ślub się rozpoczął.

W pustej nawie rozbrzmiewały uroczyste słowa. Andrzej machinalnie powtarzał za księdzem przysięgę, nie wiele wierzył, i uważał to wszystko za próżną ceremonię, myślą był gdzieindziej.

Zdziwił go głos Kazi, spojrzał na nią. Była biała jak ściana, wargi jej drżały, oczy miały wyraz bezmiernej żałości.

Gdy związano im ręce, zdało mu się, że umarłej dotyka. Tedy i jego objął jakiś dziwny

lęk, i zastanawiał się sekundę, że ceremonia ta nie próżną jest, ale że krzywoprzysięga.

Lecz tylko sekundę. I znowu myśl zajął frasunkiem, jaką minę przyjąć w Warszawie, by uniknąć śmieszności i konceptów pani Belli i Radlicza. Będą na dworcu niezawodnie i pójdą stamtąd wprost na Erywańską, ze szczegółowem sprawozdaniem.

A tu ksiądz, który Kazię chrzcił, i do Komunii przygotowywał, i lubił bardzo, wystąpił z przemową do nowożeńców. Mówił, że zakładają rodzinę, ognisko nowe, które powinno święcić i ogrzewać, być przykładem cnót i miłości. Że wiążą się dozgonnym ślubem na złą i dobrą dolę, by nawzajem dla siebie być pociechą, pomocą, opieką i wspomożeniem, a dziatki chować na dobre sługi wiary i społeczeństwa.

Szpanowski i prezes rozrzewnili się, Andrzej w ziemię spuściwszy oczy, satyrycznie się uśmiechał, Kazia osłupiałym wzrokiem patrzała, nic nie słysząc, i nie rozumiejąc, babcia Boguska smutno kiwała głową. Nareszcie ksiądz błogosławieństwem zakończył, a Andrzej podał ramię Kazi i wyprowadził ją z presbiteryum.

Tedy ona nareszcie oprzytomniała, i wysunąwszy rękę, poszła ku babci Boguskiej i dłonie jej ucałowała. Staruszka nad jej głową na-

kreśliła krzyż i z cicha wyszeptała ostatnie pożegnanie.

— Duszy nie zmień, dziecko, duszy nie zmień, zachowaj ją zdrową.

Andrzej, pozostawiony sam, patrzał na to z widocznym niesmakiem.

— Zaczyna się melodramat!—pomyślał. To szczęście, że mnie nikt ze znajomych nie widzi. Głupia pozycya!

Kazia trzymała w ręku pyszny bukiet, dar prezesa, bukiet biały, ślubny. Podała go babci Boguskiej.

— Chciałabym go na grobie mamy położyć—szepnęła—ale może ojcu będzie przykro, i tym obcym nie chcę robić widowiska! Proszę go jej zanieść odemnie.

Raz jeszcze ucałowała ręce staruszki, i wróciła do Andrzeja.

— Mamy wstąpić do zakrystyi!—rzekł sucho.

— Po co?—zdziwiła się.

— Ano — ojciec nie uspokoi się, aż aktu z tej ceremonii nie będzie miał w kieszeni. Musimy przy tem asystować.

Bez słowa, urażona tonem jego, poszła do zakrystyi. Ojcowie już tam byli, wesoło rozmawiając z proboszczem. Akt spisano formalnie, wyraźnie, prezes dopilnował podpisów i dat, i odetchnął, gdy papier urzędowy dostał do rąk.

Czuł na sobie ironiczny wzrok syna, ale teraz już o niego nie dbał. Teraz mu śpieszno było do domu tylko.

Powozy czekały przed kościołem.

— No, ruszajcie naprzód, my starzy za wami!—rzekł Szpanowski.

Kazię zabolało serce, że ojciec już tu ją opuszcza, a on poczciwiec myślał im dogodzić, by się co rychlej pozbyli świadków, i tak ruszyli ku stacyi kolei.

Po przez mur cmentarza ujrzała jeszcze Kazia babcię Boguską, składającą jej bukiet na mogile matki—i powóz wybiegł na gościniec.

Byli tedy poślubieni i sami.

— Wszystko się zmienia i modyfikuje, stosownie do potrzeb czasu i rozwoju ludzkości. Że też mogła się utrzymać dotąd tak barbarzyńska ceremonia, jak śluby małżeńskie!

Były to pierwsze słowa Andrzeja.

Kazia się przeraziła. Chwilę nie znalazła odpowiedzi. Ale on odpowiedzi nie czekał, i mówił dalej:

— Wymagać, żeby ludzie przysięgali na obowiązki, których spełnić nie podobna, a potem grozić im piekłem za krzywoprzysięstwo! Co za absurd! Zresztą co religii do ludzkich żądz lub interesów! Niegdyś to może miało racyę bytu, gdy kościół był prawodawcą, policyą,

sądem i poborcą podatków, a ludzie bezmyślnem stadem. Teraz to jest formą bez treści!

— Ja myślę, że gdyby tego nie było, ludzie dopiero zostaliby stadem! — rzuciła oburzona Kazia. Żaden z reformatorów nawet tego nie tknął.

— Owszem, bo dali swobodę rozwodu.

— To i w naszym kościele jest dozwolone.

— Kosztem nowych kłamstw i fałszów. To żadne wyjście, to nowe oszustwo.

— Więc jakże inaczej być może!—szepnęła Kazia, blizka płaczu z oburzenia.

— Małżeństwo powinno być umową dwojga ludzi. Doczesną i terminową. Doczesną, bo szał jest krótki, terminową — bo to jest interes, jak każdy inny.

— Więc pan, oprócz szału i interesu, innych pobudek nie uznaje.

— Co do małżeństwa—żadnych. Rozumiem, i odczuwam miłość, ale mam ją za rzecz tak wzniosłą, że wolałbym się jej wyrzec, niż szargać i pospolitować w codziennem pożyciu, w sprawach banalnych, w nędznych troskach o kuchnię, służbę, pranie, i inne małostki żywota. Żadne uczucie w takiej kulturze ostać się nie może. A ci, którzy dowodzą w podobnych warunkach miłości, tyle o niej wiedzą, co kret o gniazdach.

Kazia zacisnęła zęby, poprzysięgając milczenie.

A zatem z jednego prześladowania dostaje się pod drugie. Przed chwilą człowiekowi temu przysięgała miłość, była pełną dobrych chęci i postanowień zacnych, teraz poczynała się burzyć, odczuwać dlań wstręt i nienawiść.

Z rozmysłem brutalnie odtrącił ją i poniewierał, by nawet nie pozostał atom porozumienia i zgody. On rad byłby dyspucie, by żółć swą wyrzucić do reszty, chwilę czekał wybuchu, cieszył się nań, wreszcie spojrzał na nią.

Twarz jej wydała mu się obcą, tak martwą i zimną przybrała maskę, patrzała na pole i orzące pługi.

— Pani mi zaprzeczyć nie może!—rzekł ze swym przykrym, ironicznym uśmiechem.

— Nie mam ochoty. Nie chodzi mi wcale o przekonania pana, a moje teorye mam tylko dla siebie—rzekła zimno.

— Bardzom pani za to obowiązany. Właśnie tego pragnąłem!—rzucił urażony.

— Pragnienia pana będą dla mnie zasadą, nie podlegającą żadnym modyfikacyom.

Zapanowało milczenie, i nie przerwali go, aż do stacyi.

I to było Kazi poślubne sam na sam.

Potem nastąpiło ostateczne pożegnanie z ojcem.

Nie wiedziała, co mu rzec, nie śmiała prosić, by ją rychło odwiedził, a wiedziała, że w Górowie będzie mu nieznośnie pusto bez niej, więc tylko tuliła mu się do serca, powtarzając:

— Dziękuję, tatusiu, za wszystko. Będę pisać często, codzień, żeby mnie tatuś zawsze czuł przy sobie.

Pociąg ruszył, wyglądała doń, i ciche łzy biegły jej gradem po twarzy; pociąg był już w polu, a ona wciąż patrzała za siebie, opanowując wzruszenie i łzy, by ich tym obcym nie pokazać.

Andrzej tymczasem rozłożył gazetę i czytał, a prezes zagaił z nią rozmowę o życiu pól i domów, pytał o zboża na łanach, które mijali, potem o rozległość Górowa i o gospodarstwo.

Po chwili uspokoiła się zupełnie, i tak gawędzili poważnie. Zaczęła pytać o ustrój domu, dowiadywać się o obowiązki gospodyni.

A tam w Warszawie oczekiwano ich niecierpliwie.

Oprócz Dąbskich wyjechał na dworzec i Radlicz z bukietem, który od kilku tygodni nieobecny Kazi jeszcze nie znał. Droczyła się z nim pani Tunia.

— Powie mi pan swoje pierwsze malarskie wrażenie. Stokroć to będzie, czy topola! Powiem panu pod sekretem: wełna—nic więcej.

— Patrzajno, zagadnął Dąbski—widzisz tę facetkę w lilia sukni i tajemniczem woalu. Coś znajomego.

Radlicz spojrzał i zachichotał.

— Nie wytrzymała! Jak babcię poważam—jest!

— A toć Belcia z Mazowieckiej! Czekajno, pójdę zdemaskuję ją, i dowiem się, czy ją przysłano z Erywańskiej.

Ale pani Bella wcale się nie zażenowała.

— Ano tak, przyszłam, pokłóciłam się z Cesią i jestem. Ginę z ciekawości, nie mogłam wytrwać, wykradłam się. Ona, mniejsza, ale jego minę zobaczyć. To będzie kolosalnie zabawne! Jak pan myśli, przyjdzie on do nas jutro?

— A pani Celina, jak myśli?—zaśmiał się.

— O, ta nie wątpi! Ona jest tak pewna siebie, jakby była mężczyzną.

— Przepraszam, ja jestem mężczyzną, ale wobec pani zupełniem siebie nie pewny!

Potrąciła go parasolką.

— Cicho, jestem zupełnie tamtymi przejęta. Słyszy pan? sygnałują! — i wypadła na platformę.

Pociąg wchodził na stacyę. Pani Bella dotarła wprost wagonu pierwszej klasy, i doznała rozczarowania. Ujrzała obok prezesa dziewczynę smukłą, szykownie ubraną, bardzo powściągliwą w ruchach i słowach, zupełnie nie śmieszną i nie dziwaczną, a za nią Andrzeja, ze zwykłym wyrazem twarzy, zajętego zdawaniem tragarzowi ręcznych pakunków.

— No i nic! — pomyślała pani Bella z desperacyą. Warto było robić „esklandrę!“

Oni tymczasem powitali Dąbskich, i poszli gromadką ku powozom. Nic nie było zabawnego, chyba Radlicz, który dreptał obok panny młodej, i tak łakomie jej się przypatrywał.

Saniccy wsiedli do swego powozu, Dąbscy zabrali ze sobą malarza. Pani Bella bardzo zawiedziona, ruszyła ku dorożce! Nic nie było, nic, nic, o czemby warto było wspomnieć.

Pani Tunia zagabnęła Radlicza:

— No i cóż! stokroć, czy topola?

Malarz chwilę myślał, i wbrew zwyczajowi nie drwił.

— Ani jedno, ani drugie! A przecie przypomniała mi kwiat! Wie pani, jaki? Wrzos! Znam takie wrzosowiska w kwiecie. Zdrowie od nich idzie, i robią wrażenie czegoś bardzo subtelnego, a silnego.

— Ona ma taki wdzięk nie świetny, nie pozorny. Cieniutka, skromniutka, bez blasków,

barw, form okazałych, taka gałązka koralowa, osypana drobniutkiem kwieciem, łagodnej barwy, a kształtów nadzwyczaj ślicznych, gdy się im przyjrzeć uważnie!

I nie zwiędnie to i nie osypie się. Zdrowe i silne! Podobała mi się okrutnie. Zarazbym się z nią żenił! Jak babcię poważam!

— A do ciebie co przystąpiło! — zdumiał się Dąbski.

— Nasz humorysta, w elegii! — śmiała się pani Tunia. Ten sonet o wrzosie obejdzie Warszawę! To panu ja zapowiadam! I żeniłby się—nie, to zbyt zabawne.

Ale Radlicz naprawdę był oczarowany.

— Żeniłbym się! Naturalnie! A rycerzem jej zostaję od dzisiaj, i oprócz wrzosu, nie noszę innego kwiatu, i będę ją malował całe życie!

— Jednakże uchwyciłeś dobrze jej wyraz. Prosta i zdrowa!—rzekł Dąbski. Szkoda jej dla takiego Andrzeja, bo ten się na tem nie pozna. Jest przecywilizowany!

Kazia stanęła u progu nowego życia.

Nikt jej tam chlebem i solą nie powitał, ani ujrzała życzliwej twarzy.

Janowa, żona kamerdynera, gospodyni kawalerska obu Sanickich, patrzała na nią, jak na postrach i kontrolę; jej małżonek, pewny swej władzy i zasług, był sztywny i dość na-

wet lekceważący, reszta służby wyzierała z głębi sieni, mało się o nią troszcząc. Znali zbyt dobrze zakulisowe sprawy.

Mieszkanie było przystrojone, urządzone, jak z igły, pełno kwiatów, ale Kazię odrazu przejął wstrętem charakterystyczny zaduch warszawskich domów, mięszanina naftaliny, gazu i gutaperki; i duszno jej się zrobiło w pokojach, pełnych mebli i cacek, ocienionych zbytkowemi firankami i portyerami.

Prezes oprowadzał ją po mieszkaniu. Na parterze mieli dwa salony, jadalnię, jego sypialny, i gabinet do przyjęć oficyalnych. Na piętrze młoda para miała dla siebie pięć pokojów.

Zbytek i elegancya apartamentu nie zrobiły na Kazi wrażenia, dopiero na widok szaf, pełnych książek w gabinecie prezesa, uśmiechnęła się radośnie.

— O! co za rozkosz! Tyle do czytania!— rzekła.

Potem ucieszyła się fortepianem, ale nie śmiała dotknąć go, i zobaczywszy w swej sypialni kufry z wyprawą i własne mebelki, pomyślała:

— Tu się po swojemu urządzę! Będę miała na jutro zajęcie! I ta myśl była najprzyjemniejszą.

Była jednak tak zmęczoną, że na długie rozmyślanie nie stało czasu. Zasnęła twardo, bez snów i marzeń, jak zasypiała wśród swych pól, po znojnym dniu.

Nazajutrz równo ze świtem się zbudziła, siłą długiego przyzwyczajenia, i długą chwilę nie mogła zrozumieć, gdzie się znajduje. Ciężkie wozy toczyły się po bruku, łoskotem żelaza napełniając powietrze, ale słońce nie zaglądało jej w okno, jak w Górowie, ani ptasząt słychać nie było.

Zerwała się i poczęła rozmyślać. Zbytkowny pokój wydał się jej więzieniem, życie nieznośnem bez pracy.

Ubrała się spiesznie, i zeszła na dół. Wszędzie cisza, i służba i panowie jeszcze spali.

Kazia wróciła na górę, i uważnie, by nie zbudzić nikogo, poczęła swe kufry wypakowywać. Parę godzin jej tak zeszło, zanim lokaj nie zaczął sprzątać salonów. Zdziwił się i przeraził, gdy ją ujrzał ubraną, i zaalarmował sutereny. Zjawił się Jan zaspany, wreszcie jego małżonka z kluczami.

— Czy jaśnie pani dzisiaj je weźmie?—spytała kwaśno.

— I owszem, zaraz!—odparła.

— To może i kucharka ma przyjść do jaśnie pani?

— Naturalnie.

— Wedle rozkazu, tylko ja już odpowiedzialna nie będę, jeśli się panom nie dogodzi!—odparła Janowa, nie tając niezadowolenia, i składając pęk kluczy.

Poczem zniknęła, znosząc do suteren zły humor i intrygi. Małżonek jej udał się do sypialni panów, ignorując zupełnie młodą panią.

Ale Kazia nie była bezradnym podlotkiem. Umiała rządzić i pracować, umiała sobie radzić. Wnet też ujrzała, że kucharka i młodszy lokaj stanowili przeciwny obóz małżonków, i tem wzmocniona, zajęła się gospodarstwem. Gdy panowie przyszli na herbatę, zastali już wszystko gotowe, wedle swych nawyknień i gustu, nawet poranne gazety przy nakryciu, i Kazię, jak zawsze pogodną, prezydującą u stołu.

Prezes rozpromieniony ucałował ją, i zaraz się przy niej ulokował. Andrzej chmurny, nie swój, nie wiedział, jak ją przywitać. Był jej wdzięczny, gdy mu pierwsza podała rękę, którą w powietrzu pocałował.

— Jakże moja córuchna myśli dzień spędzić?—spytał prezes. Bo ja jestem na twoje rozkazy.

— Zdaje mi się, że warto odpocząć przedewszystkiem;—rzekł Andrzej.

— Właśnie radabym tu znaleść po czem odpocząć. Czem właściwie mam się zająć?

Ale — oto menu obiadu! Może moi panowie znajdą coś do zmiany.

— Ja dziś obiaduję na mieście! — odparł Andrzej—i wieczór mam zajęty.

— Czasu ci zabraknie, a nie roboty, gdy złożycie wizyty! — rzekł prezes, odpowiadając Kazi.

Oczy jej stały się żałośne.

— Ach wizyty, to nie robota. Jabym chciała masę mieć obowiązków.

— Hm, albo ja wiem, cobyś mogła robić poza tem—zafrasował się prezes.

— Proszę mi tylko dać prawo, a ja już sobie sama wynajdę!—uśmiechnęła się.

— Ależ prawo masz, dziecko, zupełną swobodę. Dom ten będzie pod samowładnem twem berłem.

Andrzej wypalił papieros i powstał.

— Pożegnam już państwa do jutra. Idę do biura!—oznajmił. Może mi ojciec przyszle tam konie na czwartą.

— Na czwartą będą, ale mi je odeszlij przed teatrem.

— W takim razie proszę wcale nie przysyłać. I wyszedł, kiwnąwszy ledwie głową.

— Tatku—rzekła z cicha prosząco Kazia— po co tatko to uczynił. Konie mu posłać, niech w niczem nigdy nie uczuje przymusu z mej racyi.

— A za pozwoleniem, teraz my panami!— wybuchnął prezes po francusku. Nie można pozwolić się lekceważyć!

Zamyśliła się, spojrzała nań poważnie, i bardzo stanowczo rzekła:

— Jeśli ojciec chce, abym ja zobowiązania moje spełniła, proszę i moje zdanie przyjąć. Wzięłam na siebie ciężkie zadanie i wytrwam tylko wtedy, gdy nie będę sobie miała nic do wyrzucenia. Jeśli zaś będziemy go drażnić, jątrzyć, ja ojcu wypowiadam posłuszeństwo. Do teatru ojciec pojedzie sam dorożką, a ja mam na wieczór dużo roboty z memi rzeczami, a konie ojciec mu poszle bez ograniczenia czasu.

— A jeśli ja zechcę partyjki winta u kolegi, to idź stary piechotą dla tego, że pan syn wozi może woltyżerki do Marcelina! — obruszył się prezes.

Kazia serdecznie przytuliła się do niego.

— Zrobi tatuś dla córuchny!—szepnęła pieszczotliwie.

— Oj ty, ty! Coś mi się zdaje, że ty kiedyś i starego i młodego będziesz za nos wodzić.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Nie chcę tego. Pragnęłabym wam nie być ciężarem, i broń Boże powodem do nieporozumień, a owszem jakąkolwiek pomocą

w domu. Boję się zaś jednej tylko rzeczy, by nasze stosunki nie stały się plotką ludzką, nie doszły do ojca. Jegoby to zagryzło. Co ludzkie siły mogą, uczynię, by do tego nie doszło.

— Cóż znowu! Wszystko się ułoży. Jestem spokojny.

— Ułoży się, jeśli ojciec będzie mnie słuchał!—zaśmiała się.

— No, no, w miarę powinny być i ustępstwa!

— Od czego, kiedy ja żadnych praw nie roszczę!

Tu już się prezes oburzył.

— Co ty wiesz, co ty rozumiesz! Zobaczysz, że przyjdziesz do mnie po radę i ratunek! Et!

Machnął ręką, ucałował ją i wstał.

— Cóż tedy za program dnia?

— Zaraz zarządzę obiad, wydam służbie rozkazy i jeśli ojciec chce mi towarzyszyć, to proszę na mszę.

Ale jeszcze jedno! Zdaje mi się, że Janowa będzie teraz zbyteczną. Wezmę jej obowiązki na siebie.

— Dajże pokój. Przecie możemy sobie pozwolić na gospodynię.

— Czemże ja będę? Na mebel do salonu się nie zdałam.

— To pasya do pracy! Pierwszy raz coś podobnego spotykam...

— Tatuś mi obiecał!

— Ano, czyń, jak chcesz. Może masz racyę. Więc tedy trzysta rubli miesięcznie na kuchnię w twoje ręce będę składał.

— Tyle pieniędzy!

— No no, nie wpadnijno w niedobory!— zaśmiał się.

Pójdziemy do kościoła!

Wyszli po chwili piechotą pod rękę. Prezes chwalił pogodę i sąsiedztwo ogrodu Saskiego. Kazię dym i wyziewy miejskie dławiły w gardle. Chwilami wspomnienie pól zalatywało ją, jako przedsmak okropnej nostalgii, ale je odganiała jeszcze odważnie, zmuszając się do zajęcia ruchem ulicznym. Instynktownie bała się wspomnień.

Prezes co krok spotykał znajomych. Wszyscy przyglądali się jej ciekawie. Męczyło ją to i żenowało ogromnie, a prezes radował się tą wystawą, pyszny był z synowej, czuł, że się podoba, i co chwila, uśmiechnięty, do niej się zwracał.

— Robisz furorę, Kaziu!

— Pod ziemię bym się skryła!—odparła rozpaczliwie.

— Dziwna z ciebie kobieta.

— To też ja nie chcę być kobietą, w znaczeniu ojca i tych panów, których wzrok jest obelgą!—szepnęła płaczu blizka.

Gdy weszła do św. Krzyża, odetchnęła swobodniej i, zaszyta w kącik, pomodliła się gorąco.

Modliła się za ojca, i za matkę zmarłą, potem za babcię Boguską, i, siłą nawyknienia, za Stacha.

Zastanowiła się jednak, i rozważyła skrupulatnie: nie powinna już się za niego modlić. I wtedy zapłakała po nim, i jak po umarłym zmówiła pacierz.

Powrót do domu był dla niej nową męką. Na placu Zielonym spotkali Radlicza, który jakby na nich czatował i przeprowadził aż do bramy.

Oczy jego, pełne nietajonego zachwytu, udręczyły ostatecznie Kazię. Milczała, słuchając nowin miejskich, które jej się wydawały tak obce, a szczególnie tak nadzwyczajnie błahe, i pożegnała tego pierwszego adoratora tak zimno i obojętnie, że aż to prezes zauważył.

— To jest wielki przyjaciel Andrzeja i prawie nasz domownik. Nie bądźże dla niego tak kolącą. Dobry chłopak, tylko zły język. Panie go się boją, jak ognia, i psują na potęgę. Myślę, że nie odmówiłyby mu nic, pod strachem karykatury! A urwis zdolny, tylko próżniak, bo zamożny.

— Mnie tem nie nastraszy, ani zjedna!— odparła obojętnie.

Prezes udał się do swego gabinetu dla załatwienia korespondencyi zaległej, ona się krzątała po domu. Słyszał ją nucącą i rozrzewniała go myśl, że to dobre, rozumne dziecko pozostanie już wśród nich, ożywi dom, i może stworzy ognisko, którego prezes od lat tylu był pozbawiony.

Czy temu dobremu, rozumnemu dziecku ten dom nie stanie się czyśćcem, o tem prezes nie pomyślał, chociaż niby bardzo Kazię kochał.

Andrzej, wychodząc z biura, znalazł czekające na niego konie. Chciał je odprawić i nająć powóz, ale stangret objaśnił, że starszy pan wcale ich dzisiaj nie potrzebuje. Były to nowe konie, dwie klacze kasztanowate, kupione w Górowie. Ludzie się na nie oglądali, szły jak lalki, więc się Andrzej udobruchał i siadł do powozu.

— Pojedziemy na Erywańską!—rzekł.

Stangret już wiedział, że to znaczyło kilkogodzinne czekanie pod bramą, poczem wieczorną wycieczkę za miasto. Klął w duchu swój los.

Pani Celina nie przyjmowała dziś nikogo. Czekała Andrzeja, na pozór spokojna, drżąc wewnątrz niepokojem. Przywitała go serdecz-

nie, wesoło, niczem się nie zdradzając, i zaraz rozpoczęła rozmowę o wypadkach parodniowej jego nieobecności, zdając sprawę ze swych czynów i myśli.

Były z Bellą w teatrzyku ogródkowym, ta waryatka ciągnęła ją na kolacyę, ale nie, nie była w humorze, zresztą coby tam robiła bez niego? Widziała nowy obraz Siemiradzkiego. Radlicz ją eskortował, targowała szafę gdańską z okazyi, ale się bez niego nie zdecydowała; zaprowadzi go tam jutro, obstalowała letni kostium, zrobi mu niespodziankę.

Gwarzyła swobodnie i od niechcenia spytała:

— Nie zostaniesz na obiedzie—zapewne?

— Chyba mnie nie zaprosisz! Mam i wieczór wolny, i nowe konie czekają u bramy. Pojedziemy o zmierzchu.

— Tak, o zmierzchu! — powtórzyła bezdźwięcznie, czując, że zstępuje o jeden szczebel niżej i że słońce nie będzie już ich spacerom przyświecać...

Zrozumiał ją i spuścił głowę.

— Sama mi przyznasz racyę! — Treść należy do ciebie. Pozory muszę zostawić...

Nie dokończył, podniósł oczy.

— Nie pytasz mnie o nic?

— Nie chcę dożyć chwili, gdy będę musiała pytać—odparła.—Między nami niema ta-

jemnic, rozkoszą naszą są zwierzenia i spowiedź z najskrytszych myśli. Nie poruszam tylko kwestyi bolącej; ty tu przychodzisz po radość i odpoczynek.

— Stało się tedy. Wczoraj przywiozłem fant do domu. Nie jestem słodko względem niej usposobiony, ale wyznać muszę, że jak dotychczas, wcale się mną nie zajmuje.

— Złożycie wizyty, będziecie przyjmować. To będzie uciążliwe.

— Zapewne, chociaż zredukuję to do *minimum*.

— A jeżeli się ona w tobie zakocha?

Ruszył pogardliwie ramionami.

— To się stanie, zanadtoś piękny, chyba...

Urwała dyskretnie.

— Chyba zakocha się w kim innym, toby było świetne i tryumf twego ojca zmieniłby się w klęskę.

Milczał, urażony.

— Mam nadzieję, że i to się nie stanie— rzekł wreszcie.

— Więc cóż za przyszłość?

— Nie obchodzi mnie. Zawarowałem sobie swobodę, będę z niej korzystał.

Teraz ona milczała. Byli szczerzy dotychczas, ale nie domawiali swych myśli. Onaby zohydzić chciała tę swoją rywalkę, tak na pozór nic nie znaczącą, a tak wyższą i silną.

Nienawidziła ją z całej duszy, a samaby mu tego nie wyznała. On rozżalony był do niej, że mu pozwoliła na ten związek, nie okazała zazdrości, nie obroniła go przed głupią pozycyą i kłopotem. Chociaż za nicby jej tego nie wyznał, uważając to za nizkie uczucie i niekonsekwencyę, wobec uznania, którego jej za takt nie szczędził.

— Bella poleciała wczoraj na stacyę. Widziała ją!—rzekła po chwili pani Celina.—Mówiła, że jest przyzwoita, a Radlicz dowodzi, że śliczna. Kłócili się o to cały wieczór. Jakąż ona rolę sobie obrała?

— Doprawdy nie wiem. Cały dzień byłem w biurze, a wczoraj głowa mnie szalenie bolała. Nie mówiliśmy ze sobą trzech słów. Teraz jestem głodny!—dodał żartobliwie.

— A ja, jak prawdziwa kobieta, karmię cię zazdrością. Chodźże—dzisiaj nasze!—odpowiedziała podobnież. I otoczywszy mu szyję ramieniem, poprawdziła do jadalni.

O zmierzchu, jak było postanowione, pojechali za miasto. Pani Celina spytała o konie, zachwycona szybkością.

— Kupiłem ze wsi! — odpowiedział wymijająco.

Biedny, poczciwy Szpanowski nie wiedział, komu poszły służyć jego pieszczone kasztanki.

Andrzej wrócił do domu nad ranem. Nazajutrz przyszedł do herbaty zmęczony i rozdrażniony, czując, że powinien się usprawiedliwić, przygotowany na uwagę ze strony ojca, może na łzy Kazi.

Ale prezes nie uczynił żadnej wzmianki, Kazia rozmawiała swobodnie, ignorowali go zupełnie. Dopiero gdy wychodził, ojciec rzekł:

— Radlicz się o ciebie wczoraj wieczorem dopytywał. Zaprosiłem go dzisiaj na obiad; ano i do Dąbskich powinniście pojechać.

— Tak prędko— po co? Można za parę tygodni.

— Nie można. Tak wypada, a przytem forma musi być zachowana. Ludziom musicie się pokazać.

— Ano—to odrazu to odbyć! Gdzież mamy bywać?—zwrócił się niecierpliwie do żony.

— Zkądże ja mam to wiedzieć? Panowie wybiorą dla siebie, a potem z sumy ja sobie wybiorę, co mi się podoba. Teraz służę wszędzie.

Nie, wcale seryo i tragicznie nie traktowała swego losu. „Ja sobie wybiorę, co mi się podoba", ukłóło Andrzeja. Rozdział stosowała tedy i co do siebie, i dążyła jak on do swobody.

Ruszył brwiami: mniejsza z tem!

— Wizyty oddamy jutro tedy! — zdecydował; będziemy u Dąbskich, Morawskich, Hankich i Gostyńskich. Zresztą pustki; nikogo więcej w mieście niema.

— Tak, tymczasem będzie dosyć. Jesienią trzeba będzie wybrać dzień na przyjęcia!— rzekł prezes.—Myślę, że piątek!—dodał po namyśle.

Krew nabiegła do twarzy Andrzeja, zrozumiał myśl.

— Piątki ja mam zajęte!—rzucił ostro.

— Ano, zobaczymy!—obojętnie odparł prezes.

Kazia wmieszała się do rozmowy.

— Ja także jestem zdania pana — rzekła, zwracając się do męża.—Po co taki pośpiech? Ojcu tęskno za wintem i ludźmi, i dla mnie przymus sobie czyni, spędzając samotne wieczory. Tak być nie powinno. Niech się panowie mną nie krępują. Daję wam zupełną wolę i swobodę, w zamian za klucz od biblioteki. Będę się bawiła w tem towarzystwie, jak król!

— Et! bajesz!—obruszył się prezes.—Zanim wizyt nie oddacie, będziesz jak w niewoli, i ja ciebie nie odstąpię. A przytem—bój się Boga—mówisz do niego: pan; to niemożliwe.

— Ba, a jak zapomnimy na razie imienia będzie jeszcze gorzej!—roześmiała się.

— Nie żartuj! Musicie przecie mówić sobie po imieniu.

Andrzej brał za klamkę i śpieszył się.

— Na którą obiad?—spytała go.

— Wrócę o piątej.

Zaraz po nim i prezes się ulotnił. Miał przeróbki w kamienicy, potem interes u rejenta. Kazia została sama, zazdroszcząc im zajęcia. Jej zatrudnienia były zabawką po pracy na wsi. Rachunek z kucharką, porządek w domu, drobne szczegóły z ogrodnikiem, cukiernią, handlem delikatesów. Starczyło do południa. Potem zeszły na podwórze. Miała tam przecie znajomych: konie z Górowa i duszę przyjazną—Stacha Skowronka.

Stangret submitował się nowej pani, Stacho rzucił się do niej, prawie płacząc z radości. Poczęła pieścić klacze, cukrem je karmić, a one, jakby ją poznały, wyciągały szyję, skubały za rękaw.

— Biedaczki! tak tu się nudzą, a takie wystraszone. Rżą, że aż się serce kraje!—mówił Stacho.

— A tobie jakże się podobało?—spytała.

— Wedle wiktu—to ha!—odparł, i zerknął w stronę stangreta. — W gębę też jeszcze nie wziąłem od pana Walentego.

Tu głos zniżył:

— Ino mi się cnie za Górowem. Oj cnie! i westchnął.

— Przywykniesz, tylko pracuj i złej kompanii unikaj.

— Jakaż ta tu robota! Precz się rozpróżniaczę. Pan Walenty mówił, że będę za panienką, tfu, za jaśnie panią jeździł w jakieś Łazienki. Kiedy to będzie?

— Nie mam czasu dzisiaj!

Szła ku bramie, Stacho za nią.

— Za przeproszeniem jaśnie pani, co tu jest do roboty? Woda precz—na górze, chleb gotowy, co ino człek zamarzy, to na rynku jest, siano przywiozą, owies przywiozą, nawet sieczka gotowa. Człowiekowi się zda, że się żydem stał, co ino cudzemi rękoma robi, i tylko pieniądze przebiera. Juści tu wszelakiego się napatrzę i użyję, ale com umiał, to zapomnę, a od tego smrodu to mi i picie i jadło nie smakuje. Koniska prychają, jak od ciemierzycy, tak im to powietrze w nosie kręci. Widzi mi się, że my tu nie przystaniemy z ochotą!

— Trzeba się przyzwyczaić, Stachu. A może grosza nie masz, biedaku!

— E, nie o to! Jabym ino chciał, gdzie bliżej jaśnie pani być. Z końmi to ja lubię żyć, ale tu ino na nie patrz, a nie używaj! Co to warte. Walenty mówił, że Janowie ino kwartału czekają. Jabym do pokoju poszedł na młodszego. W tej stajni, to ja nawet mego

pana nie zobaczę, jak z Górowa do pani przyjedzie!

Kazia uśmiechnęła się.

— Ależ Stachu, nie umiesz ani się ruszać, ani mówić. Byłoby ci jeszcze nudniej w pokojach. Musiałbyś milczeć zawsze.

— Tobym milczał. Ale jabym ja panience usłużył. Ja się duchem służby nauczę!

— No to się ucz—i czekaj cierpliwie! Rozważę!

Stacho nabrał otuchy, poweselał widocznie. Pocałował ją w rękę, i oczyma przeprowadził do bramy.

Kazia wzięła książkę z biblioteki, i chciała czytać uważnie, ale myśli miała niesforne.

Co robić, czem zwalczyć pustkę i nudę takiej egzystencyi, jaki cel dać życiu, które może jeszcze długie leżało przed nią? Tutaj, nikt jej nie potrzebował. Obcą jest zupełnie, obcą pozostanie, jeśli nie wrogą.

Książka opadła na jej kolana, a ona siedziała wtulona w kąt otomany, w gabinecie prezesa, blizka płaczu.

W tem dzwonek się rozległ w przedpokoju, po chwili rozmowa Jana z odwiedzającym.

— Pana prezesa niema w domu.

— Wiem o tem — odparł ktoś, ale mi tę godzinę naznaczył, a że dzisiaj odjeżdżam, więc zaczekam.

— Proszę pana hrabiego do gabinetu.

— Zanim Kazia miała czas powstać, gość wszedł. Jan za nim drzwi zamknął.

Spojrzeli na siebie, oboje zdziwieni. Gość się skłonił i zapatrzył się na nią. Ona powstała.

— Pan zapewne do pana prezesa Sanickiego. Proszę spocząć, za chwilę wróci.

— Dziękuję pani. Istotnie mam interes i bardzo mało czasu, więc lękam się rozminąć. Ale daruje pani moje zdziwienie, na widok kobiety u prezesa. Pani pozwoli się przedstawić: Eustachy Kołocki.

— Zdziwienie pana jest słuszne, gdyż prezes jest moim teściem, zaledwie od trzech dni!

— Andrzej się ożenił! — z wyrazem bezmiernego podziwu zawołał gość i znowu się w nią zapatrzył.

Był to człowiek czterdziestoletni, z piękną rasową twarzą, na której ▁ył się przesyt i zmęczenie.

— Pani zapewne nie z Warszawy? — rzekł po chwili.

— Dlaczego?—uśmiechnęła się.

— Bo znam wszystkie tutejsze piękne panny!

— Przepraszam pana—czy pan fotograf?— odcięła.

— Nie pani, tylko czciciel piękna. Ten Andrzej w czepku się rodził. Fortuny używa

i nie stracił, młodości używa i nie zużył, umie życie trzymać w garści i kierować, gdzie i jak sam chce. No i ożenił się i doprawdy gotów nawet być szczęśliwym do końca! Ja, jego mentor, uchylam przed nim głowy.

— Panowie się znają oddawna? — spytała Kazia.

— Od dnia mojej pełnoletności i rozpoczęcia procesu z matką. Dwadzieścia lat ubiega.

Spojrzała nań ze żgrozą.

— Pani się dziwi? Tak jest. Mam jedną nienawiść—matkę, i jedno marzenie—jej dokuczyć. Że zaś interesy jej są w ręku prezesa, widujemy się często. Licho mu płacę, więc przez wdzięczność zająłem się edukacją światową Andrzeja. Jakim jest—mnie zawdzięcza. Pani się podobał—nieprawda?

Roześmiał się gorzko i sztucznie, że Kazia, zamiast oburzenia, poczuła doń litość.

Popatrzała nań spokojnie, bardzo poważnie, i nic nie odpowiedziała.

— Więc pani jest ze wsi bardzo cichej i pustej zapewne — rzekł po chwili innym tonem.—Widać to po licu pani, które zna pocałunki słońca tylko, i po oczach pani, które nie widziały jeszcze życia. Bardzom panią zgorszył?

— Bardzo mi żal pana, jak każdego kaleki— odparła.—Ale oto i dzwonek—to teść zapewne. Żegnam pana!

Skłoniła mu się zdaleka i wyszła.

— Odsiedziałeś wieżę u mnie, hrabio!—zawołał prezes, wchodząc. — Przepraszam — zaległości odrabiałem.

— Chciałbym często tak czekać. Zastałem tu panią, i rozmawialiśmy.

— Ach! Kazię!—mruknął prezes, składając tękę na biurze.

— Andrzej się ożenił incognito! Kiedy? Gdzie?

— To było dawno ułożone. Nie rozsełaliśmy zawiadomień, bo do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, czy będzie dyspensa. Krewni są—kłamał prezes.

— Ach! tak. Takie mając kuzynki i jabym się ożenił. Ale przystępując do interesu, czy matka zgadza się na zmazanie jej hipoteki z Pożajska?

— Niestety, hrabio—to niemożliwe.

— Więc ja jej zapowiadam, że dobra sprzedam.

— Ona sama je nabyć pragnie.

— Ba! ja to wiem, i dla tego właśnie sprzedam apanażom.

Na bladą jego twarz wystąpił rumieniec, nozdrza sią rozdęły!

— Czy potrzebujesz, hrabio, pieniędzy? Możesz je mieć na pięć procent!—odparł spokojnie prezes.

Kołocki rzucił się w fotel, zapalił papieros, i milczał.

Prezes, do oryginalności jego nawykły, począł wyjmować i rozkładać papiery z teki.

— Wiesz, hrabio, wielką nowinę?—spytał.

— Nic nie wiem — wracam z południowej Francji i dziś jadę do Moskwy, gdzie moje konie biegają. Cóż za nowina?

— Orszańscy się rozchodzą.

— Bagatela—dla kogo?

— Właśnie, że dla nikogo. Od paru lat ona się burzy na jego życie. Co prawda, być żoną gracza, nie wesołe. Teraz chce od swego wpływu i przykładu ratować syna. Wziąłem sprawę na siebie.

— Niech się rozchodzą. Ktoś pocieszy rozwódkę. Nie ja. Prezesie, łaskawco, chcę nabyć dobra za Wisłą. Nie znacie co dobrego?

— Znam złote jabłko, i za bezcen. Tylko trzeba parę lat zaczekać.

— Nic z tego. Zaraz, albo wcale! Zresztą znajdę sam!

— To będzie najlepiej.

Po wygolonych wargach prezesa przeleciał dyskretny uśmiech. Znał swego klijenta i wiedział, że na czyn nigdy się nie zdobędzie. Zresztą, teraz bardziej, niż zawsze, Kołocki był rozdrażniony, a na to się wyczerpie mały zapas jego woli. Będzie parskał, odgrażał się i tem się nasyci. Potem przyjdzie okres hulanki na zabój, potem miesiące całe apatji. Losy Pożajska były tedy na czas dłuższy zabezpieczone. Mógł uspokoić hrabinę.

— Dobre masz konie, hrabio, w tym roku?— spytał.

— Dwa dobre, reszta śmiecie. Muszę wygnać trenera.

I o tem słyszał już prezes oddawna, ale trener był zawsze na miejscu.

— I ja mam nowe konie dla synowej—pochwalił się.

Hrabia jakby nie słyszał. Rozparty w fotelu, był zupełnie duchem nieobecny. Po chwili otrząsnął się, roześmiał się dziwnie i wstał.

— Mój łaskawco—przyjdę jutro, aby usłyszeć decyzję tej starej mumji na moje *ultimatum*. Czy Andrzeja znajdę w biurze, czy na Erywańskiej?

— Zalim jest stróżem mego syna?—odparł prezes, uśmiechem pokrywając niesmak.

Kołocki nakładał powoli rękawiczki, jakby czegoś jeszcze czekał.

— Wie pan, co mi powiedziała pani Andrzejowa? Żem kaleka! To mi się podobało! Do miłego widzenia.

I z tem wyszedł, jeszcze raz się rozśmiawszy.

Wsiadł do dorożki, i kazał się wieźć na Srebrną, do biura, gdzie pracował Andrzej.

Zastał go nad rysunkiem technicznym, zajętego bardzo poważnie; poza ścianą potężnym oddechem dyszały warsztaty, przez okno widać było podwórze i kotły.

— A witam! Cóż cię tu sprowadza?—zdziwił się.

— Chcę zobaczyć, jak wyglądasz żonaty, i powinszować.—Wiesz ty? Musi być smaczna twoja żona, kiedy ja mam na nią apetyt.

— Hm—to jestem od ciebie wybredniejszy, bo apetytu na nią nie mam!

— Marnotrawco — po coś ją brał zatem? Było mnie zawołać!

— No, przecież nie sądzisz, abym brał żonę z tych, które się bierze bez Sakramentu!

— A teraz?

— Co teraz?

— Kiedyś tej formy dopełnił, a nie dbasz, inni mogą cię wyręczyć.

Płomień uderzył do twarzy Andrzeja; zapaliły mu się oczy.

— Nosi moje nazwisko. Zapominasz się!

— Co znowu, nazwiska jej odebrać nie myślę—odparł cynicznie Kołocki.—Zresztą mamy dług. Pamiętasz Klarę? Zapowiadam ci, że się teraz za tamto skwitujemy.

— Gdybym cię nie znał, tobym się obraził. No, dosyć żartów. Na długoś przyjechał.

— Albo ja wiem? Jak mi się podoba.

— Przyjdziesz w piątek na Erywańską?

— Jakto? Ty jeszcze tam tkwisz? Toś wołowina!

— Zielona zazdrość wyziera ci przez oczy.

— A u ciebie żółta młodość. Nie lubię ogranych kart. Dobre to dla emerytów, do pasjansa. Nie—na Erywańską nie pójdę.

— Byłeś u ojca?

— Byłem i będę jeszcze często. Nie lękasz się.

— Bynajmniej.

— Źle robisz. Na twojem miejscu wymówiłbym dom. Śliczna jest twoja żona, a ty jesteś nosorożec.

Andrzej brwiami poruszył.

— Aleś figla spłatał! I pocóż się ożeniłeś? Nie jesteś bankrut, ani *parwena*.

— Tak wypadło. Dokuczyło mi piekło z ojcem, i kawalerski bezład w domu! Teraz mam spokój!

— Już ja się postaram, żebyś w tym spokoju nie spleśniał! No, bywaj zdrów—jadę do klubu. Chciałbym się zgrać do nitki: byłby to dobry prognostyk.

Po odejściu mentora, Andrzej znowu robotą się zajął, ale pierwszy raz w życiu myślał o żonie.

Zachwyt Radlicza był pustotą, może chęcią dręczenia pani Celiny, ale pochwała takiego znawcy, jak Kołocki, była czemś szczególnem. Może i on żartował z niego!

Stało się jednak, że Andrzej zamiast o piątej, o czwartej złożył robotę i poszedł do domu.

— Jest pan?—spytał.

— Niema—odparł Jan mrukliwie.

— A pani?

— Nie wiem. Pani przecie usługuje Józef.

Andrzej przeszedł salony, zajrzał do jadalni, zauważył, że na stole były śliczne kwiaty, i udał się na górę. Przebrał się, chwilę pochodził po gabinecie, potem zapukał do buduaru żony.

— Proszę!—odpowiedziała.

Wszedł, dobrze nie wiedząc, co ma rzec.

Siedziała u okna nad stosem bielizny i szyła.

— Ojciec wyszedł z budowniczym na chwilkę—rzekła nie przerywając roboty.—Może pan głodny?

— Nie. Wróciłem wcześniej—upał nieznośny tam w biurze. Codzień mnie głowa boli.

— Niechże pan nie pali papierosów, przy bólu głowy. Możeby pan wody sodowej wypił?—rzekła życzliwie, usuwając koszyczek z nićmi z kanapki, i podając mu flakon z wodą kolońską.

Usiadł, a gdy znowu zajęła się robotą, nieznacznie się jej przyglądał. Miała na sobie kostjum z jasnego batystu, bardzo skromny, i przyzwoity, złote włosy, oplecione bez pretensji wokoło głowy, na ręce migającej igłą, ślubną obrączkę. Pochylona, szczupła twarz, miała jeszcze złotawy odblask wiejskiego słońca, i wyraz poważnego spokoju. Nie mówiła nic, chcąc mu zapewne zrobić ulgę ciszą.

— Jakim sposobem poznał dziś panią Kołocki?—spytał.

Uśmiech przebiegł jej po twarzy.

— To musi być chyba ludożerca, bo już ojciec na mnie za to napadł. Stało się to jednak bardzo naturalnie. Czytałam w gabinecie—on wszedł—nie uciekłam, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, no, i rozmawialiśmy. Uczynił na mnie zrazu wrażenie warjata, oglądałam się za dzwonkiem na służbę. Potem się uspokoiłam, że to tylko próżniak, chorujący na oryginała i koniec.

— Jest to specjalista od kompromitowania kobiet. Czyje imię przejdzie przez jego usta, ta już ma zachwianą opinję.

— O, biedna opinja w takim razie!

— Moim obowiązkiem jest panią ostrzedz.

— Dziękuję panu, ale wątpię, czy go zobaczę drugi raz w życiu! Dziś w wieczór wyjeżdża.

— Zostaje i będzie u nas częstym gościem.

— Jeżeli pan z tem się zgadza, ostrzeeżnie jest zbyteczne.

— Jest to nasz dawny znajomy.

— Tak, mówił mi o tem.

— Jak mówił?

— Że pana wychował w pojęciu światowem. Nawet się pytał, czy mi się jego uczeń podoba?

— Mam nadzieję, że odpowiedzi nie otrzymał?

— Nie jest przecie moim przyjacielem, ani powiernikiem.

Andrzej głowę oparł na poręczy kanapki i oczy przymknął. Buduar był od dziedzińca, więc względnie cichy.

— Czy to prawda, że pani Janową oddaliła?

— Jest zbyteczną. Jej zajęcie ja sama załatwię w godzinę, z wielką radością, że coś mogę robić. Może pan temu nie rad?

— Ach—ja! Byłbym najszczęśliwszy, żebym mógł wcale w domu nie być! Wszystko mi jedno kto tu rządzi. Tylko za Janową pójdzie Jan, a do niego przywykłem.

— W feralny dzień zajęto to mieszkanie, bo zdaje mi się, że nie jeden radby tu nie być!—odparła, składając robotę.—Może tu niegdyś było więzienie, i bakterye buntu jeszcze się gnieżdżą.

Złożyła i sprzątnęła bieliznę, cichutko się ruszając i chodząc, potem przysłoniła firankę, i wysunęła się z pokoju.

Andrzej pożałował po niewczasie swych słów brutalnych, radby je cofnął, nawet chciał na razie przeprosić, ale nie wiedział jak. I rozchodzili się coraz dalej, coraz dalej.

Kazia zeszła do jadalni, obejrzała raz jeszcze stół i bufet, potem wsunęła się we framugę okna i wydobyła z kieszeni list ojca. Czytała go już raz dziesiąty:

„Na każdem miejscu i w każdej chwili stoisz mi na oczach, dziecko moje jedyne. Nie mogę się obyć z twą nieobecnością, szukam cię nawyknieniem. Ciężko żyć, ale to mię krzepi, że ci tam lepiej, niż tutaj. Pisz, powtarzaj mi, że ci dobrze, że oni są dla ciebie serdeczni, żeś szczęśliwa. A jeżeli ci czego brąk, coś ci nie dogadza, to nie taj; jam do złego przywykł, potrafię cię pocieszyć. Myślę, że nie wytrzymam, i chociaż czas teraz drogi, na rolniczą wystawę do Warszawy wpadnę.“

Dzwonek się rozległ w przedpokoju i Andrzej wszedł do jadalni. Widział, jak Kazia ukryła list w kieszeni i rękę przesunęła szybko po oczach, ale jej o nic nie spytał.

Ona, jakby w liście tym nabrała mocy, pierwsza do niego przemówiła:

— To zapewne ojciec, i pan Radlicz wnet się zjawi. Czego pan szuka?

— Cytryny. Głowa mi pęka z bolu!

— O biada! I jeszcze ten gość!—rzekła ze współczuciem.

— Niechże pani nie udaje żalu nademną. Do tego pani nie jest obowiązana.

— Miewam czasem migrenę, więc wiem, jakie to nieznośne. Zresztą chory przestaje mi być antypatyczny. Oto ma pan limonadę, i doprawdy, odbiorę papierosy. Przy pana rozdrażnieniu nerwowem, to trucizna. Przecie taki

stan nietylko dla otaczających, ale i dla pana samego jest przykrym!

— Co mi tam!—mruknął.

Prezes ich tak zastał przy bufecie.

— Jużeś wrócił?! Wiesz, że tu był Kołocki?—rzekł, badając pilnie twarze obojga.

— Cóż ja na to poradzę!

— Wyobraź sobie, że się Orszańscy rozchodzą.

— Ano—to bardzo szczęśliwi.

— A zgadnij, jaki kosztorys urżnął mi budowniczy na oficynę—pięćdziesiąt tysięcy!

— To niech ojciec sprzeda kamienicę.

— Hm—z dwojga złego, wolę już mieć kogoś na hipotece, niż sam u kogoś siedzieć, i takie mieć chryje, jak z Szaberową. Pojutrze muszę składać *vadium* i stawać do licytacyi, i jeszcze mi druga rudera się dostanie! Bo to widzisz—zwrócił się do Kazi — miałem sumę u Szabera, kupca, jakieś tam siedmnaście tysięcy. Umarł kilka lat temu, została wdowa i pięć córek, i uparła się dać radę interesom.

— I ginie, biedna!

— Ano—pojutrze zostaną na bruku. Jam się do tego nie przyczynił, bom pięć lat nie widział procentu.

— Przecie ojciec ich nie wyrzuci z mieszkania—rzekł Andrzej—trzeba im będzie po-

szukać posady i trochę pomódz. Dwie starsze są zdolne kasyerki!

— Tak, ale jest troje drobiazgu, a matka skończy u Bonifratrów!

— Co za przeskok: z właścicielki kamienicy, do nędzarki. Nieszczęśliwa kobieta!—westchnęła Kazia.

W tej chwili wszedł Radlicz i rzekł z uśmiechem.

— Mam dla pani ukłony od pani Dąbskiej, która państwa oczekuje w sobotę. Myślę, że znajdzie pani tam tłum ciekawych.

— Ogórkowe widocznie czasy — zauważył Andrzej.

— Jednakże kilka par się skojarzyło temi czasy, chociaż maj uchodził za miesiąc nieszczęśliwy. Wolski się ożenił, i panna Malwina Zakrzewska wyszła za mąż. Pani jednej świat oczekuje i wygląda. Nie byłem nigdy sławnym, ale to musi być przyjemne!

— No nie! Ja mam to samo uczucie, jak, gdy przybyłam do klasztoru i zewsząd słyszałam: nowa, nowa! Każde moje słowo, ruch, krok były oglądane i wyśmiewane. Tak samo teraz z mojem parafijaństwem będę zabawką dla Warszawy. Tu ludzie mają jeszcze więcej wolnego czasu i zamiłowania nowinek, niż pensyonarki! Ano, cóż robić. Przejść to muszę.

— O! mnie się widzi, że i pani umie wzorki zbierać. Jakieby to ciekawe było wiedzieć pani uwagi o mieszczuchach.

— Ona sobie nawet nie zadaje ceremonii. Powiedziała dziś Kołockiemu, że jest kaleka!— roześmiał się prezes.

Lokaj oznajmił obiad. Kazia zajęła miejsce gospodyni i rozlewając zupę, odpowiedziała na pytający wzrok Radlicza.

— Ano, jak ktoś zamiast prostych pleców ma garb, jest wbrew prawom przyrody i nazywa się kalectwem. Więc, jeżeli ktoś nienawidzi matki i za cel życia ma jej dokuczyć, to także jest wbrew prawom przyrody, więc kalectwo.

— No, ale się garbatemu nie wypomina garbów—zaśmiał się Andrzej.

— Bo się z tem tai, a ten pan szczycił się swą nienawiścią dla matki. Nazwałam tedy rzecz po imieniu!

— Czy pani zawsze tak czyni?—rzucił Radlicz.

— Zawsze, jeżeli mnie kto pyta.

— Z temi zasadami, w ładną można wejść kabałę—mruknął Andrzej.

— Ale to bardzo zdrowe i ciekawe. Ja panią pytaniami zawsze będę zarzucał.

— Jakże się pani podobała Warszawa?

— Nie pierwszy raz tu jestem.

— Ale wrażenia?

— Jakbym była we młynie. Hałas świdruje mi uszy, kurz oślepia, powietrze dusi. Wszystko pędzi, śpieszy, potrąca, jakby co krok był pożar. A przytem jeden drugiego ogląda, jakby coś osobliwego. A dla mnie wszyscy są tak do siebie podobni, że wolę już patrzeć na konie. Chociaż i te tutaj są szablonowe. Zdaje się że tu wszystko ma na celu starcie oryginalności: drzewo, zwierzę, człowiek, budynek, wszystko starają się uczynić do drugiego podobne.

— Teraz rozumiem, dla czego mi pani głową nie kiwnęła, gdym się dzisiaj kłaniał na Królewskiej.

— Doprawdy! Może być. Ja nie umiem patrzeć w mieście, nie biorę ukłonu dla siebie, przytem wciąż boję się zabłądzić, wpaść pod tramwaj lub dostać się pod miotłę stróża! Myślę, że mnie kiedy posłaniec przyprowadzi, bo się zgubię.

Śmiała się sama z siebie.

— Okropnie szkalujesz mi Warszawę. Po obiedzie pojedziemy na spacer do Wilanowa. Zabierzesz się z nami do landa — panie Radlicz. Trzeba naszej wieśniaczce zaimponować! — rzekł prezes.

— Ach — dobrze, dziękuję ojcu. Zobaczę kawał pola! — zawołała radośnie.

Wtem spojrzała na Andrzeja i zasępiła się.

— Ale może nie dzisiaj? — zauważyła wahająco.

— Dlaczego? Pogoda śliczna.

— Głowa go boli, a musiałby jechać także!— rzekła, czerwieniąc się na to pierwsze poufałe nazwanie męża. Nie mogła przecie mówić mu: pan przy ludziach.

— Wygląda, jakby pani skłamała w tej chwili—szepnął Radlicz dyskretnie.

— Nigdym się nie uchylał od musu! — ozwał się Andrzej.

Prezes spojrzał na niego ostro i zapanowało kłopotliwe milczenie. Lica Kazi pobladły, i jakby rozpacz mignęła w oczach. Mój Boże, jak on tak odpowie przy jej ojcu!

Schyliła głowę zmęczona, zniechęcona do dalszej walki.

— Nie zna pani Wilanowa?—przerwał milczenie Radlicz.

— Nie! Wybierałyśmy się z Tunią, ale ona nigdy niema czasu.

— Nie mając żadnej roboty, jest zapracowana.

— Bo ja znowu jestem w rozpaczy, że nie mam co robić i myślę ogłosić się w *Kurjerze.*

— Na jaką posadę?—śmiał się Radlicz.

— Ależ, Kaziu, przecie nie mówisz tego na seryo?—przeraził się prezes, a Andrzej dodał:

— Jeśli o to chodzi, to bez ogłoszenia się znajdzie. U Dąbskich spotkamy Ramszycową.

— Ach prawda! Ta panią porwie, jak łup upragniony, i wyzyska, jak żyd szlachcica.

— Kto to taki?

— To jest milionerka, angielka, żona Ramszyca, tego od cukru, bo jest drugi od węgli. Biały Ramszyc i czarny Ramszyc, jak ich nazywają.

Kobieta, na której określenie trzeba samych superlatywów, jest najbrzydszą i najelegantszą, jest najśmielszą i najswobodniejszą i najnieskalańszej opinii i życia, jest złośliwą, jak chochlik, a nie obmówi nikogo, jest najskąpszą w domu, a najwspanialszą w potrzebach ludzkości. Zresztą jest osią i trybem wszystkich dobroczynnych i miłosiernych zakładów i temu tylko oddaną!

— Tatku, ja proszę o Ramszycową! — skoczyła Kazia do prezesa uszczęśliwiona.

— Dostaniesz ją, dostaniesz. Jeszcze cię zamęczy i będziesz prosiła łaski! — śmiał się prezes.

Radlicz spojrzał na zegarek.

— O siódmej spotkamy się w Alejach!

— Ach, to jedźmy—prosiła.

— Każ zaprzęgać! — rzucił Andrzej do lokaja.

Przeszli na kawę do salonu, i po chwili oznajmiono powóz.

— Spotkamy całą Warszawę w Alejach. Będę pani ludzi nazywał, a pani mi ich charakteryzować!—zaproponował Radlicz. Ubawimy się setnie!

— No nie, bo z tego urośnie plotka na milę! — zaprotestował Andrzej.—Już ja znam twój język.

Wsiedli do powozu, malarz naprzeciw Kazi, i ruszyli.

Już na Nowym-Świecie był tłok pieszych i powozów. Panowie co chwila unosili kapeluszy; malarz przedstawiał mijanych ludzi.

— Stara Westenhauzowa z córką i Turciem.

Ciekawym, na kogo on się wreszcie zdecyduje: na matkę, czy na córkę.

— Zdaje mi się, że już dawno po decyzyi!—mruknął Andrzej.

— O jakie śliczne szpaki!—zawołała Kazia.

— To Menczówna Kołockiego. Ładna i co za kolczyki! Jakąś nową przyjaciółkę obwozi.

Ukłonili się wszyscy trzej jakiejś otyłej damie, z dwiema pannami.

— Baronowa Brandt z córkami. Najstraszniejsze plotkarki z całej Warszawy. Boże, jak one panią oglądają łapczywie. Ten stary, łysy, to Orzechowski, krytyk i literat — rzeź-

nik! ludożerca! O! jest i hrabia Kocio z Kołockim.

Minęła ich dorożka na gumach, w której rozparci dwaj panowie ukłonili się, poczem Kołocki coś szepnął, obejrzeli się raz jeszcze.

— Masz—jest i Ramszycowa!—rzekł prezes.

— Gdzie, gdzie?—zaciekawiła się Kazia.

— Ta, co sama powozi wolantem. O! staje i rozmawia z młodym Jóźwickim redaktorem.

Kazia spojrzała. Młoda to była kobieta, śniada, nieładna, bardzo elegancka. Obok niej siedziała dziewczynka kilkoletnia z pińczerem w objęciach, za niemi stangret w stereotypowej pozie.

Rozmawiała z redaktorem bardzo żywo, polecała mu coś, tłumaczyła, twarz jej drgała życiem i inteligencyą, trochę nawet zuchwalstwem. Wreszcie podała rękę Jóźwickiemu, skinęła mu głową i ruszyła dalej, patrząc po nad głowy ludzkie i machinalnie skinieniem odpowiadając na powitania.

Zrównała się z powozem Sanickich, spojrzała na nich, sekundę zatrzymała oczy na Kazi i pomknęła dalej.

— No, jakże ci się podoba?—spytał prezes.

— Ogromnie. To jej córeczka?

— Jej jedynaczka. A to ich pałacyk. Dalej pojechała, do Łazienek zapewne.

Aleje były pełne. Nieprzerwany ciąg powozów sunął w dół, skręcał do Łazienek, lub dalej do rogatek. Kazia słuchała oszołomiona objaśnień Radlicza, nazwisk, stanów, skandali, złośliwych dwuznaczników, i zamykała chwilami oczy, bo czuła w głowie chaos.

Pełne tłumu były chodniki, ławki, cukiernie, ogródki, szum, turkot, parskanie koni, dzwonki tramwajów, zaduch końskiego potu, kurzu, kwitnących lip, ludzkich oddechów, wszystko się mieszało. I tłum, mrowie, fala ludzka!

Nareszcie koło rogatek spotkali Dąbskich. Tunia, królująca wśród dwóch sióstr i młodego Markhama, poczęła dawać im znaki czerwoną parasolką. Stanęli.

— Dokąd państwo?

— Do Wilanowa!

— I my. Świetnie. Tylko Julek gdzieś nam się zapodział. Nie widzieliście go?

— Znajdzie się! Na to on mąż, by się odnalazł—rzekł Radlicz. A nie będzie go—mniejsza!—Mogę go zastąpić!

Dąbska pogroziła mu parasolką. Dwie jej siostry sztywne, ostatnie słowo mody, blade, cieniutkie i wątłe, uśmiechały się, jak porcelanowe laleczki.

8

— Spotkamy się zatem!—zakończył prezes, znudzony tem staniem, bo się wokoło już gawiedź skupiała.

W tem obok nich przejechał powóz. Siedziała w nim samotna dama, bardzo piękna, elegancko, trochę zajaskrawo ubrana. Andrzej i Radlicz ukłonili się, prezes nie. Dama badawczo, bystro wpatrzyła się w Kazię, aż ta poczuła to spojrzenie i podniosła oczy.

Spotkały się wzrokiem; dama uśmiechnęła się lekko, ale tak, że Kazię to tknęło.

— Kto to taki?—spytała Radlicza.

— To jest pani von Reuter!—odparł tenże z dziwnym uśmiechem.

Na skronie Kazi wybiegł rumieniec. Tunia już jej opowiedziała wszystko o stosunkach męża! A zatem to była ona, ta czarodziejka, która go trzymała w swojej władzy i pod swoim urokiem, tyle lat.

Nie śmiała spojrzeć na Andrzeja, dałaby wiele, żeby módz cofnąć pytanie!

Szczęściem zjawił się Dąbski w dorożce, szukający żony, i nadjechała Ramszycowa. Miała już towarzyszkę jakąś chudą, niemłodą, źle ubraną damę, z którą żywo rozmawiała. Minęła lando Sanickich i pomknęła za rogatki.

— Ciekawym, dokąd Ramszycowa wiezie Ocieską. To moja koleżanka, malarka! — objaśnił Radlicz Kazię.

— Dwie fiksatki!—rzekł Andrzej.

Wyjechali oni za rogatki, ale było to jeszcze miasto: brudniejsze, bezładniejsze, ale miasto. Co krok ogródki, bawarye, restauracye i tłum po nich topniał, szukając powietrza, mając złudzenie wsi, drzew, cieniu. Majówka, Wiązanka, Sielanka nazywały się te ponętne ustronia. Pełne stolików i ławek, parkanów, altan, brudnych służących, szczęku szkła i talerzy, wałęsających się psów, swędu kuchni, dźwięku rozbitych fortepianów, i szczęśliwego z tych rozkoszy wiejskich tłumu.

— Warszawa używa wsi!—rzekł prezes.

Kazia się uśmiechnęła.

— Co pani myśli?—podchwycił Radlicz.

— Myślę, czy biedniejsza wieś w tej parodyi, czy ludzie, którzy innej nie widzieli.

— Dla mnie mogłaby najpiękniejsza nie istnieć—rzekł Andrzej. Nie znam nic wstrętniejszego nad wieś i jej rozkosze.

Milczała. Radlicz zaprotestował.

— Jabym może niepotrafił jej być wiernym, ale bywam w niej rozkochany co rok. Co lato miewam głód przestrzeni i rozkoszuję się na letnich wycieczkach. Tam się inaczej żyje, czuje, myśli, nawet kocha. Ale myślę ze zgrozą, jak ludzie mogą spędzić na wsi listopad lub marzec! Wściekłbym się! Czy pani nawet te miesiące lubi tam?

— Bardzo. Latem wre i kipi praca, pochłania czas i myśli. Miejskie wakacye to dla wieśniaka ciężka kampania, znojny i troskliwy okres. Jakże mile się wita długie jesienne wieczory! Wtedy się czyta, kształci, uczy i wypoczywa.

— Albož młode panny pracują na wsi?

— Zapewne są i takie, które się bawią. Ja pracowałam i listopad wspominam równie mile, jak kwietny maj.

— Jakże pani pracowała? Zapewne smażyła pani konfitury i preparowała różne smakołyki!

Uśmiechnęła się.

— Robiłam i to, ale bardzo dawno, zaraz po powrocie z klasztoru, kiedy ojciec nie wierzył, czy co więcej potrafię. Byłam szafarką i gospodynią, potem byłam rachmistrzem cały rok pod ferułą buchaltera.

— Bagatela, posiada pani buchalteryę.

— Czy to takie trudne! Potem od trzech lat zarządzałam już samodzielnie całem nabiałowem gospodarstwem. To ciężka praca.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

— Przecie tem się zajmują dojarki, pastuchy i klucznice.

— Tak, cała brygada ludzi. Miałam w swym zarządzie siedemdziesiąt osób służby, bo oprócz mleka miejscowego, zwożono nabiał z całej

okolicy i przerabiano na naszych centryfugach. Rachunki duże i drobiazgowe, z dostawcami, z odbiorcami, z zarządem miejscowym, obrót roczny dochodził piętnastu tysięcy rubli, a robota zaczynała się codzień o piątej z rana, kończyła o dziesiątej wieczorem! Więc listopada oczekiwałam z utęsknieniem, bo się było fizycznie zmęczoną, a umysłowo ogłupiałą.

— Jakiż mus, czy pokuta kazała pani tak się zamęczać?

— Żaden mus. Byłam rada i dumna, że czemś jestem i coś czynię. Pokutą by mi było nic nie robić. Za nic tak wdzięczna nie jestem ojcu, jak za to, że mnie pracować nauczył.

Spojrzała w dal, odetchnęła głębiej, bo wydostali się przecie w pole—i rzekła poważnie:

— Jak się niema matki, trzeba pokochać pracę. To miłość, co nigdy nikogo nie zdradzi.

Radlicz, który wyjechał, by żartować i bawić się, a potem w śmiech chciał obrócić jej pracę, mimowoli spoważniał. Gdyby to zdanie wygłosiła inna panna, chorująca na reklamę z emancypacyi i samodzielności, odpowiedziałby sarkazmem, ale gdy patrzał na tę twarz jasną i delikatną, pełną kobiecego wdzięku i prostoty, gdy słyszał w głosie szczerą wesołość i młodzieńczy zapał, poczuł dla niej zachwyt

i wielką sympatyę, i chęć zajrzenia głębiej w tę duszę, tak inną, tak świeżą, tak nadzwyczajną. Obudził się w nim artysta, utajony marzyciel. Była, jak kwiat dziki, ze szczytów, lub odludzia przeniesiony igraszką losu na bruk. Kwiat, który chowało słońce, rosa, ziemia bujna, a który kochać i czynić nauczyły pszczoły.

Ona, nieświadoma wrażenia, które nań wywierała, rozglądała się w około; nozdrza jej się rozdymały, jaśniały radością oczy.

— Ojcze — zwróciła się do prezesa, cała uśmiechnięta — wolno mi będzie wyjeżdżać konno, aż za rogatki raniutko, jak jeszcze bywa pusto?

— Wolno, pewnie, ale któż z tobą pojedzie?

— Staszek.

— Tu raniutko bywa tłok wozów na targi.

— Koloniści i zbóje cała publika!—wtrącił Andrzej.—Najlepsza sposobność być zaczepioną grubijańsko!

— Więc nie jechać? Dobrze! To wrócę od Belwederu—rzekła łagodnie.

— Pozwoli pani, będę eskortował na rowerze—rzekł Radlicz.

— Nie bądź taki ofiarny!—zaśmiał się prezes. Ona wstaje przed stróżami. Wyjeżdża przy zapalonych jeszcze latarniach!

— Zkąd ojciec wie?—zaśmiała się.

— Wyobrażam sobie, bo gdy oczy otwieram, słyszę, że dom już w ruchu i pokoje sprzątnięte. Lada dzień cała służba nasza zemknie.

— Założę się, że spotkam jutro panią koło Belwederu.

— Może, jak się wcale spać nie położysz?

— No—nareszcie Wilanów!—rzekł Andrzej tonem ulgi. — Dąbscy już zajęli pół werendy. Patrzcie: konie Ramszycowej stoją.

Wysiedli, wnet zagarnęła ich Dąbska, zmieszali się z kompanią, potworzyły się kółka. Prezes mówił z Dąbskim, Andrzej z Markhamem. Kazia słuchała roztargniona trzepania Tuni, szermierki jej języka z Radliczem, który odzyskał swój swawolny humor.

— Nie pójdziemy do parku?—spytała wreszcie, widząc, że się zanosi na długą gawędę i jedzenie.

— Po co? Albo nam tu źle! Nikogo tam dzisiaj nie spotkamy znajomego! — zaprotestowała Dąbska.

— A topole prawić będą stare baje o Sobieskim!—zaśmiał się Radlicz.

— Przyroda jest monotonna!—wtrąciła któraś z panien. Pół roku chodzi w zieleni, pół roku w czerni, i tak w kółko od początku świata.

— Nie w czerni, ale nago, i z tem jej nie do twarzy, bo koścista i sucha! — dorzucił malarz.

Kazia uśmiechnęła się, ale nic nie rzekła.

— Chce ci się parku, chodź ze mną! — zaproponował prezes.

Powstała uradowana, i wsunąwszy rękę pod jego ramię, spojrzała mu serdecznie w oczy.

— Złoty tatuś!—szepnęła mu, idąc ku bramie.

— Ciekawym, czy Markham reflektuje na seryo co do tej starszej?—rzekł, gdy byli już w parku.

— Jakto?—nie zrozumiała.

— Ano, stara się o nią. Dąbski mi mówił, że matka daje pięćdziesiąt tysięcy, ale chce przy nich zamieszkać—i Markham się namyśla! To porządny chłopak, przyjaciel i kolega Andrzeja.

— Andrzej powinien mu zatem dodać odwagi—zauważyła złośliwie.

W tem naprzeciw nich ukazała się Ramszycowa z ową malarką; prezes się ukłonił, ona stanęła, podała mu rękę.

— Witam pana. Gdzie się prezes chowa, że go się nie spotyka?—rzekła swobodnie.

— Siedzę w domu, bo mam młodą gospodynię.

— To pana synowa! Proszę nas zapoznać!

— Spełnię jej marzenie.

— Bo co?

— Bo mi ojciec mówił, że pani rada pracuje, a ja mam tyle wolnego czasu do ofiarowania!—odpowiedziała Kazia z prostotą.

— Ślicznie, na czas i dobre chęci ja kupiec.—Biorę panią w antrepryzę. Jutro rano wstąpię po panią i zaprzęgnę do roboty! Załatwione. A teraz przedstawię pani moją bratnią duszę—panna Ocieska, pani Sanicka.

Malarka ukłoniła się sztywnie, świdrując Kazię oczyma krytycznemi.

Szli teraz wszyscy razem, i Ramszycowa mówiła.

— Ciekawam, jak też sobie pani pracę przedstawia?

— Jako szczęście!—odparła szczerze Kazia.

— Oho! Krótko i mocno! Podoba mi się pani.

— A pani mnie.

Roześmiały się.

— Ona istotnie ma pasyę do pracy!—wtrącił prezes.

— To dobrze! Ludzie bez pasyi warci co najwięcej szubienicy.

— Oho ho!—zaprotestował prezes—bywają pasye, warte szubienicy!

— Nie—takim należy zawsze więcej honoru: kula w łeb.

Zwróciła się do Kazi.

— Ale niech się pani nie spodziewa w pracy ze mną towarzyskich przyjemności! Z zasady nie lubię stowarzyszeń, a tem mniej stowarzyszeń damskich. Należałam do wielu, i ze wszystkich się usunęłam.

— Z wielką szkodą dla instytucyi!—wtrącił prezes.

— Ale z wielką radością członków, bo byłam wiecznie w opozycyi i gadałam impertynencye. Co mam dać, dam sama, co mam robić, wiem sama...

— Jednakże zbiorowy czyn!—zaczął prezes.

— Niech pan powie: zbiorowe paplanie! — przerwała niecierpliwie.

— Nie mogę, łaskawa pani, przez galanteryę dla płci pięknej!—zaśmiał się.

— Otóż właśnie. Galanterya... płeć piękna... Co za absurdy! Zbydlęciliście tem kobiety! Jeśli wam i im z tem dobrze, to i owszem, ale wy nie zawracajcie głowy czcią dla nich, bo to fałsz, a one niech nie napełniają świata wrzaskiem o emancypacyi, bo ten wrzask—to gęganie! A teraz żegnam państwa, jutro o dziesiątej zabieram panią do roboty.

Uścisnęli dłonie i Ramszycowa zawróciła ku wyjściu.

— Cóż, jakże ci się podoba?—spytał prezes.

— Zazdroszczę jej siły i odwagi!

— Ba, jest na to milionerką i angielką. O nic i nikogo nie dba.

— Męża jej zna ojciec?

— Znam, bardzo zdolny i pracowity. Mieszka w wagonie, w domu jest gościem, nie bywa nigdzie, robi miliony! Zresztą gentleman sztywny, małomówny, zimny! Wracajmy. Jaki tu chłód od wody!

Kazia stała nad kanałem, zapatrzona w migocącą toń. Zapomniała o Ramszycowej i rzeczywistości, miała złudzenie swej wsi, przestworza wolnego i wolnego życia. Drgnęła przestraszona, rozejrzała się i poszła szybko w stronę pałacu. Prawda, wieczór już był, i chłód poczuła w dreszczu.

Na werendzie Dąbska bawiła się w najlepsze; pełno było osób, jedzono i pito.

— Wiesz—szepnęła półgłosem—przysięgnę, że w gabinecie jest Lolo Szmurski; poznałam jego śmiech; ale z kim, mój Boże, z kim? Będę tu nocowała, żeby się dowiedzieć.

— Cóż cię obchodzi jakiś Szmurski? — odparła obojętnie Kazia.

— Nie wiesz? On jest po słowie z cioteczną siostrą doktorowej Downarowej. Łapali go przez trzy karnawały, teraz tryumfują!

— Więc co? Nie rozumiem jeszcze bardziej, co cię obchodzi narzeczony ciotecznej siostry jakiejś doktorowej. Czy ona ci krewna?

— Ta jędza! Jeszcze może co? Alebym im do piekła—możeby zerwali!

— Pani Marto — troszczysz się i frasujesz o bardzo wielu!—rzekł sentencyonalnie Radlicz.

— Idź pan — dowiedz się, kto tam jest z Lolem.

— A co ja za to dostanę?

— Obiecam panu, co pan chce.

— Obiecam!—gwizdnął.—Anim taki młody, anim taki stary, aby mnie obietnice nasyciły.

— Cyniku!

— Do usług!—odparł z ukłonem.

— Julku!—zawołała pani Tunia męża.

Obejrzał się, ale kończył rozmowę z Andrzejem.

— Ostatecznie tak, jak rzeczy stoją, vadium złożyć trzeba i rudera zwali mu się na łeb. Ano, nie chciał mi wierzyć! Co ci trzeba?—spytał żony.

— Lolo Szmurski jest tam w gabinecie—wiesz?

-- Może być.

— Ale z kim, żeby się dowiedzieć?

— Zapewne z Kosecką!—odparł Andrzej.

— Jakto? Jeszcze z nią nie zerwał? Ohydne. One są pewne, że to skończone!

Andrzej ramionami ruszył.

— Jeśli są pewne, to i dobrze. O co więcej chodzi?

— Ach! żebym ja była pewna! Julku, dowiedz się.

— Ani mi w głowie! i dalej mówił z Andrzejem.

Radlicz parsknął śmiechem.

— Ja wiem, ale nie powiem!

— Kaziu, każ mu powiedzieć!

— Ja?—Kazia spojrzała zdumiona.—Co mnie to może obchodzić, a nawet, gdyby obchodziło, tobym nie spytała.

— No, no, żeby tak twój wybrany walał się po gabinetach restauracyjnych z baletnicami, nie byłabyś taka wielka!

Kazia zarumieniła się.

— Nie jestem wielka tylko — zacięła się—tylko, albo jestem pewna, więc nie podejrzywam, ani szpieguję, albo nie wierzę—i wtedy nie dbam!

— Wracamy!—odezwał się prezes.

Powstał ruch. Dąbska zajrzała przez okno do gabinetu, ale firanki były dyskretne. Poczęto się żegnać, siadać do powozów. Gdy lando Sanickich ruszyło, Radlicz się roześmiał z cicha:

— Tyś strzelił tą Kosecką!—szepnął do Andrzeja. Myślałem, że Markhama szlag zabije.

— Te panny codzień subtelniejsze! — wtrącił prezes.

Zaczęli mówić o innych znajomych, Kazia rozglądała się po niebie i ziemi. Miała ochotę usunąć woalką, zdjąć kapelusz, dać głowę i twarz pod rzeźwy powiew wieczoru, nie słuchała rozmowy. Powóz toczył się po szosie, cisza i tchnienie wsi umykało wstecz, coraz gęściej były domostwa, coraz gęściej ognie podmiejskich ogródków. Jak potwór, w dali leżało miasto, wstawała nad niem łuna światła, a te tancbudy, bawarye, restauracye były, jak macki potworu, które wyciągał ku wsi, by ją pożreć, zbrudzić, skazić, zatruć ciszę i spokój hulaszczą melodyą i gorączkowem, niezdrowem podnieceniem.

— O czem pani myśli? — spytał nagle Radlicz.

On się w nią oddawna wpatrywał, coraz bardziej oczarowany.

— O czem?—powtórzyła zamyślona.—Mam wrażenie, że tam przedemną czeluść piekielna.

— Warszawa? Boi się jej pani?

— Nie, ale mam wstręt!—szepnęła.

— Jeszcze ją pani pokocha z czasem.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Będzie pani jutro rano w alejach, konno?

— Będę!

— Wolno pani towarzyszyć?

Coś było w jego głosie, że spojrzała mu w oczy.

— Czemu nie!—odparła spokojnie.

— Układacie najbezczelniej schadzkę! — rzekł prezes. — Otóż ja kładę *veto*. Bardzo cię lubię, Radlicz, ale twoje towarzystwo zbyt kompromituje każdą kobietę.

— Jak Boga kocham, nie każdą!

— No, no, to tylko dowód, że Boga nie kochasz. Moje dziecko, to dobry chłopak, ale nawet szanująca się kokota z nim się nie pokazuje, taką ma bestya, zdartą opinię i taki zły język. Mówię ci to w oczy, Radlicz, nie kuś się na nią, bo ani jej zdobędziesz, ani jej nie obmówisz.

— Amen!—zakończył śmiechem malarz.

Byli już w mieście. Kazia spojrzała w przejeździe na pałacyk Ramszyców. Parę okien tylko było oświetlonych. Pomyślała z otuchą, że jutro zacznie pracować i poweselała. Po chwili stanęli w domu.

— Mam jeszcze interes na mieście!—rzekł Andrzej.

— I ja usuwam swą sponiewieraną osobę!— dorzucił Radlicz wesoło.

Pożegnali się u bramy, i młodzi ludzie poszli razem dalej.

— Na Erywańską?—spytał Radlicz.

— Uhm!—mruknął Andrzej.

— Wstąpię i ja zobaczyć, jak cię powitają!

U pani Celiny, jak zwykle, było wesoło i swobodnie. Pani Bella śpiewała kuplety i na ich widok zaintonowała:

„Andreas noch in Baenden frei!“

Andrzej się zmarszczył. Koncept mu się nie podobał, powitał gospodynię domu i zbliżył się do fortepianu.

— Bohatersko pani nastrojona! — rzekł — może *„Wacht am Rhein!“* potem, lub „Marsyliankę.“ Witam!

Popatrzał na nią tak, że wesoła kobietka straciła rezon na chwilę; on dalej witał resztę towarzystwa. Pani Bella zaczepiła Radlicza:

— Co mu jest? Wściekły!—szepnęła.

— Po co mu pani nadeptuje na odciski!

— Cóż, ta żona?

— Ano, widziała ją pani na dworcu.

— Phi, nic nie mówi, i nie ładna.

— Nie, nie ładna, bo śliczna!

— Żarty, czy to dzisiejsza flamma? Byliście w Wilanowie?—mówiła Cesia.

— Chciałbym z nią być w raju.

— Radlicz, przebrany za trubadura! Pyszne!—parsknęła śmiechem.—Wiesz co, zbałamuć ją. Celina ci będzie wdzięczna.

— Takich się nie bałamuci; zresztą Andrzej prędzej dostanie dymisyę tutaj, niż się spodziewa.

— Co ty za wzrok masz! Przed tobą nie chciałabym ukrywać nic!

— Dziękuję, umiem to ocenić.

— Bardzo mi przyjemnie. Co do twych obserwacyi więcej się domyślasz, niż jest dotychczas. *Un peu de flirt par dépit!*

— Wszelka rzecz zaczyna się od początku!

— Co takiego?—ozwał się za nimi głos pani Celiny.

— Wszystko. Kwiat od korzenia, czyn od myśli, zdrada od przesytu.

— Myli się pan w tem ostatniem; zdrada od miłości.

— Dla drugiego?

Uśmiechnęła się zagadkowo i poszła dalej.

Radlicz się obejrzał po towarzystwie i rzekł:

— Zatem Maks już nie bywa zupełnie? *Un, deux, trois—capitaine et roi!*

— Ba, po co się żenił!—ruszyła ramionami.

— Co mi pani za melodramat opowiada. To się już ciągnie od pół roku. Znajduję, że był wielki czas skończyć tamto. Nie znam nic bardziej poniżającego człowieka, jak miłość dłuższa nad pół roku, a ten romans trwa pięć lat. Wielkie nieba, nie karzcie mnie za moje grzechy niczem podobnem!

— Niema obawy! Myślę, że pan na tygodnie nigdy nie rachował.

— Owszem, ale zastawy w lombardzie; miłości, nie! Albo brakuje kobiet!

— Albo czy kobiety traktują pana na seryo!

— Niech będą za to błogosławione, od pani począwszy!

Dano hasło do kolacyi. Radlicz podał jej ramię.

— Czy to recydywa?—spytała ze śmiechem.

— Nie, ale przy pani mogę myśleć o innej. To tylko wyrachowanie!

— No, no — to już za wiele szczerości!— obraziła się, cofając rękę.

— Woli pani recydywę? Służę!—odparł, patrząc na nią oczami Satyra. Żachnęła się.

— *J'ai failli vous prendre au serieux!* — odcięła, i poszli razem.

— A ta ostatnia? Jaka?—spytała u stołu.

— Z nikim nigdy nie mówię o ostatniej, tylko z nią samą. Tem się różni od swych poprzedniczek.

— A zatem odpowie mi pan za tydzień?

— Zapewne... może pojutrze!

Szydercza jego maska była niezbadana. Przez cały ciąg kolacyi dowcipy jego latały z końca w koniec stołu, wzbudzając śmiechy lub oburzenie. Gdy towarzystwo przeszło do salonu, pani Bella po chwili zamieszania poszukała go oczyma—napróżno. Zniknął, z nikim

się nie żegnając. Korzystał z praw człowieka, którego nikt nie brał na seryo.

Gwiżdżąc, z rękoma w kieszeniach, krokiem człowieka, który się do niczego nie śpieszy, wyszedł na Marszałkowską i ruszył ku domowi.

Mijając kamienicę Sanickich, spojrzał w górę, przestał na chwilę gwizdać, zwolnił kroku. Potem mruknął coś, jakby dorożkarskie przekleństwo, splunął i znowu gwizdał.

Tak zaszedł do domu, zapalił lampę w swej pracowni, usiadł przy stole, i na leżący arkusz papieru rzucił szkic kobiecej głowy.

III

Nazajutrz stary Sanicki, przyszedłszy na obiad, zastał Kazię rozpromienioną. Układała kwiaty na stole, i poczęła mu opowiadać wesoło:

— Będzie miał ojciec teraz spokój ze mną. Znalazłam zajęcie. Ach, jaka ona sympatyczna ta Ramszycowa, co za energia i siła! Nie będę próżnowała! Jakie szczęście! Od jedenastej do trzeciej codzień będziem pracowały!

— Cóż, Radlicza nie spotkałaś na specerze?

— Nie. On ani myślał o tem!

— No, no! Ostrożnie!

— Z czem?—zaśmiała się.

— Zanadto się zaczynasz podobać!

— Ja? Mnie nikt!—odparła, ruszając ramionami. — Oprócz ojca, naturalnie — dodała pokazując ząbki w uśmiechu. — O! ojca to muszę zbałamucić koniecznie!

Spojrzała nań serdecznie, i nagle twarz jej jakby zastygła, promień w oczach zgasł, cofnęła się, rzuciła wzrokiem na stół, i pocisnęła elektryczny dzwonek.

— Józefie, obiad!—rozkazała służącemu.

Andrzej wszedł do pokoju...

* * *

Codzień rano, gdy dom jeszcze spał, Kazia chodziła na mszę do św. Krzyża, i codzień spótykała, na schodach barczystego, szpakowatego mężczyznę, który jej się grzecznie z drogi usuwał, schodził za nią aż do bramy, tam wsiadał w pierwszą lepszą dorożkę i ginął jej z oczu. Tak regularnie codzień były te spotkania, że go znała doskonale, i wreszcie raz przy śniadaniu spytała teścia:

— Kto to jest ten gruby pan, co go widuję codzień rano na schodach? Mieszka nad nami.

— Taki, z brodą — to doktor Downar zapewne.

— Ten sławny?

— A ten.

— Tak niepocześnie wygląda!

— Rano się od żony wynosi! — ozwał się Andrzej, nie podnosząc od gazety oczu.

— A to się dobrali!—uśmiechnął się prezes.

— Po co się żenił, osieł!—mruknął Andrzej.

— Ma złą żonę?—spytała Kazia teścia, jakby nie słyszała uwagi męża.

— Jędza baba, skąpa, chciwa; cierpieć jej nie mogę. Downar sam to zacności człowiek, no, i powaga naukowa, genialny chirurg i djagnostyk. Zresztą jeden z tych rzadkich, którzy nie dla chleba i karyery, ale z powołania i zamiłowania leczą. Gdyby nie żona, byłby w nędzy, ale szczęśliwy, że ją ma, więc są bogaci, ale on osiwiał, choć ma ledwie lat czterdzieści. Trzeba, żebyście do nich poszli z wizytą, jak się raz na to zbierzecie.

— Nic pilnego!—mruknął Andrzej, wstając, i wyszedł.

— Ten się z dniem każdym robi nieznośniejszym—wybuchnął stary Sanicki. — Będę musiał się z nim na seryo rozmówić.

— Tatku, nie gniewać się! — skoczyła do niego i objęła pieszczotliwie za głowę.—Trzeba mu wybaczyć, nie wymagać nić, nie uważać na humory. Z czasem się uspokoi, musi mieć jakieś zmartwienie, a tatko wie, że mu w domu nie miło! Niechże ma spokój chociażby.

— Ależ on co słowo tobie ubliża! Ja tego nie ścierpię!

— Ale ja ścierpię. Uczciwie mnie uprzedził, co mnie czeka w pożyciu; jeślim pomimo to wyszła za niego, moja rzecz jest przystosować się do warunków.—Doprawdy, tatku, mnie

to nie boli już nawet. Byle był inny, gdy nas kiedy ojciec mój odwiedzi, to żadnego żalu mieć nie będę. Niech się tatko tem nie irytuje: są gorsze położenia i domowe stosunki; ja sama cięższe przeszłam. Nigdy, nigdy narzekać nie będę. Mam pracę teraz, i tatko mnie kocha—prawda? No to i dobrze!

Ucałowała go w czoło, a stary rozczulony, patrzał na nią serdecznie i już się uśmiechał.

— Osieł jest, głupiec, ślepiec! Mieć takie śliczne stworzenie swoje i latać za starą awanturnicą — mruczał. — Bóg mu za karę rozum odebrał! Moje śliczne dziecko, córuchno kochana, możebyś chciała gdzie pojechać, zabawić się, rozerwać? A może, dziecko chce co kupić, nigdy nie wspomina o groszach. Może ci mało trzysta rubli miesięcznie—powiedz?

— Tatko żartuje, a toć mi na dwa wystarczy, a chyba źle was nie żywię. Nawet pan Andrzej nie zrobił o to sceny.

— Ależ dogadzasz i nawet psujesz. Dawniej uciekałem od obiadów w domu, a teraz nawet na proszone występy nie rad chodzę. A tej służby, która mi truła życie, teraz jakby nie było; ani ich słychać. W innych familijnych domach panie wiecznie narzekają na kucharki i lokajów, panowie na szalone wydatki, a u nas o tem nigdy mowy niema. Ty mi dom rajem zrobiłaś, ty jesteś czarodziejka.

— A bo ja, tatku, stanęłam tu do moich obowiązków przygotowana. Wiem, co do mnie należy, byłam u ojca w dobrej szkole. Tutaj, to żadna robota, w porównaniu z tą, u nas, na wsi! Przez myśl by mi nie przeszło zajmować was, mężczyzn, pracujących i myślących na szerszem polu, drobiazgami domowego gospodarstwa. Dom musi dla was być odpoczynkiem w spokoju, jeśli nie może być szczęściem i weselem. A żeście mi powierzyli zarząd tego domu, więc przez samą ambicyę muszę zarządzać tak, aby nic nie zgrzytało w tej maszyneryi. Umarłabym ze wstydu, gdybym sobie rady sama nie umiała dać i chodziła do was z narzekaniami, lub prośbą a pomoc. Nie, to się po mnie nie pokaże!

— Zuch dziecko! Że też masz czas na wszystko!

— A cóż tu tak bardzo jest do roboty? Trzy konie na stajni: kucharka, lokaj, młodsza, pralnia, targ, siedem pokojów do utrzymania w porządku, rachunek i dyspozycya wieczorem. To żarty taka robota, byle rano wstać, i mieć pamięć w porządku.

— Spytaj inne panie, co o tem mówią. Nigdy na nic nie mają czasu.

— Bo się tak urządzają. Tunia wstaje o dziesiątej, ubiera się półtorej godziny, ciągle ktoś do niej wpada, gadają sobie nowinki. Po-

tem biega z wizytami, potem niby coś kupuje i ogląda sklepy. Naturalnie, że nie ma na dom czasu.

— No, a ty, co robisz, jak się nas pozbędziesz?

— Idę do kuchni, potem do stajni, potem jadę konno ze Staśkiem, aż za rogatki, potem wracam, zaglądam znowu do kuchni i lecę do Ramszycowej. Tam bawię do piątej, wracam, kupuję po drodze co mi potrzeba i szykuję dom i obiad na wasze przybycie; jeśli mam chwilę czasu, szyję trochę. Po obiedzie czytam, piszę listy, robię dzienne rachunki, sprawdzam kasę i kładę się spać. Nigdy nawet nie bywam zmęczona.

— Dziś ci gawędą popsułem konny spacer. Czemu mnie nie wypędzisz? Jużbym wcale z domu od ciebie nie wyłaził.

— Nie miałam jechać, bo Stasiek chory, a Walenty przekuwa klacze. Zresztą dla tatka nawetbym Ramszycową opuściła.

— To dosyć powiedzieć! — zaśmiał się. — No, już idę! Zbałamuciłaś mnie starego kompletnie.

Ucałował ją i wyszedł. Przeprowadziła go do przedpokoju, dopilnowała, czy miał ze sobą cygara, zapałki, klucz od zatrzasku, i pożegnała serdecznie.

Po chwili i ona zeszła na podwórze, niosąc koszyczek z łakociami dla chorego Staśka.

— Stajnia była w rogu podwórza — i tam też obok koni Stasiek miał posłanie.

Chłopak już od pewnego czasu był niewesoły, blady, milczący. Zamiast gwizdać, śpiewać, droczyć się z dziećmi i kobietami na podwórku, siadywał godzinami na progu stajni, patrząc bezmyślnie przed siebie; potem kucharka doniosła, że jeść nie chce, a wreszcie pewnego dnia z posłania swego nie wstał, i oto już tydzień leżał. Kazia sprowadziła lekarza, ale ten obejrzawszy chłopca, zdecydował że ma trochę febry, zresztą nic groźnego. Brał Stasiek lekarstwa, ale nie wstawał. Dziś uderzył Kazię jego wygląd mizerny; w oczach niknął i sechł. Zaniepokoiła się na seryo.

— Jakże ci, Staszku, nie lepiej? Nie chcesz czego?—spytała troskliwie.

— Dziękuję, jaśnie pani, nic mi się nie chce. A boleć, to wszystko boli. Chyba, że już umrę — odparł apatycznie. — Nijak mi się żyć nie chce.

— Nie wstyd ci tak gadać? Taki zuch byłeś.

— Pewnie, że mi wstyd, i to mnie najmocniej gryzie.

Wtulił głowę w posłanie i począł szlochać. Stała nad nim bezradna, gdy wtem przed drzwiami stajni przeszedł rządca domu i doktor

Downar. Tedy bez namysłu wyskoczyła na podwórze, i dogoniła doktora na progu sutereny.

— Przepraszam pana profesora, że go zatrzymuję. Ale mam tu o krok chorego. Proszę mu poświęcić chwilę czasu.

Downar natychmiast się zwrócił, rządca jej się głęboko ukłonił, podała mu rękę.

— Proszę pana profesora! Pacjent jest w stajni—uśmiechnęła się, idąc naprzód.

— To nasza młoda pani—szepnął rządca.

— Wiem!—odparł krótko Downar.

Wszedł do stajni, obejrzał Staszka, który przerażony wejściem obcych panów przestał płakać, i tylko nosem pociągał.

— Czegoż ty płaczesz chłopcze?

— Albo ja wiem. Tak mi coś piecze na wnętrzu, a jaśnie pani mnie pożałowała, tom się nie mógł strzymać.

— Ty tutejszy?

— Gdzie zaś, ja ze wsi od jaśnie pani, z *kuńmy* przyjechałem.

— No, dźwignij się—niech cię osłucham!

Kazia z rządcą odstąpili za drzwi. Dobre pięć minut trwała konsultacya, nareszcie Downar zbliżył się do nich.

— Cóż mu jest, panie profesorze?

— Nic. Nostalgja. Człowiek kultury toby przebył lekko, jak katar; człowiek natury może to życiem zapłacić. Dla niego lekarstwo: bilet

na kolej do domu, a za tydzień tam będzie zdrów, jak ryba.

Patrzała nań uważnie, i on z niej oczu nie spuszczał, oczu poważnych badacza i mędrca, i dodał z lekkim, smutnym uśmiechem:

— I pani na to cierpi.

Poczerwieniała i uśmiechnęła się z przymusem.

— Profesor gorszy, niż spowiednik, bo odgaduje cierpienia! Dziękuję bardzo za radę i natychmiast chłopaka odsyłam po zdrowie. Przepraszam za taką napaść na podwórzu. Jestem Sanicka! Znamy się ze schodów bardzo dobrze!

Podała mu rękę, którą nieśmiało wziął w swą olbrzymią łapę i delikatnie uścisnął...

Potem poszli razem ku bramie, on milczący, bo bardzo był towarzysko nieokrzesany, ona pociągnięta doń wielką sympatją, jakby go znała lata. Mówiła mu o Staszku, potem o tem mnóstwie nędzy i biedy miejskiej, którą poznała za pośrednictwem Ramszycowej.

— To panie razem pracują! — rzekł. — To dobrze! Pani Ramszycowa prawdziwy, porządny człowiek. Zeszłego roku pracowaliśmy razem; teraz tam jest kolega Rajewski. Dobrze paniom pomaga?

— O, bardzo staranny!—odparła krótko.

Tu Downar coś sobie przypomniał, i stanął.

— Ale — a toż ja miałem iść do jakiejś szewcowej. — Moje uszanowanie pani.

— A ja muszę choremu oznajmić radosną wieść!—przypomniała ona także i rozeszli się.

Staszek przyjął ją niespokojnem spojrzeniem.

— Proszę jaśnie pani, pewnie ten nowy doktór kazał mnie do szpitala odwieźć.

— Wcale nie, kazał cię do domu odesłać, bo ci tutejsze powietrze nie służy. Cóż, rad z tego jesteś?

Chłopak usiadł na posłaniu; oczy mu pojaśniały.

— Do dom!—powtórzył.—O la Boga, dziwo, że radbym, ale się wstydam i boję. Ośmieją mnie ludzie, a akonom spierze, a panu dziedzicowi jako oczy pokażę? Takem się rwał, upierał jechać, a ot i kwartału nie wysłużyłem.

— Ale masz ochotę wracać?

— Jako że nie? Od tego smrodu i ciasnoty i terkotu do naszych pól! Niech się jaśnie pani spyta ot tej kasztanki. Ino jej spytam: Łośka chciałabyś do dom? to głowę odwróci i rży, i targa uzdzienicę! Ktoby nie chciał! Teraz u nas już pożęli i zwieźli, pachnie rola pod oziminy, okrutnie głos po łanie idzie. Ino w konie i śpiewaj! O Jezu!

Podrywało go z posłania, policzki nabiegały krwią.

— Wrócisz, Staszku, wrócisz! Czemuś mi pierwej nie powiedział, że ci tu źle? Dawnobym cię odesłała.

— Wstyd mi było przed ludźmi i przed jasną panią. Mocowałem się, myślę, jaśnie pani jednako się nudzi i cnie, a przecie nie wraca.

Uśmiechnęła się, a on ośmielony mówił dalej:

— Jak tu ludzie żyć mogą, to ja całe nie rozumiem. Toć tu zaduch, chleb i woda śmierdzi, w głowie się przewraca od hałasu, toć tu trawa rosnąć nie chce, drzewina schnie, pies nawet nie szczeka, a koń jak parsknie, to ino ze wstrętu od tego kurzu i dymu. Kamieni nakładli, nastawiali, jakby kryminał!

Ludziska też blade, brudne, niewesołe. Jak sobie nawet podpije, to ino klnie. Juści prawda, co mi nieboszczka matka mówiła, że Pan Jezus zrobił wieś i dwór, a czarny kamień nazwłóczył i pobudował miasto i w niem mieszka. Dlatego ino kamieniom tu swojsko, a wszystko, co Boże, to tu w niewoli ino siedzi. Bo i prawda ptaszek w klatce, pies w kagańcu, koń w uprzęży, drzewo za kratką, woda w rurze, zboże w worku, kwiatek w garnuszku, wół w rzeźni,—po woli nic tu nie jest.

Poszedłem do kościoła, pacierz mówię, a tu mi ktoś dwa złote z kieszeni ściągnął, takci się modlą psiawiary! Zaprowadził mnie Wa-

lenty w niedzielę do bawarji, to mnie sprali jakieś pijaki za to, żem im fundować nie chciał, i przekpiwali sobie, żem chłop głupi! A oni sami podłe narody, co nawet Bożego pola na oczy nie widzieli i ze zdroju wody się nigdy nie napiją!

Rozsierdził się okrutnie, aż się sam opamiętał i pacałował jej rękę.

— Niech mi jaśnie pani wybaczy!

— Mów śmiało, chłopcze. Żal mi cię będzie, ale się cieszę, że wrócisz, pozdrowiejesz. Dam ci do pana dziedzica list, żeby cię dobrze przyjęli. Tylko się teraz staraj prędko moc odzyskać, bo cię chorego nie wyprawię!

Skinęła mu głową dobrotliwie, i poszła.

To wszystko, co on czuł, i ona czuła, i idąc zamyślona przez podwórze, rozważała, czy też oswoi się kiedy, nawyknie, przestanie tęsknić za łanem i borem, ciszą pól, zapachem łąk i gajów, za pracą i wczasem wsi ukochanej.

Rozstroiła ją rozmowa, żal jej było chłopaka, który był jej wspomnieniem straconego życia i czynu, zazdrościła mu, że może wrócić! Potrzebowała wysiłku woli, by nie marzyć bezczynnie.

Zmusiła siebie i myśl i wzięła się do zwykłych zajęć. O dwunastej, jak zwykle, poszła do Ramszycowej. Zastała ją już ubraną do wyjścia, wyprawiającą do ogrodu Botanicznego angielkę z małą. Wolant stał przed pałacykiem.

Wsiadły, Ramszycowa dała jej spis nędzarzy, i wzięła lejce do rąk.

Mówiły zwykle po francusku, bo Ramszycowa źle władała polskim.

— Mostowa 7, Marjensztad 3, Solec 15 — recytowała Kazia.

— Dziś i połowy nie załatwimy, bo mamy sesję ubogich matek i wizytę biskupa w ochronie. Wykłóciłam się dzisiaj okropnie z Ramszycem. Wyobraź sobie, śmiał mi zabraniać roboty; powiada, że podobno na Powiślu jest cholera. Może i w Samarkandzie, powiadam, zresztą myję się codzień, surowych ogórków wodą nie popijam, a roboty nie porzucę, nawet żeby była dżuma! Żeby milczał, nicbym nie dodała, ale że mi powiedział, że mam obowiązek się oszczędzać, więc wpadłam w ferwor. Przypuśćmy — powiadam—że umrę na cholerę, dziury w niebie nie będzie, a ty weźmiesz drugą, która ci lepiej będzie dogadzała. Zajmie się strojami, plotkami i reprezentacją, godną twoich miljonów. Mnie już nie przerobisz.

— Poco mu było robić przykrość?—upominała Kazia.—On jest taki dobry i kochający.

— Żeby był zły i nie kochał, dawnobym go rzuciła!—zaśmiała się Ramszycowa.—Ale mu przecie nie mogę pozwolić gadać sobie obelgi. Mam przez tchórzostwo i egoizm roboty zaprzestać! On tego zrozumieć nie może, że na-

gromadzenie miljonów w jednych rękach jest grzechem, i żebym przez sekundę opuściła swe zadanie, i zapomniała o nędzy, toby nas dotknęła klątwa Boża! *Tiens, c'est votre mari!* To on tutaj ma biuro! Wstrzymała trochę konie, ażeby nie wyprzedzać powozu, w którym siedział Andrzej i pani Celina. Wracali widocznie ze spaceru w Łazienkach.

Cień przeszedł po twarzy Kazi, a w tem Andrzej się obejrzał i skrzyżowały się ich spojrzenia. Odwrócił głowę, i coś powiedział do stangreta.

Powóz ruszył szybko i skręcił na Wilczą.

— To jest już nawet więcej, niż dobrze wychowany człowiek. *C'est canaile!* To także grzech, z którego świat się tolerująco uśmiecha, ale za który trzeba będzie odpokutować.

— Nie prorokujże strasznych rzeczy!—uśmiechnęła się Kazia.—Doprawdy, dla mnie to obojętne! Niech się kochają i afiszują — okrywa to mnie śmiesznością, ale i to mi jest obojętne. Zresztą on mnie nie oszukiwał, wiedziałam jak jest, więc *il est correct.*

— To jest grzech dla was obojga. Nie robi się drwin z religji i nie krzywoprzysięga się, ot tak—od śliny! Okaże się z czasem, kto był winniejszy.

— A to w jaki sposób?

— Przysięgaliście sobie fałszywie miłość. Za to albo ty w nim, albo on w tobie rozkocha się bez wzajemności! To będzie pokuta! A kto winniejszy, ten ją odcierpi.

— Nie ja!—odparła Kazia.

— Zobaczymy! — zakończyła Ramszycowa, zatrzymując konie przed starą, odrapaną kamienicą na Solcu, i zajęła się swoją „robotą.“

Kilka godzin zeszło w gorączkowem zajęciu, dopiero, gdy wysiadły na chwilę w lecznicy, przypomniała sobie Kazia Downara i załatwiwszy zwykłą czynność, spytała o niego Ramszycowej.

— Ano — musieliśmy się rozstać. Ja mu chciałam płacić, a on się uparł, że tylko darmo może leczyć biedaków. Oboje mieliśmy rację, ale ja nie chciałam ustąpić, więc on mi zarekomendował Rajewskiego. Z tym o płacenie niema kwestji, przeciwnie leczy tak, jakby robił to z łaski! O! Downar, to śliczna dusza. Bywa czasami u mnie, i lubię te wieczory. Ja mu gram Szopena, on słucha i milczy, bawimy się bajecznie.

Ich sei, gewahrt mir die Bitte.

— *In eurem Bunde die Dritte*—rzekła Kazia. Muzyka w skupieniu po pracy, wieczorem, co za wypoczynek i zdrowie.

— Pierwszy raz jak się zjawi, zawiadomię cię. Czy już wracasz do domn? Wstąp do mnie.

— Nie mogę. Piąta dochodzi.

Uścisnęły sobie dłonie i Kazia ruszyła piesz Marszałkowską, wybierając prawą stronę, gdzie mniejszy był tłok, nie patrząc ni w prawo ni w lewo, nie zatrzymując się przy wystawach, biegnąc prawie, tak jej zawsze było przykre wędrowanie w masie próżniaczej ludzkości, tak ją drażniły ciekawe spojrzenia mężczyzn, potrącanie wystrojonych dam.

Przechodząc koło sklepu ogrodniczego, wstąpiła po kwiaty do ubrania stołu; ledwie otworzyła drzwi, chciała się cofnąć, ujrzawszy Andrzeja, ale po sekundzie wahania podeszła do sprzedającej panny, która zdawała resztę, i rzekła:

— Proszę o kilka róż i paproci.

Andrzej drgnął, obejrzał się.

— *Vous rentrez deja?*—spytał.

— Wielki czas, jeśli pan też wraca na obiad!— odparła też po francusku, wybierając kwiaty.

— Mam jeszcze wstąpić za interesem, ale szedłem do domu, żeby panią spytać, czy nie poszlibyśmy dziś do teatru.

— Razem? — poruszyła brwiami, wzięła kwiaty, zapłaciła, i wyszli razem. Na ulicy dokończyła spokojnie:—Dla pana byłby to przymus, a dla mnie przykrość, a ponieważ ludzie chodzą do teatru, żeby się bawić, nie będę panu rozrywki swą osobą psuła.

— No, i sobie pani w ten sposób przykrości oszczędzi—rzekł urażonym tonem.

— Zapewne, bo nie znoszę tego, by komuś zawadzać swą osobą i krępować swobodę.

— Bardzo jestem pani wdzięczny.

Ale był zły, nie wdzięczny. Skinął na dorożkę, siadł i pojechał. Ona też zasępiła się, dotknięta, bo nie czuła się winna.

— Jeśli tak dalej pójdzie, dojdziemy do nienawiści. I dla czego, za co? Jak mam postępować wreszcie? — pomyślała z goryczą i zniechęceniem.

Dom był pusty. Zaczęła w nim gospodarzyć, bez zwykłej ochoty, z tem przeświadczeniem, że cobykolwiek zrobiła, zawsze źle będzie i bezużytecznie.

— Trzeba szukać zdroju, by się zahartować! — pomyślała wreszcie, opierając się całą siłą woli tej niezdrowej fali myśli. Doli nie zmienię, a jak się zacznę buntować, to jakbym stryczek sobie zaciągała. Nie, nie można! Życie nie składa się ze szczęścia, a raczej szczęście powinno być spokojem sumienia. Podjęłam się takiej doli—basta, nie wolno się z losem certować. Nie zawiniłam mu nic, nie mam o nim co myśleć, ani rządzić się, jak on, złemi humorami.

Andrzej był wściekły, i podniecał się jeszcze w myśli.

— Taka gęś wiejska, grająca bohaterkę. Łaskę mi zaczyna świadczyć, pozwala mi się bawić, jakbym jej o pozwolenie prosił. Raczy mi oszczędzać przymusu. Stawia się w roli niewinnej ofiary, mało co brakło, powiedziałaby mi, żebym z Celiną jechał do teatru, ona łaskawie pozwala. Tamta mi sceny zazdrości urządza, a ta mnie traktuje, jak swoją własność, którą raczy innej wypożyczać. Jak mi te baby czasem obrzydną, to pojęcie przechodzi, ale chyba wolę sceny zazdrości, jak cnotę tej Westalki! A to mnie ojciec urządził! Wściec się można!

— Gdzie jaśnie pan każe jechać? — spytał go dorożkarz na końcu Marszałkowskiej.

Opamiętał się. Przypomniał sobie interes w biurze technicznem i kazał się tam wieźć.

W biurze spotkał Dąbskiego, zaczęli gawędzić, i wyszli razem.

— Idziesz do domu na obiad?

— Tak!—mruknął niechętnie.

— Przypominam ci nasze wtorki. Ludzie się śmieją, że jeszcze nie oddaliście wizyt. Długi miodowy miesiąc.

— Czy jeszcze się nami zajmują? Myślałem, że już raczyli zapomnieć.

— Ano, jak zaczniecie bywać, staniecie się powszedni. Teraz jeszcze wszyscy ciekawi twojej żony.

Andrzej ramionami ruszył, i rozstali się.

Gdy otwierał zatrzask, słyszał w mieszkaniu muzykę, tak go to zdziwiło, że zatrzymał się chwilę w przedpokoju, potem zajrzał do salonu. Na szelest klamki Kazia zerwała się od fortepianu, zamknęła go i zadzwoniła na lokaja,

— Pan wrócił! Światło do pokoju! — rozkazała, wychodząc do jadalni.

Andrzej cofnął się do swego pokoju, przebrał się i usiadł przed biurkiem. Znudzony się czuł i znużony, nie rad ze siebie i z ludzi. Dziś rano zastał u pani Celiny Maksa Unfrieda! Wprawdzie przekonał się, że wstąpił na chwilę tylko, zdając sprawę jakiegoś polecenia co do bronzowych świeczników, które pani Celina chciała kupić, a bała się, czy nie są podrobione, ale już go „ten drugi“ zirytował, i gdy wyszedł, zrobił dość ostrą uwagę. Pani Celina na to docięła mu żoną—i po gorącej dyspucie rozstali się w gniewie. Wprawdzie po południu pani Celina przyjechała do biura sama, wyciągnęła go na spacer, pogodzili się, i spędzili rozkosznie parę godzin w pustych Łazienkach, ale on nie mógł odzyskać dobrego humoru i z niesmakiem wspominał dzień ten cały. Na dobitkę z racji spaceru, nie wykończył roboty pewnej w biurze, szef mu zrobił uwagę, to go do reszty zbuntowało na losy, i teraz niecierpliwie wyglądał ojca, żeby z nim o interesach pomówić.

Gdy usłyszał otwieranie drzwi wchodowych, wyszedł na spotkanie ojca, ale już go Kazia uprzedziła, i witała wesoło, a stary z nią gawędził.

— Spóźniłem się, spotkałem tego sowizdrzała Kołockiego, i tak mi czas zmitrężył. Teraz, córuś, dawaj prędko obiad, bo cię zabieram do cyrku. Dobrze?

— Jeśli ojciec chce, to gotowam. Tylko może mam się przebrać?

Spojrzał po niej krytycznie.

— Możesz iść, jak jesteś ubrana. Zawsze gawiedź będzie lornetowała starego który sobie taką ładną kobietkę dostał! A, jesteś!—zwrócił się do syna. Co mi dziś gadał radca Jasieński, że podobno z młodym Markhamem zakładacie jakąś fabrykę?

— Stary i wiadomy ojcu projekt. Co prawda, mam dosyć biurowej pańszczyzny i za starym na mustrowanie Lorisa!

— Spotkałem i jego. Słyszę, zrobiłeś mu awanturę. Wojowniczo jesteś temi czasy nastrojony.

Usiedli do obiadu. Kazia czuła, że zbiera się na burzę, ale jej zapobiedz, a nawet wmieszać się do rozmowy nie mogła. Zrozumiała teraz rozdrażnienie Andrzeja. Musiał mieć ze zwierzchnikiem gwałtowne przejście.

Prezes przy lokaju nic więcej mówić nie chciał, bo gdy syn żachnął się, i chciał protestować—rzekł:

— Będzie czas. Teraz głodny jestem i śpieszę!

Obiad tedy minął spokojnie, ale gdy przeszli na kawę do gabinetu, Andrzej wybuchnął.

— Loris mnie sobie za niewolnika nie kupił. Może wyzyskiwać innych, ale nie mnie. Te jego sto rubli miesięcznie tyle mi znaczą, co nic.

— Widocznie, kiedy na nie wcale pracować nie chcesz i do biura ledwie raczysz zajrzeć, czy jest na miejscu. Musiał polecić innemu twoje zajęcie, bo ciebie nigdy niema w fabryce.

Kazia nalała kawę, podała teściowi cygara, i zemknęła z pokoju. Słyszała jeszcze głos Andrzeja:

— To fałsz i przesada. Nigdy godzin zajęcia nie opuszczam; dziś wyjątkowo nie byłem, alebym robotę techniczną wieczorem odrobił, gdyby nie scena, którą Loris urządził. Od jutra nie idę do fabryki.

— Jak chcesz. Jesteś pełnoletni!—mruknął prezes.

Zadzwonił na lokaja, kazał konie zaprzęgać.

— Zostaniesz w domu?—spytał syna.

— Nie, idę do teatru. Wracając do naszej współki z Markhamem, chcemy odkupić interes jego brata, olejarnię. Ustępuje ją nam na bardzo dogodnych warunkach, potrzebujemy na razie sto tysięcy rubli. Czy mi ojciec może

temi czasy oddać tę sumę matki? Warunek spełniłem.

— Tak, ożeniłeś się—suma twoja. Możesz ją mieć w każdej chwili.

— Więc mogę już stanowczo mówić z Markhamem. Za dni parę przedstawię ojcu cały interes.

— Dobrze! Ja się ze swej strony dowiem co o tem mówią. Owszem, może zdrowiej będzie dla ciebie większy i własny interes. Będziesz miał mniej czasu na głupstwa. Markham porządny chłopak. No, zatem masz moją sankcję, ale za to musisz i ty mi ustąpić i posłuchać.

— Co ojciec każe?—spytał Andrzej już dobrym tonem.

— Trzeba, żebyście oddali ludziom wizyty, zaczęli bywać, i przyjmować. Ani tobie, ani mnie nie jest przyjemne, żeby komentowano i krytykowano nasze domowe stosunki. Jak jest, to jest, ale dla towarzystwa trzeba formy zachować. Sam to przyznasz, gdy spokojnie rozważysz. Nie robię ci żadnych uwag, ani daję nauk, ale proszę, zrób to dla mnie.

— Dobrze. Jutro spiszemy, u kogo być mamy i odbędę tę pańszczyznę.

— Dziękuję ci. Z początku będzie trochę rwetesu, ale potem sama Kazia będzie rada jaknajmniej bywać, więc będziesz swobodny.

W wielu razach ja cię wyręczę. Nie pojechałbyś z nami do cyrku?

— Nie. Muszę być w teatrze.

— Nam czas ruszać!

Wstał i zawołał synową.

Wyszła do przedpokoju, już w kapeluszu.

— Bodaj to wieśniaczka!—zaśmiał się prezes!—Nie każe na siebie czekać. A zadysponowałaś co na kolacyę, bo wrócimy o północy.

— Będzie wszystko gotowe.

— Proszę wziąć żakiet! — odezwał się Andrzej.—Będzie upał nieznośny w cyrku, a w nocy chłodno.

Sięgnęła po żakiet i wzięła go na rękę.

Wyszli wszyscy troje, i wsiadając do powozu—rzekł prezes:

— Siadaj! i ty — wyrzucimy cię przy teatrze.

— Pewnie! — pomyślała Kazia. — Jakby ojciec nie wiedział, że jego teatr na Erywańskiej.

Tymczasem Andrzej usłuchał. Usiadł na przedniej ławeczce i łaskawie raczył do niej przemówić:

— Pojutrze zaczniemy już składać wizyty. Zapewne pierwsza będzie u Dąbskich.

— Jeśli nie macie krewnych — starszych ciotek i wujaszków!

— Naturalnie, zacząć musisz od Wolskich i Dąbrowskich! — potwierdził prezes. — A nie straszno ci tej wędrówki po obcych?

— Boję się tylko, by nie popełnić jakiej niestosowności, dla was kompromitującej.

— Opowiem po drodze, do kogo jedziemy!— rzekł Andrzej. A ma pani wizytowe bilety z obecnem nazwiskiem?

— Nie mam—nie pomyślałam o tem. Jutro rano wstąpię do litografii. Czy dużo złożymy wizyt?

— Co najmniej dwadzieścia.

— O Boże!—westchnęła tak szczerze, że aż się prezes roześmiał.

— A co? Już duch się tłucze! Nie bój się, za jaki rok będziesz w tem pływała, jak ryba w wodzie! No, otóż i teatr. Wysiadasz, Andrzeju?

Powóz stanął. Po chwili jechali tylko we dwoje, i stary rzekł:

— Za rok, mam nadzieję, że to ja sam zostanę, a on z tobą pojedzie!—i westchnął.

— A to ci galant z ojca!—uśmiechnęła się. Mnie bardzo dobrze tak, jak jest dzisiaj.

— Niech się pies udławi takiem dobrem. Jeśli ci to dogadza, trzeba było mnie poślubić!

— Dlaczego ojciec się nie oświadczył?— żartowała dalej.

— Żartujesz, a to mnie najgorzej boli, ta twoja swoboda i obojętność. To dowodzi, że on ci niczem nie jest, niczem!

— Dzięki Bogu, tak! Gdyby inaczej było, w tych warunkach ładne piekło mielibyśmy wszyscy troje. Brrr!—wzdrygnęła się.

— To się zmieni, to musi się zmienić! Gdyby tak zostało jak jest, nigdybym sobie nie darował, że to ja urządziłem!

Milczała, nie chcąc mu prawdy powiedzieć.

Powóz stanął, znaleźli się w ciżbie, i zaczęli w labiryncie kurytarzy i przejść szukać swego miejsca. Gdy usiedli wreszcie w loży, spojrzała ciekawie na arenę, gdy prezes począł rozglądać się po widzach.

Na arenie galopował gruby tarant, a na jego grzbiecie w trykotach i różowych spódniczkach, nie dłuższych, jak kreza, hasała woltyżerka. Przeginała się, skakała przez obręcze, zerkała na galerye, posyłała całusy, a tarant galopował monotonnie, jak wahadło, a w środku areny podrygiwał klown, podciągając białe spodnie, wrzeszcząc, wywijając koziołki, wreszcie siadł na piasku i począł nogą drapać się za uchem, co wzbudziło śmiech homeryczny całej publiki i hałaśliwe oklaski.

Wtedy Kazia spojrzała po ludziach, zdumiona tą idyotyczną wesołością.

Nie spodziewała się zobaczyć i poznać kogo, ale zwróciło jej uwagę troje ludzi, wychodzących z przeciwległej loży. Poznała damę: była to pani Celina. Mężczyzny i drugiej damy nie znała.

— Ona tutaj, on w teatrze. Co to znaczy?— pomyślała i znowu patrzała na arenę.

Prezes tymczasem skończył przegląd publiczności i rzekł.

— Mało znajomych. Jest Radlicz, i radca Zawadzki z żoną. Cóż, bawisz się?

— Bawię się, dziękuję ojcu! — odparła, ale w myśli przypomniała sobie gawędę Staszka Skowronka, że w mieście wszystko, co Boże— w niewoli.

Na arenie były teraz cztery siwe araby, wolno puszczone i musztrował je berajter w obcisłych rajtuzach i botfortach, podniecając konie głosem przepitym i klaskaniem długiego bata. Araby, parskając, chrapiąc, biegały w kółko, zwracały, zmieniały chody, przyklękały, podchodziły do niego, stawały dęba, ale oczy miały senne, ruchy drewniane, i znać w nich było znikczemnienie niewoli, bierne, sztuczne spełnianie obowiązku.

— Moje uszanowanie pani! — ozwał się za nią głos Radlicza.

Drgnęła, zwróciła się, podała mu rękę.

— Witam pana!

— Pani tak uważa na przedstawienie, jak zapewne nikt drugi. Czy pani lubi cyrk?

— Lubię konie. Zresztą jeśli tu jestem, to po to, żeby się przypatrywać widowisku.

Patrzał na nią po swojemu, badawczo, bystro. Jego zmysł artystyczny lubował się w niej. Miała w sobie doskonałą harmonię smukłych linii, złotawo-różowy koloryt twarzy, pogodny wyraz delikatnych rysów, i niebywałą jasność i przejrzystość złotobrunatnych źrenic.

— Ja się w niej rozkocham, jak w zdroju!— pomyślał z dziwną radością, że może patrzeć i mówić z nią.

— Pani mi pozwoli przypatrywać się także razem?

— Proszę pana!—odparła z prostotą.

— Wolno gawędzić?

— O i owszem. Niema racyi milczeć, bo niema czego słuchać!

— Siadajże pan—rzekł uprzejmnie prezes.

Radlicz usiadł poza Kazią i spytał:

— Pani zaprzestała konnych spacerów?

— Moja eskorta chora, ten chłopak stajenny. Jutro go zupełnie stracę. Tak tęskni po wsi, że go muszę do domu odesłać.

— Tak! Ano, to ci drugiego trzeba dostać!— rzekł prezes.—A to ci osieł dopiero, Warszawa mu się nie podoba! Powiedz mi pan, czy tu zawsze takie pustki?

— Jeszcze się napełni po antrakcie. Przyjdą na Karolę.

— Ach tę na trapezie, żonglerkę. Podobno bajeczna!

— Phi, modna!—ruszył ramionami Radlicz— od czasu, jak ją książę Kocio uczynił popularną, cała Warszawa lata do cyrku.

— Podobno kupił dla niej pałacyk po Sandersach w Alejach?

— I parę koni ze Styryi za pięć tysięcy rubli—i czek na tualety na piętnaście tysięcy rubli miesięcznie, i już nie pamiętam wszystkiego, co opowiadają.

— Każdy w życiu bywa tym zacnym kłapouchem i każdy miewa swoją Tytanię.

Kazia uśmiechnęła się, milcząc.

— O, pani drwi ze mnie!

— Bynajmniej... Myślałam tylko, jak różne bywają sny nocy letniej.

— A pani jaki był?—spytał.

Obejrzała się na niego, sekundę zatrzymała wzrok na jego zuchwałych oczach, i nic nie rzekłszy, patrzała znowu na arenę.

Radlicz raz pierwszy w życiu uczuł, jakby dostał policzek.

Szczęściem prezes nic nie zauważył, bo już rozmawiał z radcą Zawadzkim, wcale się o sztuki na arenie nie troszcząc.

— Pan ma pracownię w tej samej kamienicy, co panna Ocieska? — zagaiła rozmowę Kazia.

— Pani ją zna, bywa tam?

— Poznałam ją u Ramszycowej i byłam w pracowni. Śliczny ma portret na stalugach— pani Rokickiej.

— Bagatela. Cudna kobieta! Tej nawet Ocieska nie potrafi zbrzydzić. Czy portret obstalował Goldmark?

Kazia zmarszczyła brwi.

— Nie znam pani Rokickiej, ani jej stosunków—odparła niechętnie.

— Ale ją zna cała Warszawa. Rokicki jest szefem biura u Goldmarka. Pyszną ma synekurę dzięki żonie. To dziwne, że portretuje się u takiej pacykarki, jak Ocieska.

— Ciekawam, kto jest kochankiem Ocieskiej. Pan pewnie i to wie?

— Ocieskiej? A jakieżby boskie stworzenie mogło pożądać tego koczkodona? Przecież za to nienawidzi mężczyzn, plwa na nich i pogardza, od czci odsądza!

— Za to?—powtórzyła Kazia.—Aha, to i pana zapewne nigdy nie chciała żadna kobieta!

— Mnie? Dlaczego?

— Ano, bo i pan plwa na nie i od czci odsądza. Bardzo mi pana żal: nic tak nie boli, jak zraniona miłość własna.

Radlicz spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— O! pani feministka!—rzekł ironicznie.— Nie do twarzy z tem pani. Proszę to zostawić Ramszycowej i jej klice na pociechę po zawiedzionych nadziejach. Pani za piękna, za urocza, zanadto stworzona do uwielbień i szczęścia.

Szyderczy uśmiech przemknął po twarzy Kazi, w oczach zapaliły się skry złośliwości.

— To istotnie kuszące i wybór łatwy. Któżby się wahał, czy być koczkodonem, czy być wielbioną przez warszawiaków i zdobyć szczęście z Goldmarkiem! Pan mnie upaja swemi pochwałami! Podobna przyszłość może mi w głowie do cna zawrócić!

— Pani drwi, a jednak ja oto dziś w tej chwili założę się z panią, że do przyszłej wiosny będzie pani kochała i będzie pani kochaną. Proszę się nie srożyć, nie piorunować zuchwalca. To się stać musi, inaczej byłaby pani potworem, kalectwem, istotą bez duszy, bez nerwów, bez myśli, nawet bez poczucia honoru!

— Szczególnie to ostatnie!—uśmiechnęła się pogardliwie.

— Szczególnie! Honor nie znosi obrazy i krzywdy. Jakże? Trzyma pani zakład?

— Nie, bo nie żartuję z uczuć, ani się niemi bawię.

— Nie bawisz się? to posłyszał i podjął prezes, skończywszy dysputę z radcą.

— Ależ, owszem, tatku! Pantomina była śliczna.

— Ano, teraz zobaczymy tę sławną Karolę.

Antrakt się skończył, do jednej z lóż weszło kilku panów, poczęto się im przyglądać, jako znanym sportsmenom i szykowcom.

— Jest i Kołocki z Kociem!—zauważył prezes lornetując.

Wśród burzy oklasków wbiegła na arenę żonglerka, cała, jak wąż złocisty, w błyszczących trykotach, zamigotały brylanty w uszach i na szyi, sypnęły się na nią kwiaty. Ukłoniła się, obejmując salę zalotnem spojrzeniem, zatrzymała oczy dłużej na loży paniczów, posłała im od ust całusa i uśmiech i zwinna, gibka, poskoczyła na środek areny, chwyciła za trapez i jak pająk złocisty, po niciach sznurów, poczęła się piąć ku górze.

Kazia odwróciła oczy, wstrząsnął ją dreszcz zgrozy, publiczność wydawała okrzyki podziwu, akrobatka była niezrównana. Kładła się na sznurach i tańczyła, rzucała się w głąb zawrotną, chwilami wisiała, zda się, w powietrzu. Chwytała i ciskała tysiące przedmiotów.

Przemógłszy się Kazia, śledziła ją. Wzrok miała bardzo bystry, widziała wyraźnie naprężenie muskułów, falowanie piersi, widziała na-

wet, że spoglądała często na lożę, uśmiechała się, dawała znaki, jakby czekała na coś.

Nagle hrabia Kocio sięgnął do kieszeni, dobył niewielki błyszczący przedmiot i cisnął go w górę. Zamigotał, jak gwiazda, i stało się coś w błyskawicznej sekundzie. Jak pająk Karola rzuciła się na łup, chwyciła go w powietrzu, wydała okrzyk, zawirowała w próżni i jednocześnie z okropnym krzykiem całej publiczności spadła na piasek areny. W jednej chwili tumult się uczynił, tłum ją otoczył, porwano ją na ręce, uniesiono. Kobiety mdlały i szlochały, mężczyźni wołali: czy żyje? popłoch ogarnął cały cyrk, orkiestra umilkła, loża sportsmanów była pusta.

Kazia blada, jak płótno, zagryzła wargi, patrzała machinalnie na arenę, gdzie ciemniała niewielka plama krwi. Większość publiczności, gotowa do wyjścia, czekała tylko grobowej wieści. Radlicz wyszedł!

W tem orkiestra zaczęła znowu grać, poczęto sykać chwilę, potem się uciszono.

— Chodźmy, tatku!—szepnęła Kazia.

Prezes wzburzony, ledwie ochłonął z wrażenia.

— Jak się to stało, bo nie uważałem?—pytał, torując jej drogę wśród tłoku.

— Bransoletę jej cisnął! Także koncept, ktoś mówił przed nimi. Powinien sądownie

odpowiadać, ale taki się ze wszystkiego wykręci.

— Panicz, gdzie to rzuca pieniądze, a na wpisy to rubla nieda! ktoś warknął.

— Zabita pewnie. Mój Boże, dla marnej bransolety!

— Głupia, mogła ją dostać u siebie w buduarze.

— Co prawda, za kim to ludzie szaleją. Żadna piękność, tyle, że zagraniczna!

— Widzisz, Jasiu, czem się kończą łamane sztuki. A ty wiecznie na głowie chodzisz i na oknie się huśtasz! Widzisz, jak nie wiele do nieszczęścia potrzeba.

— Jutro rano w *Kurjerze* będzie.

Wśród tysiąca urywanych zdań, wydostali się do kontramarkarni. Tu tłum rzedniał, oddychał swobodniej.

— Pójdziemy na kolacyę do Europy.

— Maniu, a gdzie pan Władysław?

— Mój drogi, czy wracamy razem?

— Wstąpię do klubu.

— Wiecie, znajdziemy jeszcze partyjkę u Lisieckich.

— Dlaczego to Malwina zawsze bywa tylko z ciotką?

— Nie wiesz, kto się witał z Morskiemi?

— Jazda do Łazienek! Siadajcie panienki!

Nareszcie wydostali się na ulicę i w tej chwili zjawił się Radlicz.

— Ledwiem państwa dogonił!

— No i cóż?—spytał prezes.

— Aus!—rzekł krótko malarz.

— Hrabia może mieć grubą nieprzyjemność.

— Żadnej, już parę razy to było. Wszyscy o tem wiedzieli, ona się w ten sposób nim i sobą popisywała! Nie udało się! Bransoletę chwyciła jednak i tak ścisnęła w ręku, że siłą musiano wydrzeć.

— Kto?—spytała Kazia.

— Jej matka, dziedziczy po niej.

— Cóż hrabia?—rzekł prezes.

— Struty. Klął, obiecał matce wziąść na siebie wszystkie koszta i pojechał z Kołockim.

— Jakkolwiekby to było, rad jestem być w swojej skórze, a nie w jego!—zakończył prezes.

— Żegnam państwa!—ukłonił się malarz.

Oni wsiedli do powozu, on poszedł pieszo. Wcześnie jeszcze było, rozmyślał, co robić z resztą wieczoru. Różne twarze i postacie kobiece majaczały mu w myśli, nie mógł się na żadną zdecydować. Tak idąc, zamyślony potrącił kogoś; spojrzał, był to Andrzej Sanicki.

— Dokąd?

— Szukałem Markhama, siedzi u Dąbskich. I po co on sobie tę gęś bierze!?

— Ano, ma wenę czy pech — kocha się w pannie z towarzystwa!

— W czem ty widzisz wenę, czy pech?

— Ano, może się z nią ożenić, mieć, trzymać, ludziom się pochwalić. Całe życie kocham się w mężatkach, djablo mi to czasem dokuczy, jak kłusownictwo królowi kurkowemu. Zazdroszczę mu! A pech? Ano, chwal się tu i ciesz, i pilnuj jednej całe życie! Podle jest świat urządzony! Wiesz, idę z cyrku. Karola się zabiła. Mgli mnie dotychczas; pójdź chyba do knajpy!

— Zabiła się? Nie widziałeś mego starego i żony?

— Owszem! Wyszliśmy razem. Ale była chwilę i pani Celina.

— Sama?—spytał żywo Andrzej.

Radlicz sekundę się zawahał.

— Chyba, że sama, nie uważałem.

Andrzej stanął.

— Maksa nie było?

— Nie uważałem!—powtórzył Radlicz.

— Dobranoc ci!—mruknął Sanicki, skręcając na Królewską.

W domu nie spodziewano się go. W małym gabinecie prezes czytał gazety, Kazia naprzeciw niego szyła bieliznę dla protegowanych Ramszycowej. Gdy wszedł, spojrzała na

niego prawie z przestrachem, prezes z podziwem.

— Co się stało? Czy i w teatrze ktoś się zabił?

— Nie, alem się znudził. Mam głowę zajętą interesami, poszedłem do Markhama.

— On dziś u Dąbskich — wtrąciła Kazia. Może pan bez kolacyi?

— Bez.

Wstała natychmiast i wyszła.

Po chwili znalazł w jadalni zastawioną przekąskę, Kazia gospodarzyła przy bufecie, podała mu sama herbatę. Spojrzał na nią i poczuł wyrzut sumienia za szorstką rozprawę na ulicy. Postanowił być uprzejmym.

— A zatem pojutrze wizyty? — rzekł. Zaczniemy od wujostwa Dąbrowskich. Brat mojej matki i jego żona, dwoje bezdzietnych smakoszów. Druga wizyta gorsza, u Wolskich — brr, co za osie gniazdo. Stary safanduła, pięć córek starzejących w panieństwie, i matka, zła za sześć! Tam z góry nienawidzą pani.

— Mnie? Dlaczego?

— Bo roili całe lata, że się z jedną ożenię; i wszystkie kochały się we mnie.

— Musimy tam bywać?

— Jakże! krewni, cioteczna siostra matki.

— A ojca rodzina?

— Jest stryj, urzędnik w Banku. Ma młodą żonę i czworo dzieci, katów i wisielców zarazem, bo katują rodziców, a warci wszystko czworo szubienicy, tak są niesforne, rozpuszczone i samowolne. Ojciec tam nigdy nie bywa, bo go to zanadto drażni, ja czasami chodzę, jak do domu waryatów. Będziemy potem u Markhamów, u Winnickich, u Dąbskich, u profesora Kęckiego.

— U doktora Downara?—szepnęła.

— Owszem, ale ja tam nie lubię bywać! On mruk, ona jędza!

Prezes, zdziwiony rozmównością syna, wszedł do jadalni.

— Dajno i mnie, córuś, herbaty! rzekł wesoło. Starzeję—coraz mi lepiej w domu—z wami!

— Jeszcze ojciec partyi do winta nie dobrał!—zaśmiał się Andrzej.

— W tym roku zbiorę winta u siebie. Mamy gospodynię, trzeba ludzi ugościć.

— Winszuję! Fix—w niedzielę może! No, mam nadzieję, że gospodyni pierwsza zaprotestuje.

— Ja? Przeciw ojcu! Cóż znowu!

— Przeciw mnie zatem! spojrzał na nią już niechętnie, i spotkali się oczami.

Zatrzymał na niej wzrok, raz pierwszy uważniej.

— Jakie to młode! — pomyślał i wzrok mu złagodniał.

— Pani sama nie lubi tłumu i nieda sobie rady z temi fiksami! — dodał. Ja bezwarunkowo nie będę miał czasu na tę cotygodniową pańszczyznę.

— No, no, nie buntuj się przed czasem! — rzekł prezes. Na dziś dobranoc, dzieci!

Zegar wybił jedenastą. Stary wyszedł, Kazia sprzątała w bufecie, Andrzej siedział zamyślony, paląc papierosa.

— Była z Maksem w cyrku! — myślał i czuł dziką wściekłość, chęć zemsty, dokuczenia sobie i swej miłości zdradzonej.

— Dobranoc! — rzekła Kazia.

Wstał żywo i podał jej rękę. Trochę zdziwiona, wyciągnęła dłoń do uścisku. Zatrzymał ją i spojrzał jej w oczy.

— Niktby nie uwierzył, żem od sześciu tygodni żonaty, i nie znam ust mojej żony! — rzekł.

Poczerwieniała gwałtownie, cofnęła rękę, źrenice jej zamigotały gniewem.

— Ale sumę, dla otrzymania której z woli matki swej pan się ożenił, dostał pan.

— Zapewne, ale i żonę mam — *et je ne veux pas être un mari ridicule!*

— *Si vous préferez être lâche-soit!*

Odwróciła się i wyszła. On począł chodzić po pokoju wzburzony, wściekły, mrucząc coś przez zęby, wreszcie zadzwonił na lokaja, kazał gasić światło, i wyszedł.

IV

Kazia, ubrana na wizyty, zajrzała do gabinetu teścia, żeby się pożegnać.

Obejrzał krytycznie jej strój i wygląd.

— Suknia dobra, aleś ty, córuś mizerna i blada, i oczki zmęczone, jakby płakały. Co ci? Straszno? Czyś niezdrowa?

Poczerwieniała, próbowała się uśmiechnąć.

— Trochę straszno, ale się oswoję. Do widzenia.

W przedpokoju Andrzej na nią czekał, milczący, chmurny. Zeszli, wsiedli do powozu, i jechali obok siebie, nie mówiąc słowa.

Gdy wysiadali na Chmielnej, chciał jej podać rękę, usunęła się z widoczną niechęcią i weszła w bramę. Dąbrowscy mieszkali na drugiem piętrze, otworzyła służąca, i powitała Andrzeja, jak domowego.

— Są państwo oboje. Proszę do sali!

Przedpokój był ciemny, jak zwykle — jak zwykle też mieszkanie miało specjalny zapach warszawskich mieszkań, mieszanina naftaliny, gazu i kuchni. Sala miała stereotypowe meble, dywan, lampę na stole, przykrytym serwetą, fortepian, na którym nikt nie grywał, na oknach dwie palmy, które mogły być równie dobrze blaszane, lub papierowe, tak były sztywne i zakurzone.

— To ty, Ańdziu!—rozległ się zasapany głos kobiecy, i do sali wtoczyła się Dąbrowska, wołając żywo do służącej—budź pana!

— Przyszliśmy z żoną złożyć wujostwu uszanowanie! — odparł Andrzej, pochylając się do ręki ciotki.

— Jak się masz, witam, jakżem rada! Pozwól się uścisnąć, moje śliczne dziecko. Objęła Kazię w ramiona, przytuliła do łona, potem przyjrzała się jej uważnie.

— Śliczną́ś wynalazł sobie kobietkę, co za cera zdrowa, niema to jak wiejskie dziewojki. Jakże ci się podoba w Warszawie, pozwolisz starej ciotce nazywać się po imieniu.

— Ależ, ciociu, dziękuję za tę łaskę!—odparła Kazia.

Wejście Dąbrowskiego wznowiło powitanie. Ten, ze storoświecką galanterją ucałował nową siostrzenicę w rękę, powiedział, że jest jak róża, i—zapytał, jak jej się podoba w Warszawie.

Potem usiedli na sztywnych fotelach i rozmowa się rozstrzeliła. Dąbrowski począł rozpytywać Andrzeja o interesa, Dąbrowska zabawiała Kazię, a raczej ściągała z niej egzamin.

— Słyszałam, żeś odprawiła Janów? Kogóż masz na ich miejsce! O kucharki strasznie trudno. Czy kontrolujesz ją trochę? Byle poczuła, że pani młoda nie zna się na cenach, obdzierają na każdej marchewce.

— O ile mogę, sprawdzam!

— Jakże? Ile płacisz drób? A masło? Moje dziecko, to nie dość wiedzieć, że kaczka cztery złote, a kura rubla, ale jaka kaczka, jaka kura! Na to trzeba lat doświadczenia. Nie chwalę się, ale jak ja się na tem znam! Ha, czterdzieści lat jestem gospodynią. A masło!

— Masło mi ojciec przysyła.

— Dobre? centryfugowe? Poproszę cię o próbkę, może i mnie ustąpisz. Masło to grunt, to zdrowie. Zapasy na zimę będziesz pewnie robić, służę ci radą we wszystkiem. Spytaj o konserwy Dąbrowskiej! A twoi panowie wybredni, o znam ich, ci mają smak i gust. Naturalnie w miodowych miesiącach wszystko się gospodyni wybacza, ale potem rachuj na mnie, ja cię wszystkiego nauczę. Ach wy, wieśniacy, rajskie macie życie, i za darmo. Jaki nabiał, a jaja? Po czemu?

W ten sposób rozmawiały pół godziny.

Nareszcie Andrzej dał hasło odwrotu, ale jeszcze zeszedł kwadrans, zanim się pożegnali, obiecawszy przyjść w niedzielę na obiad, dany na ich cześć.

Dąbrowska jeszcze przeze drzwi wołała:

— A nie zapomnij przysłać mi próbki masła.

— Przyjemna szykuje się niedziela!—mruknął Andrzej—obiad familijny.

Przy wsiadaniu do powozu znowu jej chciał podać rękę, usunęła się, tedy wybuchnął:

— Trędowaty nie jestem, nie zarażę dotknięciem.

Milczała.

— Czy pani postanowiła mi nie odpowiadać?

— Pan o nic nie pytał.

— Pytam zatem, czy pani nie raczy ze mną mówić?

— Bez koniecznej potrzeby, nie!

— Ostrzegam, żeby to pani na złe nie wyszło.

— Nic gorszego spotkać mnie nie może.

Żachnął się, i umilkł. Po chwili przyjechali na Nowy Świat. Wolscy mieszkali na drugiem piętrze; otworzył lokaj; państwo są w domu.

Taki sam ciemny przedpokój, ten sam zaduch naftaliny i gazu, salon był trochę inny, boć były panny w domu, potrzebna była reklama talentów, i estetycznych aspiracji. Fortepian był otwarty, była jedna snać przybrana za muzykalną, ekran z wyhaftowanym jakimś

cudakiem ptasiego rodu zasłaniał dół pieca, stół zdobiły popielniczki, drewniane noże do papieru i t. p. przedmioty sztuki, stosowanej bardzo elementarnie przez drugą zapewne pannę Wolską, nareszcie ostentacyjnie leżała rozłożona książka na kanapie, jakby przed chwilą czytająca wstała.

Kazia wzięła książkę do rąk i spojrzała na tytuł: „Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski.“

Zaczęła ją przeglądać, ale chociaż otwarta była w połowie, mało co kart było przeciętych.

Oczekiwanie się przedłużało. W głębi mieszkania słychać było ruch, szepty, dyskretne śmieszki, wreszcie ukazała się mama Wolska.

I ta była tuszy okazałej, otyłość jeszcze bardziej uwydatniała suknia obcisła, modna tualeta młodej matki dorastających córeczek.

Kazia mimowoli przypomniała sobie zdanie Radlicza: „Warszawianka pod starość, jak się spasie, to na pokaz; jak wychudnie, to na postrach!“

Powstała na powitanie, pani Wolska przeszyła ją wzrokiem, potem krytycznie obejrzała toaletę, i majestatycznie podała jej dłoń.

— Bardzo mi miło poznać nowego członka rodziny! Jakże się pani Warszawa podoba?

Kazia się uśmiechnęła! Ile razy posłyszy dziś to pytanie.

— Nie pierwszy raz tu jestem! — odparła. Chociaż, co prawda, mało jeszcze znam miasto.

— Bywacie zapewne często w teatrze? Prawda, że jeszcze nie sezon. Zaledwie od tygodnia wróciliśmy z wód, nie mogę się jeszcze połapać.

— Była ciocia, jak zwykle, w Trenczynie?— spytał Andrzej.

— Nie. Doktor Morawski wyprawił nas do Zoppot. Jadźka była bardzo osłabiona. Wiesz, pożegnaliśmy w Dreznie Zośkę. Została dla malarskich studjów. No, i wiesz zapewne, że i Jadźka nie długo z nami zostanie!

— Nie wiem, ale z góry życzenia składam.

— W Zoppot poznaliśmy pana Bukowskiego. Zamożny obywatel z Ukrainy! Są po słowie!

W tej chwili weszły do salonu dwie panny, przeciętnie przystrojone, przeciętnie ubrane, przeciętnie szykowne i eleganckie. Szczęśliwa narzeczona, pokazująca ostentacyjnie tradycjonalny zaręczynowy pierścionek z turkusem, miała smętny, rozmarzony uśmiech na twarzy, druga kokietowała fryzowaną grzywką, zalotnem spojrzeniem i figurą toczoną.

Kazia wbijała sobie w pamięć ich rysy i myślała ze zgrozą, jak ich pozna, i czy pozna na ulicy, tak były banalnie przeciętne!

— Moje córki—Jadwiga i Marja!—przedstawiła matka. Panienki zabrały się do bawienia Kazi i naturalnie zaczęły: Jakże się pani podoba Warszawa?

— O, bardzo! A paniom lato wesoło zeszło?

— Średnio! — odęła usteczka Mania. — Ja się najlepiej bawię w Warszawie. Mamy bardzo miłe muzykalne kółko! Żeby się już sezon rozpoczął! Pani lubi muzykę? Gra pani sama?

— Trochę, zaledwie znośnie! Muzyki, kto nie lubi?

— Gdzie pani robiła wyprawę, tutaj, czy zagranicą?—spytała Jadzia smętnie.

— Tutaj. Opiekowała się nią moja koleżanka Tunia Dąbska.

— Mama się waha jeszcze, gdzie robić. Mój Boże, jaka to praca mozolna—westchnęła. A najcięższej mi się pogodzić z myślą, że już tak prędko pożegnam na zawsze Warszawę.

— Lubi pani wieś zapewne?

— Nigdy na wsi nie byłam, tylko na letniem mieszkaniu. Trzeba będzie przywyknąć! Podobno tam bardzo ludne i wesołe strony. Na zimę przyjadę do Warszawy, a na lato sprowadzę siostry i mamę.

Andrzej, zabawiany przez mamę Wolską, powstał.

Poczęto się żegnać bardzo uprzejmie, ale ledwie się drzwi zamknęły, Mania parsknęła śmiechem.

— A to sobie wynalazł indyczkę!

— A brzydka, a chuda!—dodała Wolska.

12

— Toć to niema o czem mówić z nią. Siedzi, jak zamalowana.

— On znudzony, zły, bez humoru. Zestarzał, zbrzydł.

— Tak się zmarnować! Tak skończyć!

— Moja mamo, a któżby za niego poszedł? Któżby się naraził na śmieszność? Trzeba być wiejską gęsią, lub nie mieć już krzty ambicji.

Ukazały się jeszcze dwie panny. Najstarsza Liza, która od paru lat uderzyła w dewocję, i najmłodsza Terenia, uparcie udająca podlotka.

Przez szparę w drzwiach obejrzały już gościa, przyłączyły się do krytyki! Gadały i gadały, aż się zjawił Wolski z biura; opadły go jak sroki, trzepiąc wszystkie naraz.

Wolski, zahukany, zmęczony pracą, słuchał półuchem — myśląc, żeby jaknajprędzej zjeść obiad, i pójść na winta.

— Kiedy oddamy wizytę?—spytał obojętnie.

— Nic pilnego. Ja sobie wcale bliższych stosunków nie życzę, zdecydowała pani. Smarkata wcale mnie ciotką nie nazywała, nosa drze! Co to się takiej gęsi zdaje! Nędzarka, podobno na wyprawę dał prezes, a teraz tony przybiera. Biedny Andrzej, żal mi go.

— Prezes mi mówił, że z synowej bardzo rad—bąknął Wolski.

— Co miał powiedzieć. Nie znasz Sanickiego, czy on kiedy mówi, co myśli. Stary hipokryta!

— Co nam do tego? Wizytę złożyli, chcecie tam bywać, bywajcie, nie to nie. Ja na winta do starego pójdę, bo mnie zaprosił, a teraz dawajcie obiad, bo muszę jeszcze wieczorem wstąpić do biura.

Nowożeńcy tymczasem wstępowali w progi stryjostwa Sanickich.

Tu do zapachu naftaliny i gazu dołączał się zapach dzieci. Gdy weszli, ujrzeli w głębi przedpokoju dwoje starszych chłopaków w gimnazyalnych bluzach; popychali się, kto pierwszy zobaczy i pozna gości i rzucili się w głąb, krzycząc z całych płuc:

— Mamusiu! to nie krawcowa, to Andrzej z jakąś panią. Niech mamusia się duchem ubiera.

— Feliś, będziecie cicho!—odpowiedział głos kobiecy. Obudzicie Maniusię. Nie wychodźcie do sali.

Ale chłopcy już byli tam razem z gośćmi. Obejrzeli Kazię i zaczęli gimnastykować się po meblach, rozmawiając poufale z Andrzejem.

— Ojca niema?—spytał.

— Co ma być? W Banku siedzi.

— Dawnoście z letniego mieszkania?

— Już od tygodnia w sztubie.

— A ileście już razy w kozie siedzieli?

— Po co ci wiedzieć? I tyś kiedyś siedział!

Poręcz krzesła trzasła, chłopak zwalił się na ziemię, aż jękło, w tej chwili matka weszła.

— Feliś, znowu psocisz!—zawołała żałośnie.

Chłopcy wpadli jej pod nogi, koziołkując i zniknęli z horyzontu.

— Witam i przepraszam za tych łobuzów—zawołała wesoło, wyciągając do Kazi obie ręce. Andrzej do tego przywykł i panią pewnie uprzedził. Ogromnie żywe moje dzieci, a ja niemam serca karcić je za niewinną swawolę. Siadajcie proszę zaraz. Feliks nadejdzie. Wiesz, Ańdziu, chciałam się na ciebie już gniewać, że nam żonę tak kryjesz zazdrośnie.

W tej chwili powstał w mieszkaniu wrzask i płacz, pani się zerwała.

— Ach, rozbudzili małą. Muszę ją tu do siebie wziąć, bo się inaczej nie uspokoi.

Wróciła po chwili, dźwigając na rękach dużą, może pięcioletnią dziewczynę, ryczącą w niebogłosy.

Przez dobre dziesięć minut nikt nie mógł przyjść do głosu, utulano pieszczotkę pocałunkami, pieszczotami, wreszcie służąca, wezwana na pomoc, przyniosła pudełko czekoladek i mała raczyła je łaskawie przyjąć na pociechę. Przyszli też do pudełka chłopcy, i pomimo, że matka zrazu dać im nie chciała, póty nudzili, aż odeszli z pełnemi garściami.

Maniusia na kolanach u matki nareszcie się uciszyła. Można było rozmawiać z biedą, chociaż chłopcy bawili się w konie i co chwila przelatywali, jak huragan przez salę.

Pani Sanicka, młoda, przystojna szatynka, podobała się Kazi, Andrzej widocznie też lubił stryjenkę. Żartowali ze sobą poufale.

— Musi ci się przykrzyć w mieście! — rzekła, zwracając się do Kazi. Męża masz bałamuta, znajomych żadnych, no i mało co do roboty.

Oddałam się w służbę pani Ramszycowej, mam pół dnia zajęte.

— Nie tęskno ci do wsi?

Kazia podniosła na nią oczy.

— Pani pewnie także ze wsi?

Roześmiała się kobieta.

— Tak. Widzisz, że cię rozumiem. Ja rodem z krakowskiego! Tęskniłam ogromnie z początku do pierwszego dziecka. I tobie to przejdzie!

Zaśmiała się znowu.

— Piętnaście lat jestem zamężna. Czworo mam tych urwisów.

— Tymczasem... uśmiechnął się Andrzej.

Poczerwieniała, pogroziła mu palcem.

— Nie żartuj! Ja się nie zarzekam, a ciebie może czeka siedmioro. Chciałabym widzieć

prezesa w gronie wnucząt. Tobym mu dopiero odpłaciła drwinami!

Ojciec wcale nie krytykuje ilości dzieci stryjenki, tylko systemu chowania nie pochwala.

— Niech się mnie spyta, czy ja system twego wychowania pochwalam.

— Nie? Doprawdy? Dlaczego? Mebli nigdy nie łamałem, a biegać „w konie“ nie miałem z kim.

— No, no! Łamałeś i łamiesz droższe przedmioty, niż meble, a bierzesz na kieł, jak najdzikszy koń! Ty mi się tylko za ideał nie przedstawiaj. Ach, Boże! Oto i Feliks! Muszę się zająć obiadem.

Uniosła w ramionach Maniusię i zjadając ją pocałunkami, znikła, rzucając wchodzącemu mężowi:

— Są Andrzejowie!

Sanicki poważny, flegmatyczny, pedant, powitał młodą parę, ale go wnet opadły dzieci i niedały rozpocząć nawet rozmowy. W głębi mieszkania wrzeszczała Maniusia. Andrzej miał dosyć całej familii.

Gdy się znaleźli na schodach, wybuchnął:

— Możeby dość było tego na dziś, bo mi łeb pęknie.

— Dąbskich nie możemy opuścić! — rzekła Kazia, a ojciec bardzo zalecał także, by nie obrazić starych Markhamów.

Coś zamruczał, spojrzał na zegarek i rozkazał stangretowi: Mazowiecka 7. Był to adres Markhama.

Markham stary, bardzo bogaty przemysłowiec, od dziesięciu lat zdał interesa na trzech synów, sam żył bezczynnie, oddany manii zbierania starożytności. Żona jego miała dwie manie: swatania i leczenia siebie i całego świata, oprócz tego chowała masę pińczerów i była patronessą różnych dobroczynnych instytucyi. Uważała się za umęczoną społecznemi obowiązkami.

Ciężką troską jej życia było: jak świat będzie istnieć, gdy jej do kierowania nim nie stanie.

Po przywitaniu, i obowiązkowem: „Jakże się pani podoba Warszawa“ — spytała zaraz z przekąsem:

— Podobno pani jest adjutantem Ramszycowej?

— Adjutantem, nie — odparła spokojnie Kazia, ale pomagam jej, mając wiele wolnego czasu.

— Dużo amatorek nie znajdzie w Warszawie. Nie bardzo kto zechce się z nią kompromitować. Był to radosny dla nas dzień, gdyśmy się od niej uwolniły. Wnosiła ze sobą chaos.

— Wtedy powstało takie oburzenie, że sama poczuła, iż musi się usunąć. Odetchnęłyśmy. Raczej pozbawić instytucyę jej tysięcy, niż stanąć pod pręgierzem opinii publicznej. Opowiadam to pani umyślnie, aby ostrzedz! Pani młoda, obca, nie doświadczona. Pani nie wie, co znaczy w świecie znajomość z taką Ramszycową. Tu idzie o największy skarb kobiety, o jej opinię i zdanie świata. Niech pani się cofnie, póki czas.

— Teść mój i mąż nie bronią mi tego zajęcia i stosunku!—odparła spokojnie Kazia.

— Ach, mężczyźni! Zawsze obejrzą się po niewczasie, że postąpili nietaktownie. Zresztą i pani teść i mąż nie znają tej kwestyi, nie rozróżniają dobroczynności chrześcijańskiej naszej, a tej jakiejś dzikiej, socyalnej, demagogicznej, jaką wyznaje Ramszycowa. Zresztą nie wiedzą może, i nie rozumieją, co to są feministki, to jest cała klika Ramszycowej. Stara jestem i doświadczona, jak matka panią ostrzegam! Jeśli nie chcesz zostać wyklętą z towarzystwa i kościoła, zerwij ten stosunek! Przystąp do nas, zapisz się na członka naszej świętej instytucyi! Wszak mi tego nie odmówisz?

— Z największą chęcią. Proszę mnie tylko co do obowiązków objaśnić, i nauczyć, co mam czynić!

— To dobrze! To dobrze! Dam ci tu zaraz ustawy, a po wtorkowej sesyi cię wprowadzę! Zaraz poznasz różnicę czynów i zasady!

Po chwili otrzymała Kazia moc papierów i książek, a twarz Markhamowej promieniała.

Zaprezentowała jej swe pinczery, oprowadziła po mieszkaniu, na pożegnanie ucałowała i dumna wyznała w duchu:

— Nawróciłam tę duszę i będę nią kierować.

Tymczasem „nawrócona dusza“ rozsypała na schodach papiery. Andrzej je zbierał:

— Co to za śmiecie znowu?—spytał.

— Ustawy jakichś dobroczynnych instytucyi, do których chce mnie wpisać pani Markham.

— Ta niezawodnie uderzy w dewocyę!—pomyślał o żonie, i nic nie rzekł.

Pozostała im na ten dzień już tylko jedna wizyta, ale tam, u Tuni Dąbskiej, czuła się Kazia, jak w domu.

Domem trudno było mieszkanie Tuni nazwać, choćby dlatego, że pan domu był zwykle nieobecny, a pani żyła w nim, jakby na popasie.

Małżonkowie nie widywali się ze sobą nigdy prawie. Dąbski wychodził rano do sądu, obiadował pięć razy na tydzień co najmniej poza domem, resztę dnia spędzał w knajpie,

pracował pół nocy w swym gabinecie nad sprawami klientów, lub pisał do gazet, bo się bawił literaturą.

W czasie zimowego sezonu przyjmowali we wtorki, wtedy każde z osobna bawiło gości, od czasu do czasu składali razem jaką etykietalną wizytę, zresztą bywali i znali pół Warszawy, ale każde z osobna.

Od dziesięciu lat skojarzone to stadło było ze siebie i losu zadowolone i szczęśliwe.

Dąbski, zdolny i pracowity, zarabiał grubo. Tunia miała zbytek i swobodę, byli bezdzietni, ogólnie lubiani i uchodzili za ideał małżeństwa.

Dzień pani Dąbskiej rozpoczynał się późno, około jedenastej, zwykle wizytą której z sióstr, lub kuzynek, których miała legjon.

Zrywała się z łóżka, i w szlafroku rozpoczynała się śmiać, paplać, i miotać po domu, zawsze coś gubiąc, czegoś szukając, popędzając służbę, słuchając ploteczek i nowinek odwiedzającej, i powtarzając bezustannie:

— Mój Boże, co ja mam na dzisiaj roboty, jak ja wydołam!

Tak biegając i paplając, myła się, czesała, piła kawę, dysponowała służbie, robiła rachunek z kucharką, wreszcie przeprowadzałą siostrę czy kuzynkę do przedpokoju, i tam, gdy się wycałowały na pożegnanie, u drzwi sa-

mych stojąc, kończyły gawędkę, „dwa słowa“, które trwały do pierwszej. Płoszył je zwykle dzwonek nowej, już etykietalniejszej wizyty, przed którą kryła się pani Tunia do sypialni, wołając w odwrocie do lokaja:

— Proś do sali. Leontyno, prędzej, ubieraj mnie. Gdzie gorset, gdzie trzewiki? Mój Boże! czy przynieśli stanik od krawcowej? Żelazko do fryzowania! Co się stało z kluczami?

Jeśli gość miał ważny interes lub naiwny, czekał na ukazanie się pani bardzo długo.

Zwykle jednak ten pierwszy zmykał, a pani Tunia ukazywała się zaledwie tym, którzy przychodzili około drugiej. Spóźniający się nie zastawali jej już w domu.

Wystrojona, ładna, uśmiechnięta, zbiegała na ulicę, co krok witała znajomych, i wiecznie czemś mocno zajęta, zaaferowana, załatwiała pośpiesznie wizyty, sprawunki, a szczególnie miała zawsze, codzień, jak rok długi, jakiś niecierpiący zwłoki interes do krawcowej.

Ponieważ zaś dla uproszczenia kardynalnej kwestyi strojów miała krawcowych i szwaczek sześć, a nigdy do żadnej nie przyszła na umówioną godzinę, bo zawsze jej coś przeszkodziło, więc, sprawy te zajmowały jej większą część dnia i była zapracowana do obiadu, który miał być o piątej, a bywał, jak się zdarzyło.

Zwykle przyprowadzała z sobą znowu którą z sióstr lub z legionu kuzynek, znowu gadały, gadały, gadały. Zwykle też wieczorem porywała się pani Tunia za głowę, spojrzawszy na zegar:

— Rany Boskie! Miałam być o szóstej u Jóźwickich, a to już siódma. Leontyno, prędzej ubieraj mnie! Gdzie fularowa suknia? Żelazko do fryzowania mi grzejecie! Mój Boże, ja nie wydołam do prawdy! Głowę trzeba stracić w tym odmęcie roboty!

Albo porywała się o w pół do dziewiątej:

— Jezus Marya! A toć Julek na mnie czeka w teatrze. Na śmierć zapomniałam. Boże, gdzie się podziały białe rękawiczki? Bilet mi zostawił na wypadek, gdy się spóźnię. Gdzież ten bilet! Leontyno, gdzie klucze? Janie, leć po dorożkę. Spóźnię się! Ach Boże!

Znając obyczaje domu, Andrzej był pewny, że o czwartej nikogo nie zastaną. Zadzwonił i sięgał ręką po kartę, gdy lokaj drzwi otworzył.

Ale Jan się usunął i nisko ukłonił, a zdaleka już słychać było głos Tuni.

Wyjrzała i skoczyła z powitaniem:

— Nareszcie! Chodźcie! Jest mama i dziewczęta. Ta wyprawa mnie dobije! Głowę tracę i nóg nie czuję. W tej chwili wracamy ze

sprawunków. Od jedenastej na mieście! Kaziu, pomóż nam!

— A my od dwunastej z wizytami!

— Wiem, wiem! Byliście u Wolskich. Panny już cię ogadały!

Zwróciła się do Andrzeja:

— Nie mógł się też pan z którą ożenić? Byłoby o jedną jędzę mniej!

— A o jednego męczennika więcej! — odparł.

Weszli do salonu i zastali dwie siostry z matką nad stosami próbek z dwudziestu co najmniej magazynów.

Przyszła teściowa Markhama i zaczęła rozpytywać Andrzeja o fabrykę spółkową.

— Bo to podobno będziecie ją mieli na prowincyi, w Grodzisku! — rzekła, krzywiąc się lekceważąco.

— Tak i młoda para tam zamieszka!

— I ta olearnia. Jak to musi nie pachnieć. Tak daleko będę od reszty dzieci! Czy chociaż ładny dom?

— Bardzo elegancki pałacyk, duży ogród.

— Ale ludzi niema, towarzystwa! Ciężko na starość zrywać stosunki tyloletnie! A interes, jak pan myśli, pewny? Bo to cały fundusz Emilki w to kładziemy! Broń Boże Markhamowi noga się powinie, zostaniemy bez grosza!

— Pani radczyni zmieni trochę akcyi, Markham senior nie kupi jednego gobelinu, to grosz się znajdzie, i podsztukuje nogę Markhamowi.

— Pan żartuje, a u mnie dusza na ramieniu. Zakopać dziecko żywcem w grób, wyłożyć tyle pieniędzy... Ach mój Boże! Ciężki jest los matek!

Westchnęła, chwilę milczała, potem pochyliła się do niego bliżej.

— Panie Andrzeju, czy pan zna młodszego Iwickiego?

— Młodszego? uśmiechnął się! Któryż to? Rejent, czy radca?

— Radca przecież żonaty!

— A rejent wdowiec. Prawda! Zatem rejent młodszy. Tego zna lepiej mój ojciec, bo grywają w winta, i bywają razem w Karlsbadzie. Czy on prowadzi interesa pani radczyni?

— Nie. Bywa u mnie! — odparła wymijająco.

— Panie Andrzeju, zagadnęła Tunia, czy to prawda, że nasz Markham spirytysta?

— Wątpię — chyba dlatego, że zapewne bawi pannę Emilę rozmową o związku dusz.

— Nieznośny pan jest! nadąsała się narzeczona, a Tunia rzekła:

— Wolskie rozpowiadają, że ma jakieś medyum, i po nocach urządza jakieś seanse!

— Widocznie Wolskie lepiej odemnie wiedzą, jak Markham spędza noce, bo ja o niczem podobnem nie wiem.

— Czego Wolskie nie wymyślą!—mruknęła radczyni.

— Nie wymyślą nigdy dobrego słowa!—rzucił niecierpliwie.

Zrwócił się do żony, dając znak dyskretny.

— Co? Chce mi ją pan zabrać! — zaprotestowała Tunia. Mam z nią mnóstwo do mówienia i zatrzymuję. Moglibyście bez ceremonii zostać na obiad. Nawet może Julek będzie.

— Nie mogę! Mam o piątej ważny interes. Zostawię ci powóz!—rzekł do żony.

— Ależ nie! Bardzo chętnie wrócę pieszo.

— Pożegnał tedy panie, Tunia przeprowadziła go do przedpokoju i zatrzymała.

— Wie pan, Wolskie gorsze rzeczy głoszą—zaczęła cicho. Powiadają, że Markham utrzymuje Burecką.

Zachnął się niecierpliwie.

— A jeśli tak jest, co im do tego!

— Im nie, ale nam bardzo! To musi być zerwane! Niech pan wpłynie na niego!

— Markhama nie trzeba uczyć, co wypada! Zresztą dalsze jego postępowanie zależy od żony i jej wpływu.

— No, no niech pan się w morały ze mną nie bawi, i ostrzeże po przyjacielsku Markhama, że wiem, jak jest, i wiem, czego wymagam! Emilka nie jest Kazia!

Pogroziła mu palcem i wróciła do salonu.

— Kaziu, chodźno na chwilę ze mną!—zawołała i wyprowadziła ją do sypialni,

— Wiesz—interesa twoje się poprawiają—szeptała poufnie. Pani Celina zdradza go z Maxem Unfriedem. Lada dzień będzie skandal.

Kazia ruszyła ramionami.

— Żebyś wiedziała, jak mi to obojętne!

— Bajesz! A ja się tak ucieszyłam, bo to Wolskie rozpowiadają, że Andrzej chce się już rozwodzić, że ty żebrzesz litości, żeś ostatnią jego służebnicą, że tobą pomiata! Bóg wie, co za nikczemności i kłamstwa. Kipiałam z oburzenia!

— Poco?—uśmiechnęła się apatycznie Kazia.

— Jakto poco?—oburzyła się Tunia. Ty jesteś ślimak, ostryga. Zlituj się, czy ty nie masz odrobiny ambicyi? Jakto! Nie odbić rodzonego męża starej awanturnicy, nie zmusić go, by się w tobie rozkochał, za tobą szalał, tobie służył, ciebie uwielbiał! Umarłabym z hańby i wstydu, żebym tego nie zrobiła.

— Poco mi to? Niecierpię go, był mi obojętny, stał się wstrętny. Będę najszczęśliwsza gdy o mnie zapomni. Chciałabym tylko dla

niego nie istnieć. Pozatem, niech sobie kocha, trzyma, zdradza, zdobywa, kogo sobie chce!

— Bój się Boga. Ty chyba kochasz innego?

— Kocham i on to wie!—wybuchnęła Kazia.

— W takim razie jesteście oboje potwory!— zawołała impetycznie Tunia.

Kazia milczała. Zmęczona była i znękana bezmiernie; czuła potrzebę zwierzenia, skargi, a rozumiała, że Tunia jej nie pojmie.

Powstała, przesunęła rękę po oczach, zapanowała nad sobą, zdobyła się na uśmiech.

— Potwory, zapewne! Raczej galernicy, skuci łańcuchem! Ano, może Wolskie raz wypadkiem powiedzą prawdę, o tym rozwodzie.

Tunia odetchnęła z wrażenia.

— To nie może być! Gdzieżbyś się tak prędko zakochać mogła! Brednie! Nikogo nie znasz. Chybaś nie oszalała za Radliczem!

— Nie, przysięgam! uśmiechnęła się.

— No, to w kim? Mów! Muszę wiedzieć! Nie puszczę cię, aż powiesz. Gdzie on jest?

— Gdzie? Bardzo daleko. Zresztą, pisałam kiedyś do ciebie, żem zaręczona. Zapomniałaś?

— Kiedyś, kiedyś! Prawda, pisałaś! No, ale potem on przepadł. Jakiś student! Aha! pamiętam! No—więc to—to! I tyle! Więc wrócił? Jest w Warszawie?

— Nie! Od dwóch lat nawet pisywać przestał do babki!

— I to w nim ty się kochasz! Cha, cha, cha! Wierzę, że nawet Andrzej ci na to pozwala!

Śmiała się, śmiała, aż na tę wesołość wpadły siostry, pytając, co się stało.

Szczęściem dla Kazi, ukazała się jednocześnie Leontyna z wielkiem pudłem:

— Proszę pani, przynieśli od krawcowej!

— Nareszcie! — krzyknęła Tunia. Pokaż, pokaż!

— Mamo, Emilko! Chodźcie! Mam nareszcie zielony kostium! Zaraz go zmierzę. Leontyno, rany Boskie, gdzie klucze? Daj nowy gorset!

Już zapomniała o zabawnej, pysznej anegdocie z romansem Kazi, nawet o niej samej.

Pewnie nie zauważyła, kiedy się z nią pożegnała, i o cudo nie przeprowadziła do przedpokoju, na dwa słówka!

Prezes spotkał Kazię na ulicy i wyznał szczerze:

— Wiesz, zatęskniłem za tobą i wyszedłem na poszukiwanie. Cóż, bardzoś zmęczona?

Taka szczera radość i serce patrzało na nią ze starych oczu teścia, że uśmiechnęła się do niego.

— Zmęczona nie, ale znudzona. Niech ojciec zgadnie, ile razy mnie zapytano, jak mi się podoba Warszawa?

— Ano, każdy i każda. No, a gdzież ci było najznośniej?

— U stryjostwa.

— Co! W tym instytucie moralnie zaniedbanych dzieci. Winszuję!

— Doprawdy! Stryjenka wesoła i dobra, stryj poważny i myślący, a dzieci nie wydały mi się gorzej rozpuszczone od naszej Zosi w Gurowie.

— To nie wielka pochwała. No proszę i Feliksowie mogą się komuś podobać i to jeszcze mojej Kazi. Tej sympatyi z tobą nie dzielę.

Ale uśmiechał się pomimo to do niej, więc zaczęła mu opowiadać wrażenia.

— Wolscy są straszni. Gdym tam weszła i poznała cały komplet, zdawało mi się, że jestem na jesieni w pasiece, kiedy każda pszczoła gotowa ciąć żądłem. Brr... jak ja się ich boję! Pani Markham wciągnęła mnie do towarzystwa Świętego Salezego. Mówiła mi, że i ojciec jest członkiem.

— Może być. Ciągle mi każą płacić, i wszędzie moje pieniądze są mile widziane.

Machnął ręką.

— Udają, że coś robią i chcą być w *Kurjerku* wydrukowane. Markhamowej nie można odmówić.

Wrócili do domu. Andrzej na obiad się nie ukazał, na wieczór prezes miał winta. Kazia została sama.

Odczytała tego dnia otrzymany list od ojca:

„Moja jedyna pociecho! Dzięki ci za dobre wieści. Wszystkie moje troski są niczem, wobec myśli, że tobie może być źle, a żadna pomyślność nie zastąpi mi spokojnej pewności, żeś szczęśliwa i z losu zadowolona. Takem się trwożył, czy nie przebolejesz rozstania z wsią i dotychczasowem zajęciem. No, dzięki Bogu, dobrze ci, nie zawiodłem się na Sanickich. Cóż ci donieść! Babcia Bogucka trochę niedomaga, byłem u niej onegdaj, dopytuje się o ciebie i tęskni. Nie wesołą ma starość, o Janku ani słychu, jeśli nie umarł, to źle o nim świadczy. Krótko mówiąc, przepadł!

U nas żniwa skończone, lokomobile już dymią przy stertach, świetna pogoda sprzyja. Brak mi ciebie na każdym kroku, ano co się stało, stać się musiało! Zdaje mi się, że wpadnę temi czasy do was, zobaczyć ciebie na własnem gospodarstwie i ucieszyć się twem szczęściem naocznie. Tymczasem całuję cię i błogosławię, dziecko kochane!“

Przeczytała, i opuściwszy ręce i papier na kolana, zadumała się, patrząc w próżnię.

A próżnia ta wypełniła się szerokiem morzem ściernisk złotych, gajów już żółknących

i przestrzenią bladego jesiennego błękitu. Powietrze pełne było zapachu świeżo ruszonej pługiem roli, i echa od dudnienia wozów i parskania koni, i piosenki, którą nucił Stacho Skowronek wracający „do dom.“ Szczęśliwy Stacho, mógł wrócić.

Porwała ją taka tęsknota, żal, ból fizyczny prawie, że się wzdrygnęła, przycisnęła ręce do piersi i zgryzła usta, by nie jęknąć.

Goryczy, wstrętu, nudy, pełna była po brzegi dusza.

— Nie wytrzymam!—szepnęła rozpacznie.

Wzrok jej padł na list, i po chwili poczęły na papier padać gorące łzy. Musiała wytrzymać.

V

Ocieska leżała na otomanie w swym saloniku obok pracowni i czytała.

Była to osoba ni młoda, ni stara, ni brzydka, ni ładna, wysoka, szczupła, ubrana niedbale, z twarzą zmiętą, bardzo charakterystyczną, do której przyrósł grymas sarkazmu.

W bluzie roboczej, jak odeszła od stalug, odpoczywała, czytając i dozorując zarazem spirytusowej maszynki do kawy.

Zachodzące słońce oświetlało salonik, a szczególnie padało całą masą purpury na portret Rozy Bonheur, zdobiący przeciwległą ścianę. Oprócz tego portretu wzdłuż innych ścian, wił się cykl obrazów, kopie średniowiecznego Tańca Śmierci. Zresztą umeblowanie pokoju stanowiły przeważnie książki. Pełno ich było po stołach, szafach, półkach, nawet na podłodze.

Przez uchylone drzwi widać było pracownię i jakąś podmalówkę na stalugach.

Syczenie kawy w maszynce oderwało uwagę Ocieskiej od książki. Zdmuchnęła płomień.

W tej chwili ktoś do drzwi zapukał i nie czekając pozwolenia, ukazał się w progu Radlicz.

— „Sąsiadko, witaj! Co mi świat!“ — zanucił wchodząc.

Ocieska coś zamruczała, nie przerywając czytania.

— Przyszedłem do kolegi, a raczej do jego biblioteki!—mówił niezrażony lub nawykły do jej humoru, rozglądając się po książkach. Czy dostanę na dni parę Szekspira?

— Mam, ale nie dam!—odparła lakonicznie.

— Bo?

— Bo dałam Zarębie kiedyś i musiałam potem wykupić na licytacyi jego gratów.

— Klnę się na prochy Giotta, że pierwszy mój termin wekslowy jest na Szymona i Judę męczenników, a Szekspira oddam pojutrze, t. j. piętnastego września. No? co? dostanę?

Ocieska żachnęła się niecierpliwie.

— Zawracanie głowy. Tak panu idzie o Szekspira, jak o wczorajszego *Kurjerka*. *Heraus*, po co pan przyszedł?

— Zaraz po co? Tak sobie. Śnił mi się dziś „Sen nocy letniej.“ Muszę go sobie przypomnieć.

— Śliczny sen. Że pan jest tkaczem Pyramem, wiadomo; któraż z nadobnych warszawianek była ostatnią Tytanią?

— Hm — mogę tu popełnić niedyskrecyę. Tytanią była pani!

— Przecie dobrana choć raz para: osioł z koczkodonem — odparła spokojnie Ocieska. Tak mi się to podoba, że pożyczę panu Szekspira. Tam, znajdzie go pan na półce.

Nalała sobie kawy, zapaliła papierosa i zagłębiła się napowrót w czytaniu.

Radlicz wziął książkę, zajrzał do pracowni.

— Już skończony portret pani Rudnickiej? Dlaczego niema na wystawie?

— Pan nie wie?—ruszyła ramionami. Dziwię się! Pan nawet zna tajemnice alkowy pani Rudnickiej; myślałam, że tem lepiej wie pan, gdzie umieszczono portret.

— Ależ kolega dziś zły!—zaśmiał się.

— Czy bywam kiedy dobra?

— Phi—dobra, nie—ale mniej zła.

— Względem pana? Wątpię, nie miałam przynajmniej nigdy tego zamiaru.

— Dziękuję.

— Niema za co. Mówię w oczy, co pan za oczy.

— Jakto?

— Takto! Z tą różnicą, że gdy pana nie widzę, nie wiem i nie pamiętam, że pan istnieje na świecie; a jak pan mnie nie widzi, to pan jednak mnie łaskawie wspomina, odsądzając od czci, wiary, talentu, co zresztą czyni pan z każdym i każdą.

— To fałsz. Trzeba nie być artystą, żeby nie uznawać pani talentu, a oryginalną wolno pani być na pani stanowisku.

— Doprawdy, wolno! — zaśmiała się ironicznie! A jakby nie było wolno, tobym nie była?

Zaśmiała się raz jeszcze z bezmierną pogardą.

Wstała, spojrzała na słońce, potem na zegarek.

— Co za pycha patrzy z pani!—zaśmiał się Radlicz.

— Myśli pan? Nie! Tylko pewność bezwzględnej wolności. Wolno mi być sobą, bo nie w ludzkiej mocy odjąć mi to, co posiadam, ani dać, czego pragnę.

— Śliczne zdanie, ale do bajki. Chciałbym panią widzieć bez sławy, bez talentu, bez pieniędzy i bez ludzi.

— Ludzie mi dali talent i sławę?

— Sławę mogą pani odjąć w każdej chwili!

Ruszyła ramionami.

— I owszem. Żeby wiedzieli, jak mi zbrzydły portrety i słuchanie bredni i komunałów przy pozowaniu! Będę malowała bardziej udane Boże twory, niż ludzie!

— Ale ludzie płacą.

— To niech nie płacą. Mam osobisty fundusz.

— *Invulnérable!*—zaśmiał się Radlicz.

Ocieska popatrzała drwiąco na niego.

— Tak. Nawet natura uczyniła mnie takim koczkodanem, że i czci mojej zbrudzić nie można, boby nieszczęsny, o romans ze mną posądzony, wyzwał potwarcę o obrazę męskiego honoru.

Spojrzała znowu na zegarek.

— Pani wychodzi?—spytał.

— Czekam na panią Sanicką.

Spojrzała na Radlicza, jakaś myśl przeszła jej błyskawicą przez głowę.

— Aha! Szekspir!—mruknęła.

Radlicz poczerwieniał, jak student.

— Co pani ma za posądzenia? Zkądże mogłem wiedzieć, że pani Sanicka tu będzie?

— Niemam żadnych posądzeń! Czekaj pan! Nie mój interes!

Wyszła do pracowni i wróciła po chwili, już przebrana, jak na wizytę. Radlicz siedział zamyślony.

— Pani drwi ze mnie, ale który z nas artystów nie zachwyciłby się panią Sanicką! Nie zdarzyło mi się spotkać w życiu tak uroczej twarzy, tak ślicznego w całości typu kobiecego.

— Taak! A Baumblattowa!

Radlicz skoczył, jakby mu kto nadeptał na odciski.

Baumblattowa była to podżyła piękność wschodnia, nieszczęsny, fatalny kaprys z przed kilku lat, wstyd i śmieszność całej jego karyery miłosnej. Spojrzał wściekły na drwiącą twarz Ocieskiej.

— Żebym wiedział, kto mi tę babę przylepił!

— Tak, to była nieudana fantazya. Chyba jako studyum de Walpurgisnacht.

— Ależ to fałsz, u licha!

— No, no, szanowny artysto, nie mnie okłamujcie, bom was widziała pewnego majowego wieczoru w Łazienkach. Wysiedliście z powozu za mostem nad stawem i...

— A cóż pani robiła po nocy w Łazienkach?

— Hm, może byłam z kochankiem. W każdym razie nie profanowałam cudnej nocy księżycowej i słowiczych pieśni gruchaniem z takim poronionym Bożym tworem, jak Baumblattowa.

— Pani jesteś oprawcą! — zaśmiał się Radlicz, widząc, że się przed nią nie wykłamie.

W tej chwili zapukano do drzwi i weszła Kazia. Zeszczuplała i zbielała przez te parę miesięcy miejskiego życia, zdyszana była i zawołała od progu:

— Spóźniłam się, myślałam, że wcale się nie uwolnię. Wie pani, Kostyński umiera!

Spostrzegła Radlicza, zawahała się chwilę, podała mu rękę.

— Mówiono mi, żeś pan wyjechał.

— Zapewne Wolskie. Co prawda, od trzech dni nie wychodzę na miasto; pracuję.

— Nie, Wolskie zajęte są teraz doktorem Downarem! Boże, com się naśmiała! One jutro coś wymyślą na mego teścia!

— Cóż wymyśliły na Downara? — spytała Ocieska.

— Ano, zawsze jedno. Downar ma romans!

Ocieska ruszyła ramionami.

— Słyszałem już o tem — zaśmiał się Radlicz.—Downar ma mieć kawalerskie mieszkanie, gdzie odprawia orgie. Panie w to nie wierzą, ja owszem! Żebym miał taką Downarową za żonę, miałbym nie jedno, ale trzy kawalerskie mieszkania, i do domu wcale bym nie zaglądał.

— A ja, co Downara dobrze znam—odparła Ocieska—to ręczę, że gdyby go pod szubie-

nicę prowadzili, a najcudniejsza z kobiet mu rzekła: weź mnie, a nie będziesz wisiał, toby katowi pomagał stryczek zakładać, byle prędzej skończyć.

— Ja zaś nie rozumiem, w czem Downarowa jest gorsza od innych—rzekła Kazia.— Skrzętna, radna, porządna kobieta. Widuję ich często, a nigdy nie byłam świadkiem żadnej przykrej sceny.

— Do sceny potrzebny dyalog. Więc gdy ona piłuje i miota się, a Downar milczy, niema pełnego efektu! Wypije pani kawy?—rzekła Ocieska.

— Wypiję. Mamy jeszcze czas.

— Panie idą w aleje?

— Tak. Wtorek u pani Ramszycowej.

Odpowiedziała, nie patrząc na niego, chociaż czuła że oczu z niej nie spuszcza. Zdjęła kapelusz i rękawiczki i odebrała z rąk Ocieskiej filiżankę.

— Sama sobie usłużę! — uśmiechnęła się Uważa pani, jak się zasługuję, bo mam prośbę.

— Co, znowu dobroczynna karota pani Markham?

— Broń Boże. Myślę o małej Kostyńskiej!

— Mam ją adoptować!

— I owszem, jeśli tego będzie warta! Tymczasem sprobować, czy warto ją kształcić na artystkę.

— Żeby popełniała w przyszłości takie kryminały, jak malowane ekrany, patery, poduszki i t. p. ohydy, które ją doprowadzą do głodowej śmierci, a ludzkość do kompletnego zaniku poczucia artyzmu! Winszuję! Ja mam do tego pomagać!

Kazia zaśmiała się serdecznie.

— No nie! Zapobiedz raczej, jeśli niema talentu. Kostyński wszystkie troje dzieci mi oddał pod opiekę; biedak umiera spokojny o ich los.

— Wierzę. Żeby był umarł, zanim się ożenił, jeszcze lepiejby zrobił!—mruknęła Ocieska.

— Kto jest Kostyński?—spytał Radlicz.

— Biedny grajek z orkiestry, wdowiec, suchotnik. Lokator z naszego domu!

— I w myśl zasady: nic w naturze nie ginie, autor trojga młodocianych suchotników—dopowiedziała Ocieska.

Kazia uderzyła ją rękawiczką po ręku.

— Nie szydzić z ludzkiej nędzy! Zresztą dzieci zdrowo wyglądają. Starszego chłopca umieściłam w szkole handlowej, drugi ma zajęcie w redakcji. Dziewczynką pani się zajmie. Jeśli ma talent, tu zostanie, w przeciwnym razie mam dla niej lokatę w Galicji.

— Niech mi ją pani przyśle jutro!—z westchnieniem zwalczonego egoizmu i lenistwa rzekła Ocieska.

— Dziękuję. Pani pozuje na nieużytą, ale już się na tem poznałam! — uśmiechnęła się Kazia.

Piła kawę, spiesząc się. Widocznie denerwował ją uporczywy wzrok Radlicza.

— Pani już nie bywa konno w Alejach? — rzekł.

— Owszem, codzień, tylko zmieniłam godzinę, żeby nie spotykać znajomych.

Było to dobitne. Dla złagodzenia, dodała:

— Słyszał już pan Cafieri?

— Tak! W „Cavalerii“ i jestem zachwycony.

— My mamy być pojutrze na „Carmenie“.

— Bardzo nowa, świeżutka opera! — zaśmiała się Ocieska.

— Dla mnie będzie nowa. Byłam w życiu trzy razy na operze.

— Nie może być?

— A najwyżej dziesięć razy w teatrze.

— Żartuje pani?

— Nie. Doprawdy. Nie miałam kiedy używać tej rozrywki. Jestem przecie dzika wieśniaczka.

— A teraz? Woli pani wieczory w domowym kółku?

— Tak! Wolę samotność i ciszę, niż gwar i tłum. Nie nudzę się nigdy sama ze sobą, a często z ludźmi nawet bardzo zabawnymi!

To było znowu dobitne i cięte, i znowu dla złagodzenia dodała:

— Zresztą mało mam wolnych wieczorów. Wtorki u pani Ramszycowej, czwartki u Markhamów, niedzielę u Dąbskich, w sobotę sami przyjmujemy. Dodać do tego różne sesje teścia i fabrykę męża na teatr już niema czasu. No, już idę, zakończyła wstając i naciągając rękawiczki.

Radlicz powstał także i pożegnał panie.

Zaraz za nim one wyszły. Przed bramą czekał powóz.

— Phi, taka parada!—rzekła Ocieska.

— *Idée fixe* mego teścia — odparła Kazia. Przyśniło mu się, że mnie tramwaj przejechał i nie pozwala wieczorem iść pieszo. Co prawda, i ja się boje ulicy. To dziwne, u siebie na wsi nie wiedziałam, co strach. Bywałam wśród piorunów w polu, na cmentarzach w noc ciemną, błądziłam w zadymkę, unosiły mnie konie, gonił rozszalały byk, nigdy nie doświadczałam tej zgrozy i lęku, jak tu, gdy mi parę razy się trafiło wracać późnym wieczorem wśród ludzi.

— Ba! W tem właśnie różnica. Tam się ma do czynienia z Bogiem i ze zwierzem, tu z ludźmi. Tamto może zabić, zniszczyć, to czasem też zabija, ale rzadko, a zawsze zbrudzi. Co Radlicz pani zawinił?—spytała nagle.

— Właściwie nic! Jest, jak wszyscy, tylko cyniczniejszy bardziej!—odparła z niesmakiem. Byłam z nim szczera i swobodna: źle to pojął,

posunął się zadaleko, musiałam go z błędu wyprowadzić, no i zemścił się obmową!

Ocieska potrząsnęła głową.

— Obmówił panią—ha, może być, ale wątpię.

— Chyba zły jego język jest dość sławny.

— Tak. Ten dla konceptu wszystko sprzeda.

— Zresztą, co tu jest innego, jak obmowa— wybuchnęła Kazia. Dlaczego ludzie się znają, odwiedzają, bywają w teatrze, na koncertach, wydają rauty, nawet uprawiają dobroczynność, sport, nabożeństwo, tylko, żeby się obmawiać, żeby wynaleść nowinkę, żart, plotkę i tylko mieć pastwę dla obmowy. Wie pani, od paru miesięcy, gdy tu jestem, nie słyszałam jeszcze jednego dobrego słowa, pochwały lub uznania. Jeśli nie kryminał, to skandal, jeśli nie skandal, to brudne podejrzenie i insynuacya podła, zresztą drwina i śmieszność. Kogo nie można stawić pod pręgierz, tego chociażby oplwać lub wyszydzić! Obmawiają mężczyzni, zda się poważni i zapracowani, obmawiają matrony, kwestujące w kościele, obmawiają młode panny i kawalerowie, dzieci obmawiają w Saskim ogrodzie. To jest reguła bez wyjątków!

— Owszem. Tam, gdzie jedziemy, nikt nikogo nie obmawia.

— Tak—tylko tam!—odetchnęła Kazia. Zresztą, słuchając tych ludzi, którzy się uśmiechają, ściskają i całują, myśli się, już nie z obu-

rzeniem, ale ze zgrozą, czy ci ludzie mają jeszcze sumienie, i gdzie ich wstyd i etyka.

— A co jest najstraszniejsze, że kto tam wpadnie, i żyć wśród nich musi, zrazu się przerazi, potem się oburzy, potem zobojętnieje, potem się zarazi, i wreszcie staje się, jak wszyscy. Jedni przez bierne nasłuchanie, inni ze strachu, inni przez zemstę. Oplwani plują także.

Kazia potrząsnęła głową, spojrzała prosto, jasno w oczy Ocieskiej.

— Ja nigdy, bo coraz mi to wstrętniejsze, coraz dalej się od nich odsuwam, coraz więcej mam niechętnych. Zostanę wreszcie sama, ale plwać przy sobie nie pozwolę i sama plwać nie będę.

— Ale oplwaną pani będzie.

— Już jestem i będzie jeszcze gorzej. Kobiety jedne nie mogą mi darować, żem zrobiła świetną partję! Świetną!—powtórzyła ironicznie, drugie, że bronię obmawianych i prostuję fakta. Mężczyzni, znając moje domowe stosunki, pewni, że nikt się za mnie nie ujmie, pozwalają sobie tymczasem pochlebiać i zaczepiać, potem będą się mścić za porażkę. Przygotowanam na wszystko, nawet na utratę opinji, na śmieszność, na wszelkie oszczerstwa. Ale wśród tych ludzi mnie nie pomieszczą, ani ta zaraza mnie nie ogarnie! Obcą tu byłam i obcą zostanę.

— Amen!—rzekła Ocieska, podając jej rękę. Samą pani nie zostanie. Bywa nas przecie pięcioro tutaj!

Powóz stanął. Wysiadły, i Kazia rzekła do stangreta:

— Jedźcie, Walenty, po pana na Wiedeński. Jeśliby zatrzymał was, to wrócę dorożką, jeśli nie, bądźcie tu o dziesiątej.

— Mąż pani wraca co wieczór? — spytała Ocieska.

— Prawie codzień! Dziś będzie niezawodnie, bo jutro ślub Markhama.

— Tak prędko!

Weszły do przedpokoju, potem do małego saloniku, gdzie już zastały resztę towarzystwa.

Ramszycowa, zawsze czynna, robiła koronkę. Dwóch mężczyzn: doktór Downar i młody podróżnik i botanik Sokolski rozmawiali o biegunie południowym, przy bocznym stoliku mała Lili pod opieką angielki przeglądała ilustracje.

Na widok wchodzących, dziewczynka zerwała się z radosnym okrzykiem i poskoczyła do Ocieskiej. Ta ją podniosła z ziemi, ucałowała, i trzymając na rękach powitała resztę towarzystwa, podczas gdy Lili świergotała, despotycznie ją skubiąc za ramię.

— No, i co się stało dalej z tym żukiem? Skończysz, chodź do nas—o tam—do tego stolika. Miss niech sobie idzie. Ty będziesz ze mną.

— Lili! wynoś się, lub siedź cicho!—zawołała Ramszycowa.

Lili umilkła, położyła paluszek na ustach, uśmiechnęły się do siebie z porozumieniem i usiadły opodal pod lampą, u stołu z rysunkami. Angielka podała Ocieskiej zeszyt, gdzie były jej ilustracje do historji o awanturniczym żuku. Lili usadowiła się wygodnie na jej kolanach, wlepiła oczy w ołówek i słuchała cudnej bajki.

Ramszycowa spojrzała w tę stronę, i rzekła do Kazi z uśmiechem:

— Idź! powiedz jej, że lubi dzieci, to się obrazi, jak o największy afront.

Doktor Downar zbliżył się do Ocieskiej i spytał:

— Nie miała pani listu od Kazimierza?

— Owszem, wczoraj.

— Cóż u nas słychać?—pytał, zniżając głos.

— Bahnicki wisi na włosku. Marszałkowa umarła. Dowojna się żeni. U pana Florjana dzieci chore na szkarlatynę.

— „Przezto" i nie pisze!—mruknął Downar, który, gdy się nie pilnował, zawsze popełniał prowincjonalizmy. Bahnickiemu pan Kazimierz zginąć nieda. Niechajże i do mnie napisze, ile trzeba, ale do pani adresując. A kogo bierze Dowojna?

— Suliską.

— To i dobrze. Marszałkowej szkoda, i zły i dobry na nią się oglądał i rachował!

— No—i co żuk zrobił, jak go wróbel złapał?—dopominała się Lili.

Downar powrócił na swe poprzednie miejsce.

— Opowiadają, że profesor cudu dokonał operując Rudnickiego!—rzekła Kazia.

— Ot, gadanie!—odparł Downar. Będzie cud, jak wyżyje.

— A co mu jest?—spytała Ramszycowa.

— Wczoraj się pojedynkował i dostał postrzał w bok.

— Rudnicki, mąż tej pięknej pani Rudnickiej?!—zawołała Ocieska. Onegdaj była u mnie!—Malowałam jej portret. Z kim się pojedynkował?

— Z jakimś Ossorją, kolegą z biura u Goldmarka.

— A naprawdę, jeśli umrze, zabójcą będzie społeczeństwo!—rzuciła gorąco Kazia.

Downar potakująco skinął głową.

— Rudnicki pracą i zdolnością wybił się nad tłum, z niskiego urzędnika został szefem biura Goldmarka, jego prawą ręką. Nikt mu nic zarzucić nie może, ale przecie nie wolno uznać cnoty i zasługi, pochwalić, zostawić chociażby w spokoju. Ponieważ jego opinii nie sposób było zbrudzić, zbrudzono opinię jego żony, bo przecie niema i być nie może kobiety uczciwej, a już piękna kobieta musi być bez czci.

— A to jest łgarstwo! — rzekł Downar, bo Rudniccy się kochają i jaknajlepiej żyją!

— Ale to nie przeszkadza, że dla Warszawy Rudnicka ma romans z Goldmarkiem, a mąż temu zawdzięcza karyerę.

— Z Goldmarkiem! — uśmiechnął się Downar. Toć on ma tabes i ledwie żyje. Ech! I ręką machnął pogardliwie.

— Ossorya to paniczyk, którego przez protekcyę wpakowano do biura. Nic nie chciał robić, wreszcie prawie nie przychodził, tylko po pensyę. Rudnicki dał mu dymisyę, ten mu odpowiedział obelgą na żonę, i teraz go może zabił dla dokończenia honorowego rachunku!

— A choćby żył, co lepszego!—ruszyła ramionami Ramszycowa, i sięgnęła po notatnik na biurku. Gdzie oni mieszkają?—spytała.

Kazia powiedziała adres.

— On leży u mnie w klinice. Tam niech pani przyjdzie!—dodał Downar.

— Zkąd pan wie, że mam być?

— Bo to do pani podobne.

Sokolski, milczący dotąd, odezwał się.

— Jak to dobrze, że nie mam żony ni przyjaciół.

— Dlaczego? że pana ludzie nie obmówią!— zaśmiała się Ocieska. Za pozwoleniem, cała Warszawa wie, że pan wcale ani w Kongo, ani pod biegunem nie był, tylko trzy lata sie-

dział w Wiedniu, wertował podróżnicze księgi i tam czerpał materyał do swych opisów i odczytów!

Sokólski otworzył szeroko oczy.

— Ja? W Wiedniu?—wyjąkał zdumiony.

Wszyscy parsknęli śmiechem z jego miny, i Ramszycowa dodała:

— Dość o ludziach. Lili—marsz spać!

Doktór spogląda żałośnie na fortepian.

Zaśpiewa nam pani Sanicka, potem ja zagram, żebyśmy zgrzytu zapomnieli.

Lili spojrzała żałośnie na rysunki, ale usłuchała bez protestu. Zniknęły z angielką.

Kazia, nie dając się prosić, usiadła przy fortepianie, zaśpiewała parę pieśni Moniuszki. Głos miała czysty i silny, mało uczony, ale słuchacze nie myśleli o krytyce, cieszyli się melodyą w milczącem skupieniu.

Gdy skończyła, Ramszycowa podziękowała jej uśmiechem. Downar tak był zamyślony, że nawet się nie poruszył, Ocieska rzuciła mrucząc: „Tam byłby raj, tam byłby raj, żebyś ty ze mną była.“ Sokolski miał minę wniebowziętą!

W tej chwili, gdy Kazia jeszcze przegrywała melodyę, lokaj otworzył drzwi i zaanonsował:

— Pan Andrzej Sanicki!

Ramszycowa podniosła głowę zdziwiona: Proś! rzuciła, wstając.

Fortepian umilkł w pół akordu.

Andrzej wszedł, powitał wszystkich i rzekł do żony:

— Przyjechałem po ciebie.

— Ojciec zachorował?—spytała, blednąc.

— Zdrów. Nic strasznego, głupia historya! Skrzywił się. Chwilę rozmawiał potocznie, wreszcie wstał i rzekł do Ramszycowej:

— Pani daruje, żem tak wpadł i żonę porywam. Cudzy kłopot, gorzej czasem własnego!

— Zapewne dlatego, że pan pierwszy raz w życiu tego doświadcza!—rzekła złośliwie.

— I oby ostatni!—odparł.

Zaledwie wsiedli do powozu—rzekł:

— Małżeństwo Markhama zerwane!

— Taak?—mało ją to obeszło. Spodziewałam się.

— Zkąd? To ta przeklęta Dąbska naplotkowała. Teraz co robić? Markham siedzi u nas i desperuje. Ojciec mnie po ciebie posłał. Co tu na to poradzić?

Pierwszy raz zwracał się do niej po radę. Ruszyła ramionami.

— Ja się wogóle dziwię, jak w tym steku plotek może się bodaj jedno małżeństwo skojarzyć.

— Czego te baby chcą od Markhama? Chłopak porządny, bogaty, solidny. Dwa karnawały odtańczył, dwa sezony odrautował. Zasypana była kwiatami i cukrami, służył, jak murzyn, dziesięć tysięcy rubli wpakował w konkury i urządzenie domu, a w przeddzień ślubu stara pisze, że dziecka niema na sprzedaż, że wobec uwłaczających wieści musi zobowiązanie uważać za zerwane i odsyła pierścionek. Trzeba być starą histeryczką, żeby podobną rzecz zmalować. A ten osioł Markham, zamiast plunąć i losowi podziękować, desperuje, jak student. Jak się zaręczał, nie był zajęty, raptem zakochał się, idyota.

— Ale z tą aktorką nie zerwał! — rzekła Kazia spokojnie.

— Zapewne zerwał, a zresztą co im do tego? Panna nie powinna o tem wiedzieć, ani nawet rozumieć. Jeśli o to się małżeństwo rozejdzie, nie on, lecz ona się skompromituje.

— A jeśli ona go kocha i będzie wolała tę kompromitacyę, jak taki podział uczucia i upokorzenie!

— Ech, zawracanie głowy tą miłością! Ona chce wyjść za mąż, zrobić partyę...

— A on chce dostać pięćdziesiąt tysięcy na fabrykę. Dla takiej sumy można choć na czas jaki nie mieć aktorki na utrzymaniu. Nie

żenować się wolno tylko żony bez posagu! Tysiące chcą względów i stawiają warunki.

Spojrzał na nią.

— Dowodzenie kobiece kończy się zawsze ukrytem: ja!

— Nie moje. Dziękuję Bogu, że pan dla mnie niema względów. Jak się nie kocha, to szczęście. Wracając do Markhama, służę pośrednictwem; pojadę do Dąbskich i zbadam kwestyę.

Powóz stanął. Prezes spotkał ich w przedpokoju i odechnął:

— To ci chryja dopiero. Markham siedzi nad listem i pierścionkiem i ma minę samobójcy.

Kazia weszła do salonu. „Samobójca“ zerwał się na jej widok i podał w milczeniu list. Przeczytała, pokręciła głową, i—rzekła:

— Bardzo panu chodzi o pojednanie?

— No jakże!—wybuchnął. Ślub zamówiony, ogłoszenia rozesłane, goście się zejdą. Pół Warszawy będzie. Trzeba nie mieć sumienia, żeby kogoś na taką śmieszność narazić!

— Aha! uśmiechnęła się ironicznie. I piramidy obstalowane! No, wobec tego, jadę do Dąbskich.

— Wiesz co, jedź i ty z nią!—rzekł prezes do Markhama, rad się pozbyć „samobójcy“

z domu. Zaczekasz w karecie. Jeśli jej się misya uda, to cię zawoła, a nie, no to...

— *Va te pendre ailleurs!* — szepnęła mu w ucho złośliwie Kazia. Ucałowała starego i wyszła.

Gdy zostali sami z synem, prezes rzekł:

— Ona te baby przyprowadzi do opamiętania. Co? Może myśmy nie lepiej się urządzili? Cicho, prędko, spokojnie. I szczere złoto dostaliśmy.

Andrzej milczał.

— Maluczko, a będą nam zazdrościć. Kobiecina z każdym dniem pięknieje, nabiera szyku i taktu.

— I złego języka!—mruknął Andrzej.

— To dobrze. Nieda się! Bałem się, że będzie za pokorna i nieśmiała.

— Niema obawy. Kąsać potrafi.

— To dobrze! Niech jej nie zaczepiają.

— I owszem! Ale i mnie może zbraknąć cierpliwości słuchania impertynencyi!

— Tobie! A to ci tylko wstyd, że nie masz nic lepszego. Nie znajdziesz takiego, coby tobie współczuł!

— Ja też współczucia nie pragnę, ale spokoju.

— Spokoju ci jeszcze brakuje! Pokaż mi dom w Warszawie, gdzieby był taki ład i spokój, jak u nas!

Andrzej coś zamruczał i wyszedł do swego gabinetu. Wrócił po chwili i począł odczytywać całodzienną korespondencyę. Prezes wziął się do gazet, ale co chwila na zegar spoglądał.

Nareszcie o dziesiątej rozległ się dzwonek.

— No i cóż! zawołał niecierpliwie.

— Piramidy się nie zmarnują, gapie mogą iść do Wizytek! Co to — panowie jeszcze nie pili herbaty! Józefie, dlaczegoście nie podali?

— Ja kazałem czekać na ciebie, córuś! Opowiadaj, jak się to odbyło. Coś tak zdyszana?

— Biegłam tak, żeby się schronić od plotek i gawęd! Brr. Tom użyła! Wpadłam, jak między podkurzone osy.

Weszła do jadalni i krzątając się około herbaty, opowiadała:

— Więc—niechno przypomnę, bo tyle tego! Więc *mówią*, że Dąbska nazwała Markhamów żydami; *mówią*, że Markhamowa powiedziała, że łaskę robią, przyjmując jakąś tam pannę Zaleską do rodziny; *mówią*, że Markham powiedział, że się żeni, bo go złapano; *mówią*, że stara Zaleska miała romans z ogrodnikiem; *mówią*, że posag pójdzie na długi kawalerskie Markhama; *mówią*, że Emilka ma gors fałszywy—za to ostatnie najtrudniej mi ją było przebłagać i wyperswadować! Ale *kto mówi*,

kto słyszał od samej Markhamowej, od Markhama, tego naturalnie niema.

— A to coś mnie wspominała, że mówią?— spytał Andrzej, o tem pewnie nie było wzmianki.

— Owszem, ale to pozostało do załatwienia samym interesowanym. Emilka płacze, Markham przysięga, tak ich zostawiłam. Reszta rodziny wyczerpana gadaniem, spoczęła na laurach!

Usiadła na swem miejscu, naprzeciw Andrzeja, spojrzała na niego, zawahała się chwilę i wreszcie rzekła.

— Wracałam z bezmierną przyjemnością do domu. Wdzięczna, że nie byłam oszukana tu, ani okłamana. Jak się tamto widzi i słyszy, ma się cześć dla prawdy, jakaby ona była!

Andrzej poczerwieniał. Doczekał się przecie komplimentu, pomyślał prezes, ale go łyka z niesmakiem.

— No, córuś!—rzekł głośno. Szykuj się tedy na ślub i wesele, któreś doprowadziła do skutku.

— Ale, prawda, mają być tańce!—zawołała. Trzeba będzie trzy razy zmieniać tualety, a że Tuni jeszcze dwie nie gotowe, popłoch tam straszny.

— Wyobrażam sobie! — zaśmiał się Andrzej.—Ręczę, że Dąbski drapnął aż pod Radom!

— A twoje suknie gotowe?—spytał prezes.

— Już od tygodnia.

— A rachunek? Kazałaś mi przysłać?

— Już zapłaciłam. Miałam oszczędności!

— Osobliwość. Za biletami będę cię pokazywać. Miewasz oszczędności, płacisz sama krawcową! Ale, ale, co mi dziś gadał rządca. Rewolucyę robisz w kamienicy. Kazałaś zdjąć kartę na mieszkanie Kostyńskiego, osiedliłaś tam jakąś jejmość nad dziećmi.

— Już i rządca robi plotki. Kostyński jeszcze żyje, za mieszkanie zapłacił, dla dzieci sprowadził opiekunkę. Ja w tem nie figuruję.

— No, no! Już ja wiem, że jak się słuch o tem rozejdzie, na przyszły kwartał wszystkie sutereny, strychy i oficyny spadną na twą głowę i kieszeń! Zobaczymy prędko dno tych oszczędności!

— Tatuś myśli, że ja nie wiem, kto zajmuje sutereny i strychy! O doskonale wszystkich znam, lepiej, jak rządca, stróż i cyrkuł. Wiem, kto może płacić, a kto nie.

— Zkąd ty bierzesz czas na to wszystko!

— Ja? A cóż ja właściwie robię? Nawet już na swój chleb przestałam zarabiać, jak w Gurowie. Bawię się—jutro wesele, pojutrze opera, w sobotę raut.

— Ładne masz suknie?

— Może tatuś chce obejrzeć? ale bilety płatne.

— Grubo?

— Słowo tatusia do rządcy, żeby nie sprzedawano maszyny tej szwaczce. Po pierwszym zapłaci.

— Hm! po pierwszym, jak ty weźmiesz trzysta rubli. Rozumiem! No, pokaż suknie.

Położył rękę na jej włosach i pocałował w czoło.

W tem Andrzej się odezwał.

— Wiele trzeba tej szwaczce?

— Siedemnaście rubli.

— To ja je płacę!

— Chcesz także stroje obejrzeć? — zaśmiał się prezes.

— No pewnie. Będziemy przecie razem występować. Jeśli są brzydkie i nie gustowne!

Toś się zapóźno obejrzał. Trzeba było być przy obstalunku—rzekł ojciec.

— Trudno zrobić coś, o czem się nie wie.

— Trudno też wiedzieć, o czem się nie myśli! — mruknął prezes, idąc za Kazią na schody.

Otworzyła szafę i dobyła stroje. Obejrzeli, i prezes rzekł:

— Za skromne. Widać, że z oszczędności kuchennych.

— Ujdą — zdecydował Andrzej, ale odtąd masz otwarty kredyt u Hersego. Nie chcę więcej tandety podszewkowej.

Nic nie odrzekła. Złożyła napowrót suknie.

— No, a teraz, cóż ja mam płacić?—spytał prezes wesoło. On mnie wyręczył.

— To bardzo źle, bo ja miałam inny zamiar.

— Co takiego?

— Mam biedaka bez zajęcia. Ślepy na jedno oko, był dwa miesiące w szpitalu. Możeby znalazł zajęcie w fabryce.

— Z żoną i sześciorgiem małych dzieci!

— Nie—tylko troje!

— Tylko!—uśmiechnął się. Niech się zgłosi—wezmę go!

Spojrzała na niego poczciwie, wdzięcznie, i zrobiło mu to przyjemność.

— Tak, ale to wszystko ja, a ojciec co?—zagadnął.

— Czekam. Ojciec doda stróżowi dwa ruble miesięcznie, bo mu się onegdaj urodziło siódme dziecko!

— Cóż ja temu jestem winien!—oburzył się komicznie prezes. No, stało się, dam, ale mu zapowiedz, że za ósme i t. d., będę zmniejszał po rublu. No, i patrzcie, jak ta kobieta umie robić interesa. Z jednej maszyny naciągnęła trzy! Zmykam!

Pocałował ją serdecznie i wyszedł.

Andrzej chwilę pozostał, wreszcie rzekł krótkie „dobranoc“, i Kazia została sama.

Włożyła napowrót stroje do szafy, popatrzyła na nie z niesmakiem, zamyśliła się, wydobyła z głębi tekturowe spore pudełko, postawiła na stole i obejrzawszy się, że drzwi zamknięte, otworzyła. Uderzył ją zapach ziół suchych, zapach skoszonych łąk, zżętych zbóż. W pudełku był olbrzymi pęk kłosów i polnych kwiatów, a na tej pościeli leżał złożony starannie jej roboczy strój gurowski, błękitna płócienna bluza, skórzany pasek, prosty słomiany kapelusz. Popatrzała długą chwilę na „stroje“, potem przyłożyła twarz do kwiatów, wciągając chciwie w nozdrza ich zapach, i tak pozostała myślą bardzo daleko i od wesela Markhama i od kredytu u Hersego i nawet od swych dobroczynnych zajęć...

15

VI

Pewnego dnia, w późnej jesieni, Andrzej wracał o zmroku z Grodziska, gdzie w fabryce spędził cały tydzień. Może widok młodej pary małżonków nastroił go sentymentalnie, ale wracał, marząc o pani Celinie, i wprost z dworca do niej zajechał.

Zastał ją w buduarze samą; nie wstała z fotelu, leniwie podała mu rękę.

— Cóż to—niełaska?—spytał z uśmiechem.

— Chociażby, nie udawaj, że cię to obchodzi!—odparła, cofając rękę od pocałunków.

— O widzę, że moja pani się dąsa. Za co? Com zawinił?

— Nic—nudzę się. Wyjeżdżam do słońca. Humor mam, jak to niebo tutejsze. Pocom tak długo siedziała, nie rozumiem. Nie było dla kogo, ani dla czego.

Spojrzał na nią urażony, zmrożony tem przyjęciem, tak różnem od spodziewanego. Czuł, że będzie „scena“, której nienawidził.

— Czy się coś w twem życiu zmieniło? — spytał z wymówką.

— Pytasz? A cóż z dawnego pozostało?

— No! Chociażby ja!—odparł, starając się nadać rozmowie ton żartobliwy. Czy ja już nie wystarczam?

— Ty—alboż ty jesteś dla mnie! *Non, mon cher!* Straciłam cię od lata. No i nic dziwnego: młoda żona, obowiązki światowe i rodzinne względy, zresztą—*le foyer, l'alcôve conjugale*, to absorbuje. Mężczyzni stworzeni są na pasterzy i hodowców gęsi. Gdy jedną posiędą na własność, marzą o stadku.

Andrzej brwi zmarszczył.

— Może być — nie wiem! Gęsi nie mam, i nie pasę—odparł.

— *Tiens!* Już się obrażasz za żonę. Już mi jej tknąć nie wolno!—zaśmiała się szyderczo.

— Nie wiem, dlaczego o niej mówić mamy. Jest to przedmiot dla obojga nas niemiły.

— A o czemże mówić? Wszystko na tem się skończy. Od lata stosunek nasz zeszedł na nic. Nie bywamy razem w teatrze, nie wychodzimy, nie pokazujemy się ze sobą, rzadko kiedy widuję cię w piątki. Nie wypada, nie

wypada! Musiałam tamtej ustąpić we wszystkiem, wszędzie.

— Tylko nie w mojem sercu!

— Phi!—mała pociecha, gdy duma cierpi.

— Zapominasz, żem ci wielokrotnie ofiarowywał swe nazwisko. Nie chciałaś być żoną.

— Nie. Zanadto wielbię i znam miłość — *pour prendre mari.* Zresztą zanadto ciebie wtedy kochałam. Wzdrygałam się na samą myśl, by nasze uczucie miało za akompanjament kuchnię, jadalnię, komeraże kumoszek i sypialnię uświęconą kościelnem kadzidłem. Nie, nie, tej profanacji swemu bóstwu nie uczynię.

On w tej tyradzie zauważył jedno tylko zdanie, i powtórzył:

— Wtedy mnie kochałaś! Mówisz, jak o przeszłości.

— *Mon Dieu,* tak się wyraziłam. Łapiesz za słowa, jak na śledztwie. Zresztą, uderz się w piersi, czyś ty mnie także nie kochał bardziej, jak teraz. Pięć lat, to bajecznie długi okres dla miłości.

— Moja pozostała bez zmiany.

Cień, jakby niesmaku i zniecierpliwienia przemknął po twarzy kobiety.

— Zdaje ci się. Ja widzę ogromną różnicę i czuję, że coraz bardziej staję się przeszłością. *Enfin,* trzeba umieć umrzeć z godnością, ustąpić nowej gwieździe.

— Celo—dlaczego to mówisz, nie wierzysz, nie możesz wierzyć. Chyba — zająknął się — chyba sama przestałaś kochać!

— Nie—odparła, ale obserwuję, słyszę, widzę. Widziałam cię z tą w teatrze. Jakżeś był uprzejmy, nadskakujący, uśmiechnięty! Na mnie nie raczyłeś spojrzeć; kompromitacją jestem. Widziałam was oboje wchodzących do Hersego, wiem, żeś jej tam otworzył kredyt nieograniczony, czuję, że dla niej opuszczasz piątki, dla dla niej wracasz wcześnie do domu. Spojrzałeś na mnie, jak na warjatkę, gdym ci kiedyś żartem, na próbę, zaproponowała małą wycieczkę, parę tygodni, sam na sam, na południe. Wszystko wiem, czuję; muszę ustąpić, ale wiem i to, że będziesz bardzo ukarany.

Roześmiała się nerwowo.

— Twoja gęś ciebie zdradzi, może już zdradziła. Ja będę przez nią nieszczęśliwa, ale ty będziesz przez nią pośmiewiskiem.

Krew uderzyła do twarzy Andrzeja—powstał.

— Przestań, proszę, Na mnie wolno ci mówić wszystko, ale nie tykaj czci mojej żony.

— Twojej żony!—zaśmiała się. Co za majestat! Żona! Jacy wy jesteście z jednej strony przejęci swą potęgą, a z drugiej głupi! Co jest żona! Według was to glina, którą kupujecie na targu, urabiacie wedle swej woli, dajecie jej swoją myśl i duszę, aby się stała waszą rze-

czą, echem, częścią domu! Przysięgła, a zatem dotrzyma, to nie ulega wątpliwości, jesteście tego tak pewni, i tak pewni, że sobą, swem nazwiskiem i stanowiskiem czynicie jej taki honor i zaszczyt, taka rozkosz jest być waszą gospodynią i niewolnicą, że nawet nie spytacie, czy *ona* myśli, czy *ona* czuje, czy *jej* wystarcza to szczęście. Uraczywszy ją waszym szałem, złemi humorami, utrzymując ją z waszej kieszeni, ani się zatroszczycie o więcej. Musi być szczęśliwa i cnotliwa, bo jest waszą żoną! Zresztą strzeże jej dla was prawo, zwyczaje, konwenanse, opinja! Jesteście spokojni. Po odbyciu miodowych miesięcy, wracacie do swych kawalerskich nawyknień. Macie swój zawód i pracę, swoje stosunki i towarzystwo kolegów, klub, knajpę, ano i kochanki. Otóż, mój drogi, wierzę w Fenixy, Chimery i Świętego Greala, ale widzę, i czuję, i wiem, że każdy człowiek ma krew, zmysły, fantazję, oczy, uszy i marzenie i mózg. Każdy—mężczyzna i kobieta. Ty będziesz kochać, szaleć jeszcze wiele razy, twoja żona uchowa swą cześć, nie opuści twego domu, będzie ci gospodynią i kucharką, ale serce jej możesz stracić, i stracisz, choć o tem nie będziesz wiedział, ani tego odczujesz nawet, zasklepiony w swym egoizmie. Dlatego ja twoją żoną być nie chciałam.

— Żeby módz mnie rzucić, gdy kochać przestaniesz.

— Chociażby—odpowiedziała zuchwale.

— I czynisz to w tej chwili?

— Nie, gdyż jeszcze cierpię!

Wstała, zadzwoniła o światło. W tej chwili wpadła do buduaru Bella, trzepiąc od progu.

— Wiecie, zkąd wracam? Z pracowni Radlicza. Widziałam ten jego „Wrzos“. Cudne! Zupełnie *à la* Boecklin historja. Stara sosna z ulem, pustka, wrzosowisko w kwiecie, blade jesienne niebo, i boginka, pół kwiat wrzosu, pół kobieta, snująca z kądzieli białe pajęczyny. Śliczne, powiadam wam!

— A boginka portretowana?—spytała pani Celina ze śmiechem.

— A jakże!—odparła podobnież pani Bella—rzucając okiem w stronę Andrzeja.

Ale on ani słyszał rozmowy, ani wzroku nie widział. Siedział zamyślony, wzburzony poprzednią rozmową, zbuntowany i ponury. Szczebiot pani Belli denerwował go, czuł, że sam na sam skończone, prowadzić potocznej rozmowy nie był w stanie.. Wstał, i pożegnał się sztywnie. Pani Celina go nie zatrzymywała.

Gdy wyszedł, pani Bella ukłoniła się z gestem ulicznika, i zachichotała szyderczo.

— Pst — posłyszy! — upominała pani Celina szeptem.

— *J'm'en fiche!*

Andrzej poszedł do domu. Zmrok był chmurny, deszcz padał, wicher gwizdał; stylowy jesienny wieczór dostrojony do jego humoru. Otworzył zatrząsk, wszedł. Lampa kopciła w przedpokoju, w domu panowała grobowa cisza. W jego gabinecie było ciemno, zadzwonił na lokaja, i czekał długo, zanim się Józef zjawił, widocznie zaspany.

— Dlaczego niema światła tutaj? Wywietrzyć przedpokój.

Spojrzał na swe biuro; zarzucone było bezładnie listami i gazetami.

— Co tu za nieporządek. Kurzu aż grubo! Jak ty sprzątasz! Czy pani niema?

— Nie, proszę pana. Jeszcze nie wróciła! Zawczoraj wyjechała.

— Wyjechała? A gdzie starszy pan?

— U siebie. Jest hrabia Kołocki.

Andrzej poszedł do gabinetu prezesa. Kołocki właśnie wychodził, spotkali się we drzwich.

— A! jesteś! Witam. Zostałbym, ale się spieszę na polowanie do Romana! Do widzenia. Ojciec ci powtórzy, z czem tu byłem! Wpadnę po odpowiedź. Uścisnął mu dłoń i wyszedł.

— Gdzie Kazia?—spytał żywo Andrzej.

Otrzymała depeszę, że babka jakaś umiera i wzywa ją do siebie.

— Co za babka? Niema żadnej babki.

— Więc może ciotka! Powiedziała mi, że babcia Boguska umiera, była okropnie zmartwiona. Odwiozłem ją na pierwszy pociąg i nudzę się bez niej już dwa dni! Ten Kołocki! Nie wiedziałem, co mu zrobić, wyrzucić za drzwi, czy odesłać do Tworek.

— To żadna krewna ta Boguska, to babka jej ex-narzeczonego! Po co ojciec jej pozwolił jechać? Do czego to podobne?

Prezes się zastanowił, wreszcie rzekł:

— Pierwszy raz słyszę o tym narzeczonym! Gdzież on, jest tam?

— Nie, jakiś student, który gdzieś przepadł bez wieści, u Jakutów.

— No, więc co? Staruszka umiera, chce ją widzieć. Co w tem niestosownego? Ojciec jej tam jest. Zresztą, cóż ona niewolnica, żebym jej miał pozwalać, lub bronić? Żeby nie wypadało, sama by nie pojechała. A tyś kiedy wrócił?

— Dopiero co!

— Otóż posłuchaj, z czem przyszedł Kołocki. Ten Radlicz sportretował w jakimś obrazie Kazię i sprzedać nie chce.

— Co mnie do tego!—mruknął Andrzej.

— Kołocki dowodzi, że tobie będzie musiał sprzedać, więc żebyś użył swego wpływu i ten obraz dla niego kupił.

— Że też rodzina go nie zamknie w jakim zakładzie! — ruszył ramionami Andrzej i dodał czemś innem zajęty: Kiedyż ma wrócić?

— Kto może określić. Po pogrzebie zapewne.

— Może ten wnuk, narzeczony, wrócił?

— Licho wie, co ci po głowie chodzi. Ojciec jej telegrafował. Wiesz, że ja nie jadam w domu. Sprobowałem. Taki kram z kucharką i wszystko było podłe.

Andrzej chodził zamyślony po gabinecie, nie słuchał.

— Cóż tam w waszej fabryce? — zagaił prezes.

— Wszystko dobrze. Zjechała stara Zaleska, więc Markham nie tyle będzie w domu przesiadywać. Mogłem się uwolnić.

— To dobrze. Trzeba, żebyś był w domu jutro o drugiej. Wolska ma prezentować tego narzeczonego. No, chodźmy na obiad. Ten pusty dom stał mi się wstrętnym.

Ale Andrzej pożegnał ojca w bramie, i poszedł szukać Radlicza, musiał się z nim widzieć.

Było to dość trudne przedsięwzięcie. Wstąpił do restauracyi, potem do cukierni, gdzie Radlicz zwykle bywał, nie znalazł go, dalej nie wiedział, gdzie iść, gdy, szczęściem, spotkał Józwickiego redaktora, i ten go objaśnił, że Radlicz ma być z nim właśnie na jakiemś ko-

leżeńskiem zebraniu, że poszedł do domu przebrać się.

Jakoż Radlicz był u siebie, ale się nie stroił, leżał na kanapie, patrzał w sufit, i coś nucił.

Drzwi były tylko przymknięte, więc Andrzej wszedł bez pukania.

— Ledwiem cię znalazł. Szukam w całem mieście. Mam do ciebie interes, prośbę a przedewszystkiem, czy mogę cię uważać za szczerego przyjaciela? zagaił, po przywitaniu.

Radlicz popatrzał na niego badawczo, potem zaśmiał się po swojemu cynicznie.

— Hm! jakby to powiedzieć. Byłbym bardzo rad być twoim wrogiem, ale niestety, muszę być przyjacielem! O co chodzi?

— Powiedz mi, ty wiesz pewnie, co się dzieje z Celiną?

Radlicz spodziewał się zupełnie czegoś innego; chwilę się stropił.

— Z Celiną?—powtórzył. Nie byłem tam od paru tygodni. Widziałem Bellę—mówiła, że wyjeżdżają do Włoch.

— Wyjeżdżają? Kto?

— Ano Celina z Bellą.

— I nikt więcej?

— A któżby? Może ty?

— Józef—ty łżesz! Ty wiesz, że tam ktoś jest nowy. Ja to czuję od dawna, ona mnie

zdradza. I za co! Com zawinił! Szaleję za nią, ubóstwiam.

— Wiele sobie kobieta z tego robi, czy kto szaleje i ubóstwia, jeśli sama nie kocha!—mruknął Radlicz ponuro. Co? Dała ci odprawę?

— Gorzej, bo czuję, że kłamie przez tchórzostwo, czy litość! Czuję, żem ją stracił I za co?

— Za co? Za nic. Albo miłość bywa za coś? lub ustaje dla czegoś? Jest to przyczyną bez skutku i skutek bez przyczyny. Nie mówię tego o was, ale jako teoryę. Celina może tylko jest zazdrosna.

— Ona mnie już nie kocha! — szepnął posępnie Andrzej. Ona kocha innego. Żebym wiedział kogo?

— I co ci to pomoże? Choćbyś go zabił, nie wskrzesisz jej miłości, jeśli już umarła, a czy on się nazywa Jan, czy Paweł, to obojętne. Daj na mszę, że ona pierwsza kochać przestała, to wprawdzie gorzej boli, ale mniej dokuczy, jak rozkochana baba gdy się o nią już nie dba.

— Józef—ty wiesz kto jest?

— Wiem, nazywa się Ali Baba. Przypadek, traf odkrył mu słowo zaklęcia do skarbów; a ty, zamiast stać przed skałą, i łamać głowę, jak się napowrót tam dostać, idź, szukaj in-

nych, i wierz mi, lepiej być zdradzonym, jak przesyconym.

— Nie chcesz więc być mi przyjacielem!

— Owszem—i dlatego ci mówię. Jeśli się czujesz zdradzonym, nie upieraj się, nie bądź śmiesznym. Im więcej będziesz walczył o taką miłość, tem więcej wywalczysz rywalowi, a zdobędziesz zamiast obojętności, nienawiść. Mówisz, że czujesz w niej fałsz! Czego chcesz, więcej fałszu?

— Kocham ją! Nie rozumiem życia bez niej. Pięć lat była mi wszystkiem. To nie może się zerwać. Ja jej nie dam nikomu!

— Ty nie, ale ona siebie da, komu zechce. Słuchaj, Jędrek, nie bądź głupi. Jeśli czujesz, że cię zdradza, pluń, i bierz inną.

— Ale pierwej się zemszczę!

— Za co? Żeś nie potrafił jej utrzymać!

— Nie zmieniłem się w niczem!

— No, to się ona zmieniła, na jedno wychodzi. Chcesz się mścić, walczyć, zabić rywala, możesz, ale to ci szczęścia nie wróci. To już skończone. Szczęście ci wróci inne serce i usta.

Andrzej wstał, przeszedł się nerwowo po pracowni, stanął przed Radliczem.

— Więc stanowczo nie chcesz mi nic powiedzieć?

— Owszem, powiem ci, że jest śliczna pani Rudnicka. Onegdaj owdowiała!

— Bywaj zdrów, dowiem się i sam!

Gdy wyszedł—Radlicz wstał, wziął lampę, odsłonił płótno z obrazu na sztalugach, długą chwilę nań patrzał, wreszcie odstąpił z westchnieniem:

— I taką mając żonę, szaleć za starą awanturnicą! Ba, mnie i owszem. Niech jej nikt nie kocha, nikt nie pożąda, nikt nie posiada!

Andrzej po bezsennej nocy, rozdrażniony okropnie poszedł do pani Celiny. Zadzwonił, bo zapomniał wziąść ze sobą klucz od zatrzasku!

Po dość długiem oczekiwaniu otworzyła służąca.

— Pani już wstała?—rzekł, wchodząc, jak do siebie.

— Pani niema. Wyjechała dziś w nocy.

— Dokąd?

— Niewiem. Z kuframi na kolej.

— Sama?—pytał nie swoim głosem.

— Z panią Bellą.

— Nie zostawiła do mnie listu? Nie kazała nic pewiedzieć?

— Kazała mieszkanie sprzątnąć, i odnieść klucze do pana. Właśnie sprzątamy.

Słusznie, za mieszkanie on płacił, meble on kupował, zwracała mu wszystko, oprócz

siebie. Służąca odeszła, stał jak skamieniały, ogłuszony, z chaosem w głowie, z krwią pulsującą gwałtownie. Od jakiegoś czynu szalonego uratował go w tej chwili drobiazg: cichy, dyskretny szept służącej za drzwiami i chichot tłumionego śmiechu. To lokaj z pokojówką zabawiali się jego kosztem.

I oto wszystkie uczucia opanowało jedno: strach śmieszności, przeświadczenie, że w tej klęsce, która mu złamała serce, stanie się dla ludzi pastwą. Nikt mu nie współczuje, wszyscy wydrwią, a iluż będzie tryumfować! Rozpaczać, cierpieć, mścić się, wszystko trzeba tymczasem stłumić, ukryć, przedewszystkiem ratować próżność, przedewszystkiem kłamać, ocalić chociażby pozory i formy.

Bardzo blady, ale spokojny wszedł do mieszkania, obszedł je, wydał parę dyspozycyi, zawołał stróża, oddał mu apartament pod opiekę, rozliczył i opłacił służbę, i gdy wychodził ztamtąd, był, jak zwykle, przytomny, tylko czuł, że musi gdzieś się skryć, być sam, by myśli zebrać i coś postanowić.

Machinalnie prawie wsiadł do dorożki, i rzucił adres Radlicza. Tego jednego nie bał się spotkać, i czuł w nim potrzebną dla się w tej chwili trzeźwość i życzliwość. Zastał go już ubranego, i przy robocie.

Nie potrzebował mówić, malarz spojrzał, i gwizdnął, jak ulicznik.

— Drapnęła!—rzekł.

Odłożył pendzel i paletę, dobył z kąta butelkę, nalał złotawego płynu w szklankę.

— Masz, pij i połóż się. Na nowiu drugiego miesiąca ani będziesz tego pamiętać! Tymczasem masz pełne gardło żółci i octu—pij wino!

Andrzej machinalnie usłuchał, potem usiadł na stołku, objął głowę rękami, wsparł łokcie na kolanach, i milczał.

— Kobiety są stworzone na katów!—rzekł wreszcie.

— Racya — kochać naprawdę umieją tylko swoje dzieci, zresztą szał i okrucieństwo.

— I fałsz! W tem są mistrzynie. Boże, jak ja ją ubóstwiałem, jak wierzyłem! Za to mnie zabiła!

Podniósł głowę, oczy jego pałały.

— I uciekła—nikczemna. Znajdę ja ich na końcu świata i porachujemy się.

— Szkoda prochu!—mruknął Radlicz. Tymczasem nie myśl o zemście, ale o sobie i ludzkich językach. To będzie uczta, to dopiero używanie!

— Żebym o tem nie myślał, jużbym ich gonił. Zostałem, żeby się bronić od śmieszno-

ści. Jutro piątek, zebranie u niej. Co ludziom powiem, jak wytłomaczę!

— Nic nie powiesz. Wyjedź na tydzień gdziebądź za interesami: do Moskwy, czy Odesy, jak najdalej. Ja powiem, żeście oboje wyjechali, każdemu powiem pod sekretem, żeby się prędko rozniosło. Wyjechaliście *incognito* z powodu twej żony. To im się okropnie podoba, połkną przynętę i będą przeżuwać skandalik. Jak wrócisz, będziesz bohaterem.

— Wątpię, bo dotychczas już pół Warszawy wie, z kim ona wyjechała.

— *On* nie pojechał, bądź pewny.

— Kto, *on!*—podchwycił Andrzej.

— Ano, ten jakiś Ali Baba. Pani Celina zanadto jest wytrawna, żeby się nie podrożyć. Zresztą mnie się zdaje, że najprozaiczniej pojechała do męża, który znowu podobno ma miliony. Mówiła mi Bella, że pisał do niej już parę razy.

Andrzej milczał. Coraz głębsza otchłań otwierała się przed nim. Od jak dawna był zdradzony, oszukiwany, otoczony intrygą i fałszem. Ból jego serdeczny coraz bardziej ginął pod uczuciem wstydu, upokorzenia, zranionej miłości własnej.

— Daj jeszcze wina!—rzekł, wstając.

Radlicz nalał szklankę i uśmiechnął się. Spełniał przyjacielską przysługę, opiekował się

16

Andrzejem, ale w głębi duszy miał własny interes i niepokój.

— Wiesz, kto będzie najbardziej z twej klęski się cieszyć i tryumfować?—Ojciec i żona. Zostali panami położenia, odzyskali ciebie!

Andrzej skoczył, poczerwieniał.

— Oni mi zapłacą za dzień dzisiejszy. Czy myślisz, że toby się stało, żeby nie to przeklęte małżeństwo?

— No, niezawodnie Celina była zazdrosna!— bąknął Radlicz.

— A ojciec obmyślił sprytnie plan, tylko się pomylił co do wyniku. Ta mnie zdradziła i porzuciła, ale oni się grubo mylą, jeśli tryumfują. Jeśli mnie kiedy stracili na zawsze, to dzisiaj!

W klęsce poniesionej człowiek mniej cierpi, gdy znajdzie winowajcę. W tej chwili Andrzej najbardziej czuł upokorzenie.

Zdrada pani Celiny była logiczna. Znudził ją, miłość zgasła, przyszedł przesyt, żądza nowych wrażeń, rzuciła go, przestał dla niej istnieć. Ale tego ścierpieć nie mogła jego próżność, tego nie chciała zrozumieć zarozumiałość i pycha. Więc szukał innej racyi. Z całej wczorajszej rozmowy chciał pamiętać to, co ona udawała, by się zamaskować: — zazdrość. Zazdrość kobiety, nawet zdradę uniewinnia, a jakże pieści próżność. Zdradziła, bo nie chcia-

ła podziału, kochała go, ale się zemściła za żonę.

Strata ukochanej, ból, zawód, wstyd, śmieszność, wszystko nań spadło z winy tej głupiej, cnotliwej świętoszki, z którą w jakimś obłędzie głupoty dał się skuć na życie, oplątany przez starego filuta ojca.

Jej zawdzięcza klęskę—tej gęsi, której dał wszystko, stanowisko, dobrobyt, a która jeszcze się ośmiela okazywać mu lekceważenie, jest tak bez ambicyi i kobiecości, że rada jest i przechwala się, że jej mąż nie kocha, czemby się czuła upokorzoną ostatnia!

Radlicz słuchał wybuchu i cieszył się. Nie był on zły, ale cierpiał. Od pierwszego spojrzenia Kazia mu się podobała, zajęła oczy, potem myśli, teraz był rozkochany w niej, stała dlań treścią życia.

Nie był zły. Dałby dla niej życie, służyłby jej i dogadzał, znosiłby męki dla niej, ale się cieszył w tej chwili, że była zapoznana i pogardzona, obciążona niesłusznemi zarzutami, niekochana, i że jej żywot ciężki stanie się jeszcze cięższym.

Dałby krew wytoczyć dla jej szczęścia, a cieszył się jej nieszczęściem i krzywdą, bo czuł, że tylko w ten sposób zachowa ją wolną i może zdobędzie.

Żeby mu kto powiedział, że w tej chwili jest katem, obraziłby się śmiertelnie. On kochał! Siebie? nie! Ten cudny „Wrzos“—swoje natchnienie.

Andrzej, wyrzuciwszy żółć w bezwzględnych, ostrych słowach, odzyskał równowagę, uspokoił się.

Tedy Radlicz rzekł:

— Znasz Barańską?

— Nie.

— To cię tam wprowadzę, jak wrócisz. Ciekawa facetka. Gdzież myślisz jechać?

— Mniejsza gdzie, tylko bym nie rad do domu wracać, żeby ojca nie spotkać, a potrzebuję wziąć trochę rzeczy i pugilares z biurka.

— To ci załatwię, a ty się prześpij. Jeśli kogo spotkam, powiem, że ciebie już niema.

VII

— Prezes napróżno wyglądał syna. O dwunastej wyszedł, a w czasie jego nieobecności Radlicz zabrał rzeczy i pugilares. Gdy prezes wrócił około drugiej, lokaj mu to doniósł. Stary Sanicki był wściekły na syna, stęskniony i znudzony po Kazi, w najgorszym tedy humorze przyjął Wolskich, których i bez tego nie cierpiał.

Stara już w przedpokoju rozpytała lokaja i miała minę ogara na tropie grubego zwierza.

Małe jej, tonące w tłuszczu oczki, świdrowały twarz gospodarza.

— Cóż to, słyszę, młodzi państwo się rozjechali — rzekła słodziutko po przywitaniu, i przedstawieniu narzeczonego. Ale prezes już się pohamował.

— Wyprawiłem Kazię do chorej krewnej. Zapewne dziś, jutro wróci. Andrzej przed chwilą został wezwany do fabryki depeszą. Nowa ma-

szyna jeszcze nie zupełnie normalnie funkcyonuje, a Markham nie technik.

Zwrócił się do narzeczonego z jakiemś banalnem pytaniem, zaczepił żartobliwie pannę i rozmowa poszła gładko. Narzeczony, typ podolskiego bałaguły, duży, tęgi, z byczym karkiem i głosem, mówił o burakach i cukrze, o kontraktach i jarmarkach; prezes udawał, że go to bardzo interesuje, ale w duchu myślał, że Wolska szpieguje i szpera, i że ją trzeba ułagodzić sutym prezentem, i powtarzał w duchu:

— Srebro, makaty, saski serwis, czy Mankielewicz? Wreszcie, korzystając, że młoda para poszła oglądać jakiś obraz w drugim końcu salonu—spytał konfidencyonalnie:

— Darujcie szczerość, ale radbym ofiarować jaką pamiątkę Jadzi na nowe gospodarstwo. Wiesz najlepiej, coby jej zrobiło przyjemność?

— Ale, cóż znowu! Każdy drobiazg będzie miły. Nie krępuj się niczem. Pan Bukowiecki ma dom świetnie urządzony, nic nie brak! No—nie idzie zatem, żebyśmy też dziecka nie zaopatrzyli we wszystko.

— Więc może srebro stołowe!

— Ach, to za wspaniałe. Cóż znowu!

— Załatwione! o srebro się już nie kłopoczcie.

— Dzięki, dzięki stokrotne! Jadzia się tak ucieszy, ona, dziecko—marzyła o kolczykach.

— Marzyła! Będzie je mieć!—uśmiechnął się prezes.

Wolska promieniała.

— Mój drogi. Jakżem wdzięczna.

— Dajże pokój, nie ma o czem mówić. No, a jakiż stan finansowy tego pana? Zasięgnęliście informacyi?

— A jakże! Był przecie jego wuj i dowiadywaliśmy się przez znajomych. Bardzo porządna rodzina. Ma własny, rodowy majątek, i duże dzierżawy.

— Ano, to chwała Bogu. Andrzej wziął też żonę bez posagu, i trafił najszczęśliwiej.

Wzmiankę o „żonie bez posagu“ zatuszowała Wolska chrząknięciem, bo młodzi wrócili, ale prezes nie obstawał przy temacie, rozmowa stała się ogólna. Bukowiecki był oszołomiony Warszawą, przyszła teściowa już potrafiła go zawojować, patrzał jej w oczy, gdy miał odpowiadać, poza cukrem i burakami, nie umiał mówić.

Po chwili zaczęto się żegnać. Prezes najsolenniej za syna, synowę i siebie obiecał obecność na weselu, zamieniono mnóstwo czułych słówek i wizyta była skończona.

Stary odetchnął. Stanął u okna i zamyślił się.

— Dwa tysiące rubli! — zamruczał. Jeśli baba za to nie będzie milczeć, to dla drugiej dostanie figę. I gdzie się ten nicpoń Andrzej podział? Jak na złość to urządził! No może babie gębę zatkam! Widzę, że tego draba łudzą jakimś posagiem! Ładnie się, osioł, ubierze!

A tymczasem Wolska wróciła do domu, narzeczony, zbywszy pańszczyzny, ulotnił się do hotelu, kobiety zaczęły sejmować.

— Jakto? Sam prezes? A Andrzejowie?—pytały córki.

— Ona niby u rodziny! On niby w Grodzisku!—odpowiedziała, brwi wznosząc Jadzia.

— To podejrzane!—zabrzmiał chór.

— Bardzo!—rzekła stara. A szczególnie dlaczego?—wiecie?

— No, no? Dlaczego? Zauważyła coś mama?

— Z miny starego—nie! To filut! Ale z jego postępowania! On—zanadto hojny!

— Jakto?

— Ano—Kostuni Dąbrowskiej dał raptem dwa dywany, Zosi Zwolińskiej pierścionek, a Jadzia wiecie, co dostanie?

— Co? Co? — pytały pół ciekawie, pół zawistnie.

— Całe stołowe srebro i kolczyki.

Jadzia była czerwona z radości, tamta czerwona z zazdrości i żalu.

— Srebro i kolczyki! Mój Boże!

— To podejrzane! On się przymila do nas!
— Musi tam coś być—ale co?
— Dowiemy się!—dopowiedział chór.

W trzy dni potem wiedziały, i wiedziało pół Warszawy, że Andrzej porzucił żonę i pojechał z panią Celiną zagranicę, w tydzień mówiono, że odesłał już przed tem żonę do rodziny, bo ją zastał u Radlicza na schadzce, gdy mu w pracowni pozowała, w stroju — żadnym...

A tymczasem rzeczywiście na Marszałkowskiej prezes był wciąż sam.

Od Kazi otrzymał list, że babka umarła, a macocha ciężko zasłabła, w parę dni potem depeszą został wezwany do Gurowa doktór Downar i wieści się urwały.

Co prawda, mniej to gryzło prezesa, jak nieobecność syna. Gdy się przekonał, że go niema w fabryce, parę dni udawał swobodę, ale gdy się dowiedział, że pani Celina wyjechała, i gdy Kołocki znowu go napadł o obraz Radlicza, stary postanowił rzecz wyjaśnić i posłał kartkę, prosząc malarza do siebie.

Radlicz stawił się natychmiast. Prezes się nim opiekował w szkołach, był mu jak krewny, zresztą myślał, że ujrzy Kazię.

Ale dom wiał pustką i chłodem, stary był chmurny i stękający.

— Powiedz mi, mój drogi, czy to być może, żeby Andrzej za tą starą awanturnicą poleciał?

Radlicz wobec troski starego poczuł wyrzuty sumienia i niebywałe postanowienie mówienia prawdy.

— Co znowu! To ona od niego uciekła!

Prezes nagle o dziesięć lat odmłodniał.

— Nie może być? Bajesz, byle mnie pocieszyć! Naprawdę go rzuciła? A on? Co?

— On desperuje. Chciał gonić i strzelać! Alem wyperswadował! Pojechał do Kijowa, żeby się otrzeźwić!

— I tydzień tam siedzi! To nie może być! Albo łżesz, albo sam prawdy nie znasz!

— Że baba drapnęła, wiem, że on desperował, wiem, żem go wyprawił, by ludziom zeszedł z oczu, też wiem, a czy potem nie poleciał za nią, tego nie wiem!

Prezes znowu o dziesięć lat zestarzał.

— Co teraz czynić! Warszawa się trzęsie od plotek. Czy ten człowiek ma sumienie! On mnie do grobu wpędzi! Naturalnie, poleciał za nią, to jasne jak słońce. Szatan nie kobieta. Piekło ją porodziło na moje nieszczęście. A tu, na domiar złego, Kazia tam siedzi nad chorą macochą! Wszystkie pozory przeciw niemu.

Radlicz, który plotkę sam stworzył, milczał.

Prezes począł chodzić po pokoju niespokojnie.

— Można oszaleć! Gdzież ta baba pojechała? Gdzie go szukać?

— Ona go nie chce! Żeby miał rozum i mnie słuchał, toby jej nie gonił! Teraz wróci wściekły.

— Albo ją przejedna, pogodzą się, i znowu ją tu sprowadzi.

— Wątpię! Zna pan prezes zdanie: *auf das gewesene giebt der Jude nichts!* To już przeszłość tylko.

W tej chwili rozległ się dzwonek w przedpokoju i zaraz głos, na który obadwa zerwali się.

— Kazia! Nareszcie!—zawołał prezes.

A tuż i ona stała już w gabinecie blada, mizerna, ze smutnym na licach uśmiechem.

Prezes z wybuchem radości począł ją ściskać i całować—wołając:

— Zkądże? Jakim pociągiem! Boże, jak ty źle wyglądasz! Nigdy już cię więcej samej nie puszczę. Cóż tam słychać? Jak macocha?

— Źle!—odparła smutno. Jest i ojciec, i doktór Downar poczciwy nam towarzyszył. Ulokowaliśmy ją u niego w lecznicy. Zapewne będzie potrzebna operacya, przytem ma wadę serca! Bardzo źle!

Przywitała Radlicza, o Andrzeja nawet nie spytała, pewna, że jest w Grodzisku.

— A gdzież twój ojciec? — spytał prezes. A mała? Została w Gurowie?

— Została. Ojciec musi za parę dni wracać. Będzie dojeżdżał. Dla małej trzeba dziś jeszcze wyszukać dobrą bonę. A tu macocha chce, żebym jej nie odstępowała. A ja doprawdy, takam zmęczona, że ledwie stoję. Tatusiu, proszę o klucze, muszę w domu przedewszystkiem się rozejrzeć. Strasznie tu brudno i nieporządnie.

— Opamiętaj się, kobieto!—oburzył się prezes. Spójrz, jak wyglądasz. Musisz odpocząć. Do macochy dziś nie pójdziesz. Po ojca twego zaraz idę.

— A ja bonę załatwię! ofiarował się Radlicz. Zobaczy pani, jak się na tem znam.

— Dziękuję panu. Nie bardzo ufam.

— Przekona się pani. Za godzinę przyślę tuzin do wyboru.

Pożegnał ich i wyszedł. Ona poczęła się krzątać po domu, a prezes za nią chodził, uszczęśliwiony, że wróciła, rad chorobie macochy, śmierci babki, potłuczonym lampom, zasuszonym kwiatom, molom w dywanach, opieszałości służby, wszystkiemu, co przebyła i zastała, byle, jak najpóźniej spostrzegła nieobecność męża i spytała, gdzie jest!

Po godzinie maszyna domowego życia poczęła działać prawidłowo, służba poczuła rygor i władzę.

Kazia się przebrała, gdy zaczęły napływać naganiane przez Radlicza bony. I temu był rad prezes, chociaż i drażniło go to, że Kazia snać ani na chwilę nie pomyślała o mężu.

Nareszcie piątą kandydatkę wybrała, i omówiwszy warunki i obowiązki, odprawiła do jutra.

Wtedy prezes rzekł:

— Wiesz, że Andrzeja niema?

— Widzę! Nigdy go o tej porze niema.

— Ale go i potem nie będzie. Wyjechał za granicę.

— Tak? Na długo?—spytała obojętnie.

— Nie mógł określić dnia powrotu. Pojechał do Berlina w interesach fabryki.

Nie pytała więcej. Usiadła w fotelu, przymykając zmęczone bezsennością oczy.

— Trzeba iść!—szepnęła.

— Dokąd? Krokiem cię nie puszczę. Macocha pastwiła się nad tobą, zamęczała! Teraz niech sobie szuka opieki.

Otworzyła oczy.

— Była dla mnie złą, teraz jest chorą śmiertelnie. Będę jej służyć, jak córka. A ojciec!

Wstała, wyprostowała się, siłą woli otrząsając zmęczenie!

— Pójdę, tatusiu. Przyjdziemy z ojcem na obiad.

— Czekaj—utrapienie! To i ja pójdę z tobą.

Ubrał się, wyszli. Po drodze, gdy spotkali kilku znajomych, rzekł:

— Bo nie wiesz, co tu się stało! Gdyście tak oboje zniknęli z Warszawy, powstała plotka, żeście się rozeszli. Musimy się razem pokazywać.

Spojrzała uważniej na niego; zastanowiła się dopiero nad położeniem.

Tyle wrażeń innych miała w pamięci, tak się czuła jeszcze wśród trosk i wydarzeń górowskich, że z pewnym trudem wracała do stosunków swego domowego pożycia.

— Gdy Andrzej wróci, pokażemy się razem w teatrze—i będzie znowu o nas cicho.

— Żebyż on rychło wrócił—westchnął prezes.

— Ojciec wątpi. Może on wcale za interesami fabryki nie pojechał nawet.

— A jeżeli?—spytał prezes zgnębiony.

— Brwi Kazi zbiegły się na sekundę.

— W takim razie nic nie pomoże, jeśli mnie z ojcem nawet będą widywać. Nie uratujemy opinii, gdy on o nią niedba.

— Kaziu, ty to mówisz tak obojętnie, jakby to nie o ciebie chodziło.

— A czyż to o mnie chodzi? Cały świat wie, dzięki jego taktowi, że jestem żoną opu-

szczoną, zdradzoną, tolerowaną zaledwie. W niczem nie zmodyfikował swych kawalerskich zwyczajów. Robiłam, co mogłam, aby moje śmieszne i upokarzające położenie zamaskować, ale teraz nie widzę sposobu uratowania pozycyi, gdy on, jak przypuszczam, wyjechał za granicę z kochanką, i zresztą nie widzę, co już więcej ludzie mogą na nas pleść, jak dotychczas. Chciałabym tylko ukryć prawdę przed ojcem, i myślę, że nawet lepiej, iż nas razem nie zobaczy.

— Ale ty nie wiesz wszystkiego, co tu się porobiło. Ta baba go rzuciła i wyjechała.

Ruszyła z lekka ramionami.

— A on za nią pogonił?

— Zkąd wiesz?

— Domyślam się.

— Tak. Ten osioł myśli, że ją odzyska!

— Życzę tego z całego serca.

— Kaziu! To okropne, co mówisz. Więc ty nic, ani trochę nie dbasz o niego?

Zagryzła wargi, żeby nie rzec złego słowa, i odpowiedziała po chwili.

— Życzę, żeby z tamtą wrócił, bo jeśli ją straci, będzie się mścił na mnie. A doprawdy— dla ojca i dla was, tatusiu, i dla siebie samej, by nie łamać mej przysięgi małżeńskiej, nie chciałabym, o za nic nie chciałabym go znienawidzić. A czuję, że gdy tamtą straci, już

nie obojętną mu będę, ale nienawistną i on mnie również.

— A ja inną widzę przyszłość! On stamtąd wróci sam i uzdrowiony. Przejrzy, opamięta się, wyzwoli z pod opętania tej baby—i...

Prezes, upojony nadzieją, spojrzał na nią z uśmiechem, ale twarz młodej kobiety miała taki wyraz zgrozy i chłodu, że się przeraził.

— Kaziu, zlituj się, ty mu przecie wybaczysz, darujesz, będziesz dobrą dla niego. Ty tego nie uczynisz!

— Czego? — Odepchnąć męża, który raczy być łaskawym dla mnie. Cóż znowu! Alboż żonie to nawet wolno? Dajmy pokój tej kwestyi, tatku. Niema o czem mówić. Będzie, jak on zechce!

Dojrzała troskę na jego twarzy, opamiętała się, przytuliła serdecznie do jego ramienia i rzekła głosem, pełnym łez:

— Tatusiu—proszę mieć dla mnie względy. Jestem strasznie zmęczona i zdenerwowana. Tydzień byłam nad konającą, tydzień z chorą macochą, straciłam moc i panowanie nad sobą. Muszę trochę wypocząć i opamiętać się. Doprawdy, jak się widzi chorobę i śmierć, nabiera się do życia pogardy i lekceważenia. Niech się tatuś nie troska i we mnie nie wątpi.

Ale prezes nie mógł odzyskać otuchy i dobrej nadziei, opadły go gromadą zgryzoty i troski.

Chwilę milczał, wreszcie rzekł:

— A ten Kołocki z tym obrazem?

— O tem nic nie wiem. Co za obraz?

— Radlicza, na którym ty jesteś sportretowaną podobno. Muszę raz pójść na wystawę i zobaczyć, czy to prawda. Kołocki daje Radliczowi trzy tysiące, a ten sprzedać nie chce.

— Niech mu da pięć, ale co nam do tego targu?

— Licho wie, co plotą. Żeś pozowała Radliczowi. Jak Andrzej wróci, może być skandal.

Wzdrygnęła się ze wstrętem, spojrzała z bezmiernem obrzydzeniem po ludziach, zapełniających ulicę, po tej czarnej fali, spieszącej, zda się, zajętej, zaabsorbowanej, zapracowanej i rzekła:

— Niby mrowisko, a to tylko chmary żuków, szukających nawozu—dla biesiady! Czyż oni, doprawdy, nie mają własnych uciech i trosk, zajęć i celu wyższego. Ohydne!

Wzdrygnęła się raz jeszcze. Weszli w bramę lecznicy, zatrzymała się u drzwi schodów.

— Tatusiu, polecam wam ojca, — szepnęła smutno.

Szpanowski rozmawiał z doktorem Downarem w pokoju, poprzedzającym sypialnię cho-

rej. Został z nimi Sanicki. Kazia przeszła do macochy.

— A jesteś przecie. Myślałam, że już ciebie nie zobaczę!—powitała ją grymaśnie chora.

— Zajrzałam na chwilę do domu, i jestem na usługi. Jakże pani tu się czuje, bardzo droga zmęczyła! — odpowiedziała Kazia troskliwie.

— Pani, pani—zamruczała Szpanowska. Jeśli nie z serca, to dla oka ludzkiego mogłabyś mnie matką nazywać! Ale ty teraz wielka pani, ja na twojej łasce! Ach Boże! Cóż doktór mówi—źle ze mną?

Nic nie mówi, żeby źle było. Niech się matka nie trwoży. Pojutrze będzie konsylium, może po paru tygodniach wróci matka zdrowa do domu! Ja tu będę prawie ciągle. Bonę dla Zosi już mam, jutro ją wyprawię do Górowa! Nie trzeba się niepokoić, wszystko dobrze będzie.

— Jakaż ta bona? Masz jej świadectwa? Niech do mnie przyjdzie. Muszę ją widzieć.

— Będzie tu wieczorem. Świadectwa przyniosłam.

— Biedna Zosieńka! Biedny aniołeczek! Ach! mój Boże! za co mnie tak karzesz?

Zaczęła przeglądać świadectwa. Kazia krzątała się po pokoju; wszedł Szpanowski z Downarem.

— Ach doktorze! Kiedy wy mnie ztąd uwolnicie. Dziecko tam samo zostało! Ja nie mogę tu długo pozostać! Możeby dziś konsylium! Niech wiem, co mnie czeka! Muszę wracać do domu!

— Dziś nawet ja pani nie będę egzaminował. Trzeba do jutra po podróży wypocząć. Pojutrze będzie nas trzech: kolega Morawski, Raps i ja. Wtedy zdecydujemy kuracyę. Ale niech szanowna pani nie liczy na tygodnie, ale na miesiące. Do tego przygotowuję z góry.

— Miesiące! Ja nie chcę! Mówiliście w Górowie, że to potrwa może dziesięć dni. Dłużej nie zostanę.

— Mamy zatem dziesięć dni, więc dziś nie mamy o co się spierać. Przedewszystkiem spokój! Zaraz tu przyjdzie siostra Klara, której panią polecę w opiekę, żeby się pani nie nudziło.

— Siostra Klara? Dozorczyni? Kaziu, obiecałaś ty tu zostać!

— I zostanę, matko!—spojrzała pytająco na Downara.

— Pani Sanicka zostanie, o ile będzie mogła!—odparł spokojnie. A siostra Klara będzie stale.

— Szpital! Śmierć—jęknęła chora.

— Ależ, moja droga—wtrącił Szpanowski— będziemy bezustannie nad tobą czuwać. Nie irytuj się!

— Ale ty odjedziesz pojutrze, a ona wpadnie z łaski swojej na godzinę dziennie! Wywieźliście mnie tutaj, żeby się pozbyć kłopotu! O, ja was rozumiem! Zarżnijcie mnie prędzej!

— Kaziu!—rozległ się z za drzwi głos prezesa.

Wyszła. Słyszał wszystko, czerwony był z gniewu.

— Ja cię tu pięć minut więcej nie zostawię! Chodź!

— Nie, tatusiu! Zostanę do piątej, przyjdę na obiad. Proszę sobie iść i nie słuchać! Piętnaście lat byłam w takich warunkach w Górowie!

— Byłaś, ale nie będziesz!

Odprowadziła go w najdalszy kąt pokoju i rzekła:

— Mówił ojciec z doktorem Downarem? Wie ojciec, że dla niej niema wyzdrowienia. Chyba cud! Żyć będzie może ledwie tygodnie, a ja może długie lata. Proszę mnie tu zostawić. Jej dogodzę, a sama przejdę bardzo dla mnie na przyszłe lata użyteczną szkołę cierpliwości i znoszenia spokojnie prześladowania!

Pocałowała go i pozostawiła zakłopotanego.

Zrozumiał, do czego czyniła aluzyę, i posępnie zamyślony poszedł do domu.

Po chwili wyszedł też z lecznicy doktór Downar i ruszył również ku domowi.

Wyjechał był przed czterema dniami, i chociaż wrócił rano, dzień cały spędził na mieście, nie kwapiąc się do rodzinnego ogniska, i teraz się nie kwapił, myśląc w dalszym ciągu o jutrzejszych zajęciach, wizytach, interesach, których się zapas nagromadził przez ciąg jego nieobecności.

Szedł zamyślony, nareszcie się obejrzał i spostrzegł, że zamiast na Marszałkowskiej, był na Smolnej.

Zamruczał coś, stanął, i skręcił w bramę. Stróż mu się ukłonił.

— Stara jest na górze?—spytał.

— Jest, proszę pana, ale tu onegdaj jakaś pani pytała o pana.

— No i co?

— Ano nic — powiedziałem, że pan tu nie mieszka, ale bywa—i poszła sobie.

— Jakaż to pani?

— Taka chuda, z dużym nosem.

— W czarnej rotundzie?

— Tak, tak!

Downar nic więcej nie rzekł, wszedł na wschody.

— Wściekła się, czy co? — zamruczał do siebie, otwierając kluczem zatrzask w drzwiach na pierwszem piętrze. Wszedł do ciemnego przedpokoju, zatrzasnął drzwi. Po kwadransie wyszedł z powrotem na ulicę, zawołał na dorożkę i kazał się wieźć do domu. Miał minę jeszcze bardziej zamyśloną, jak przedtem.

Zadzwonił, i rzekł do lokaja:

— Światło do gabinetu.

Rozebrał się powoli, nasłuchując ostry, krzykliwy głos kobiecy, rozlegający się w głębi mieszkania, w sporze z kucharką widocznie.

Wszedł do swego gabinetu, gdzie tymczasem lokaj zapalił lampę i usiadł do biura, na którem piętrzył się stos listów zaległych z czterech dni. Zaledwie odczytał pierwszy, krzykliwy głos zbliżył się do drzwi, bezustannie burcząc na służbę, i do pokoju weszła kapłanka domowego ogniska.

— Cóż to, nie raczysz się ze mną nawet przywitać!—zaskrzeczała od progu.

— Dobry wieczór!—rzekł flegmatycznie Downar. Słyszałem, że masz jakąś scenę z Franciszką, nie chciałem przerywać. Mam, jak widzisz, masę zaległej roboty.

— Kiedyś wrócił?—spytała tonem sędziego śledczego.

— Dziś.

— Cztery dni byłeś tam. Dali ci tysiąc rubli?

— Przywieźliśmy chorą do lecznicy.

— To inny interes, ale za te cztery dni ileś dostał?

— Nic!—mruknął, biorąc się do odpowiedzi na list.

— Jakto nic? Kłamiesz.

Ruszył tylko ramionami, i pisał.

— Ja się dowiem! Wszystkiego się dowiem, jak już wiele wiem. A tu tymczasem straciłeś lekko kilkaset rubli.—Goldmark miał atak, trzy razy byli od hrabiny Pelagii.

— Ano — trudno, nie mogę być tu i tam jednocześnie.

— A powiedz mi, co to za figura?

— Kto?

— Ano, jakiś twój rodak z pod Smorgoń, co tu wlazł wczoraj w kaloszach do salonu i zostawił tę kartkę.

Rzuciła mu na biuro bilet wizytowy: Floryan Sopoćko, a pod tem kilka słów ołówkiem.

Downar spojrzał, przeczytał, i włożył bilet do kieszeni.

— No, i czego ta dzicz chce?—spytała pani. Pewnie wsparcia.

— Sapoćko! To milioner!

— Mógłby za swe miliony być bardziej do ludzi podobny! No — ale to prawda—Sopoćko! Żeby litwin stał się do ludzi podobny, straciłby w swych oczach całą wartość.

Downar milczał. Twarz jego nie zdradzała żadnego wrażenia, tylko sztywniała, kamieniała, zda się. Stojąca za nim kobieta nie badała zresztą wrażenia, jakie sprawia, była zajęta sobą.

— Była też Boufałowa dzisiaj, ale, że koniecznie chciała z tobą się widzieć — udałam, że nie wiem, po co przyszła.

— Było dać trzydzieści rubli. Wiesz przecie, że się im miesięcznie należą!

— Po pierwsze: nie należą się, ale z łaski dostają. Po drugie: trochę mi zawiele tych twoich ubogich krewnych zagląda do kieszeni. Zresztą, mogła mnie poprosić. Fanaberya!

Dzwonek w przedpokoju. Pani wyjrzała.

— Od doktora Morawskiego bardzo pilne!— rzekł zdyszany głos.

Downar wziął z rąk żony kartkę.

— To o Goldmarku!—szepnęła, zaglądając mu przez ramię ciekawie.

Wtem na schodach, potem w przedpokoju rozległy się kroki i szlochanie dziecka, potem głos służącego.

— Czego tu, mała! Wynoś się.

— Do pana doktora przysłała mamusia! Tatuś się zarznął w fabryce, juści kona. Ola Boga! Mamusia leży, wczoraj siostrzyczka się urodziła. O Jezu! Mamusia z łóżka się zwlekła, i nie może wstać, tatko we krwi. O Jezu! Żeby pan doktór zaraz przyszedł!

Zaczęła mówić w przedpokoju, skończyła za drzwiami, bo ją lokaj usunął. Downar wyszedł z gabinetu, spojrzał na wygalowanego lokaja Goldmarka, wziął palto i kapelusz.

— Idę!—rzekł krótko.

— Spiesz się, spiesz! Możesz nie zastać! — mówiła żywo żona.

— I pewnie, że nie zastanę!—odparł.

Wrócił do gabinetu, wziął z szafy gruby pugilares z narzędziami. Śledziła go.

— Po co pociągasz za sobą ten cały kram? Tam nie będzie operacyi żadnej. Spiesz się! Czy cię czekać z obiadem?

— Nie czekaj, albo, jak chcesz!—odparł wychodząc.

Lokaj Goldmarka szedł za nim, na schodach skulona siedziała dziewczynka, cała otulona starym szalem, zerwała się na skrzyp drzwi, i rzuciła się do jego rąk.

— Cicho, chodź ze mną!—rzekł szeptem.

Gdy byli już w bramie, zwrócił się do lokaja:

Powiedz doktorowi Morawskiemu, że będę za godzinę.

Wyszedł na ulicę, skinął na dorożkę.

— Siadaj, mała, i prowadź!

Dorożka potoczyła się na Solec.

W trzy godziny potem Downar wrócił.

Żona przyszła zaraz do gabinetu, i zastała go, jak mył ręce.

— Gdzieś ty mógł tak obielić surdut? zdziwiła się. Cóż, żyje?

— Kto?

— Któżby? Goldmark?

— Jużem go nie zastał.

— Boś po swojemu się zbierał. Naturalnie nic ci nie dali. Ile ty tysięcy tracisz przez swą obrzydliwą litewską powolność! Nigdy niczego się nie dorobisz. Takie szczęście mając, inny miliony by zebrał, a my, co mamy?

— Na jeden obiad mamy, a dwóch nie zjemy — odparł spokojnie. Goldmarka nie było sposobu uratować. Po co się było spieszyć do trupa!

— Logika człowieka bez ambicyi. I co ci ludzie widzą w tobie? Ładniebyś wyglądał bez mojej opieki! No, ale masz mnie, nie dam ci zginąć!

Raczyła rozchmurzyć oblicze i poklepała go łaskawie po ramieniu.

— Wiesz, mam niespodziankę dla ciebie. Zgadnij.

— Może obiad, bom głodny!

— Jest i obiad, i jest kamieniczka. Ta wiesz, com targowała na Żórawiej.

— Kupiłaś? Ano, to dobrze. Ale obiad mi pilniejszy.

Zbliżył się do światła, chwyciła go za rękę.

— Skąd ty masz krew na mankietach?

Downar cofnął żywo rękę, spojrzał i odparł.

— Albo ja wiem? Trzeba się przebrać. Janie!

Wyszedł do sypialni. Na szarą, zawiędłą twarz Downarowej wystąpił rumieniec, rzuciła się do biurka, otworzyła pugilares z narzędziami.

— Był jeszcze gdzieś, przed Goldmarkiem. Dlatego się spóźnił! On mnie okrada, to prawda, co gadają Wolskie, ma kochankę!

Przeciętna żona zrobiłaby scenę, z wtórem płaczu, spazmów, ale Downarowej pożycie składało się z bezustannych wymysłów i gderania, i Downar do tego tak nawykł, jak do śpiewu kanarka i terkotania zegara, nie czyniło to już na niem żadnego wrażenia. Miała inny sposób, by go wyprowadzić ze spokoju.

Gdy po chwili przyszedł do jadalni, zastał żonę prezydującą u stołu w głuchem milcze-

niu. Zajął swe miejsce, spojrzał na puste naprzeciw siebie nakrycie, i spytał.

— A gdzież Stefan?

Był to krewny pani, student, który u nich się stołował i mieszkał.

Nie było odpowiedzi, tylko wzgardliwe ruszenie ramion.

Downar spojrzał na żonę i zrozumiał, że czeka go niełaska długa, że nie otrzyma odpowiedzi na najbardziej ważne i na najprostsze pytania i trwać to będzie, dopóki jej nie przebłaga. Przez cały zaś ciąg tej pokuty złość swoją będzie wywierać na służbie, w domu powstanie wojna, sroższa, niż zwykle, a w rezultacie kucharka, młodsza i lokaj poproszą o uwolnienienie od obowiązków.

Wszystko to stanęło w myśli Downara, i dało zupie smak żółci; przestał jeść.

Przy pieczeni wybuchła scena z Janem, który nie nagrzał do baraniny talerzy, w skutek tego zabrano baraninę i talerze do kuchni.

Milczeli oboje, obiad się przeciągał, nareszcie gdy pani sama odebrała z rąk lokaja kompot, i wymyślając kucharce poszła z nim do kuchni, Downar serwetę rzucił, i głodny poszedł do gabinetu.

To jedno wiedział, że pracować może spokojnie, żona nie raczy go odwiedzić.

Czytał, pisał, i tak się wreszcie w zajęciu zatopił, że przesiedział do dwunastej.

Wtedy posłyszał złowrogie mruczenie w sypialni, potrącanie sprzętów, wreszcie trzaśnięcie drzwi i zgrzyt klucza w zamku. To znaczyło, że będzie spać w gabinecie na otomanie.

— Podniósł oczy, popatrzał na te drzwi, pomyślał chwilę, potem głową potrząsnął kilkakroć ruchem powolnym niedźwiedzia, któremu pszczoły zaplączą się w kudły, i syczą! I znowu pochylił głowę nad jakąś rozprawą, którą pisał do druku.

I zdawało się, że ten człowiek jest zupełnie nieczuły, a on był tylko tak bardzo silny!

Nazajutrz, jak zwykle, wychodząc o dziewiątej, spotkał na schodach Kazię. Teraz już się znali dobrze i rozmawiali.

— Nie zaspała pani!—rzekł.

— Nie, ale zamiast na Mszę, idę wprost do lecznicy, i stracha mam.

— Niełaskawego przyjęcia. Ano, to pójdę z panią. Będzie raźniej.

— Dziękuję. Naturalnie, że z profesorem poszłabym wszędzie odważnie!

— Ale ja darmo nie służę. Musi mi pani oddać przysługę także. Zostanę w lecznicy, a pani tymczasem pojedzie na Solec 17 i wyszuka w suterenie robotnika Wieczorka. Wczoraj go opatrzyłem, odwiedzę jutro, dziś nie

mogę, ale tam jest siedmioro dzieci, najmłodsze ma dwa dni, najstarsze dwanaście lat.

— Już wiem, rozumiem, i załatwię, co da się.

Weszli do lecznicy. Zły humor i rozdrażnienie Szpanowskiej ułagodziło się przy pierwszych słowach Downara. Został przy niej i zastała go jeszcze Kazia, gdy wróciła z Solca. Zdała mu w paru słowach sprawę z polecenia i zajęła swe miejsce przy chorej. W południe odbyło się konsylium, zdecydowano operacyę za tydzień. Szpanowski został u żony, Kazia uwolniła się, by załatwić zaległe interesa.

Wstąpiła po drodze do Ocieskiej. Zastała artystkę, sprzątającą w pracowni. Na stalugach stało puste płótno, na którem wycierała z farby pendzle, pisząc fantastycznie:

„*Hans Huk Klauber, lass molen stolm*".

— Co to znaczy? — spytała z uśmiechem Kazia.

— To znaczy, Hans, przestań już malować. Spełniam, bo jadę w świat!

— Dokąd?

— Do słońca.

— Na długo?

— Ha—albo ja wiem! Nie cierpię wiedzieć, co będzie, ile będzie! Nie jadłam nigdy w życiu obiadu, który sama dysponowałam. Ale chyba znowu do tej przeklętej Warszawy wrócę!

Cisnęła pendzle na stół.

— A pani gdzie była przez ten czas?

— U ojca. Grzebałam umarłych, doglądałam chorych. Mam ciężkie zmartwienie. Macocha leży w lecznicy Downara, było dziś konsylium, będzie operacya i prawdopodobnie zły koniec. Muszę nad nią siedzieć, myślałam, że panią uproszę o pomoc w moich pracach z panią Ramszycową. Boję się u niej pokazać, dwa tygodnie opuściłam.

— Ładnieby wyszli pani protegowani na mojej opiece. — Widziała pani „Wrzos“ Radlicza?

— Nie.

Ocieska się roześmiała.

— Kapitalne. Prawdziwe *„article de Varsovie“*. Toć przecie pani mu do tego pozowała.

— Ja?

— I za to mąż panią odesłał do rodziny, i rozpoczął „kroki rozwodowe“. Przecie to fakt! I Radlicz spoliczkował za panią Kołockiego i mają się pejedynkować. Nie wie pani, zkądże pani wraca?

— Wracam od natury i Boga, ze wsi. Nic nie wiem o błocie i ludziach!

Zbladła, zamyśliła się, przesunęła ręką po czole i uśmiechnęła się z przymusem.

— Co robić! Królestwa niebieskiego mi nie odbiorą.

— Radlicz jest osioł—mruknęła Ocieska.— Mówiłam mu: było sportretować grubą Rozenblatową. Żydy by ci dali tysiące i każdy rozsądny człowiek uwierzyłby, że ta ci pozowała. A tak sławy dużo nie zbierzesz, a gnaty ci słusznie przetrącą! Swoją drogą hultaj dał śliczny obrazek.

— Więc pani wyjeżdża—szepnęła smutno Kazia.

— Oj—osobliwość. Prawie wierzę, że mnie ktoś żałuje! — zaśmiała się szyderczo Ocieska.

— Niech pani wierzy. Będzie mi bardzo źle temi czasy, jeszcze gorzej bez pani niefrasobliwej filozofii. Zazdroszczę jej pani!

— Niestety, nie zaszczepić jej, a szkoda, bo z nią bardzo dobrze żyć. Powiadają jedni, że wszystko poznać, to wszystko wybaczyć. To dla pani napisane, na tem pani skończy życiową walkę.

— A pani zdanie?

— Moje osobiste: wszystko poznać, to nic nie chcieć! Z tem mi dopiero dobrze.

Kazia się uśmiechnęła.

— Myślę, że mnie sądzono: dużo chcieć, a nic nie poznać, i nic nie mieć! Więc z wiosną wróci pani? Proszę o słowo wieści.

— Dobrze. Napiszę, a pani niech na duchu nie upada. Wszystko minie. To jad szczę-

ścia, a wino utrapienia. A zresztą: wszystko głupstwo.

Uścisnęły sobie dłonie.

„Wszystko głupstwo“—powtarzała w myśli, idąc, wzburzona tem, co usłyszała, zaniepokojona, pomimo spokoju sumienia.

Ale nie mogła przejąć się niefrasobliwością Ocieskiej. Wrzał w niej bunt na los, na ludzi, na samą siebie, i głuche przekonanie, że pokierowała swem życiem fałszywie, poświęciła się napróżno, ni sobie, ni innym nie dała nietylko szczęścia, ale nawet spokoju. Czuła się słabą, niezdolną do dalszej walki, zniechęconą do obowiązków, obcą i wrogą w tem mnóstwie ludzi, w tem nienawistnem otoczeniu, i biedną, i smutną i samą!

Nie była w humorze załatwienia interesów i sprawunków, a chciała bodaj zobaczyć jedną życzliwą duszę, poszła tedy do Tuni.

Po drodze spotkała starą Markhamową. Wydało się jej, że powitanie było chłodniejsze, niż zwykle, a oczy matrony patrzały na nią krytycznie. Spotkała dwie Wolskie; uśmiechnęły się dziwnie na jej widok, i coś do siebie szepnęły, skinąwszy jej tylko głową.

Tunia dziwnym trafem sama w domu, przyjęła ją okrzykiem:

— Bój się Boga. Co się dzieje z tobą? Nie wiesz co się tu dzieje? Ładnieś się skompromitowała!

— Ja? Czem?

— Ano—Andrzej z Celiną zagranicą.

— I *to* ma być *moja* kompromitacja!

— A czyjaż! Tyś winna i słusznie będziesz cierpieć. Mówiłam ci! To wstyd, to hańba, żeby mąż robił taki skandal! Jak ty teraz ludziom oczy pokażesz? W pół roku po ślubie rzuca cię dla starej awanturnicy. Pfu! jabym umarła ze wstydu! Być pośmiewiskiem!

Kazia słuchała w milczeniu. Rysy jej tężały w jakiś wyraz tępego uporu, i zaciętości. Tunia zaś wyładowywała długo zbieraną żółć. Serdecznie lubiła dawną koleżankę, ale tak były odrębne! Odczuła gorąco jej „nieszczęście“, jak nazywała, kłóciła się o nią zajadle ze znajomemi, teraz całą duszą pragnęła ją ratować.

— Nie rozumiem doprawdy ciebie. Nie masz odrobiny ambicji. Młoda jesteś, ładna, elegancka i nie skokietować rodzonego męża! W twoim wieku zajmować się dobroczynnością, fach sobie z tego zrobić. Kto temu uwierzy! Naturalnie, twoje latania po różnych dziurach Powiśla to ci zrobiły, że posądzają, iż miewasz schadzki. Nikt nie uwierzy także, że bywasz u Ocieskiej, gdy Radlicz ma w tejże kamienicy pracownię i wystawia obraz z twoim portretem. Co wolno Ramszycowej, to nie wolno tobie. Zlituj się,

toć opowiadają, że bywasz w szpitalu św. Łazarza. Już nie wiem, co jeszcze wymyślą na ciebie za bezeceństwa! Czyś zwarjowała? Masz dom, stanowisko tak piękne, stosunki z całym światem, młodego męża, notabene, ślicznego chłopca, i to wszystko depcesz, lekceważysz, opuszczasz—i po co! Doprawdy nie chcesz być szczęśliwą, chcesz zginąć! Żebym cię nie znała, jak znam, myślałabym istotnie, że jesteś kobietą bez czci i wiary, ale ty jesteś bez serca i nie rozumiesz, co czynisz! A teraz co będzie? Co myślisz postanowić? Według mnie, powinnaś natychmiast wyjechać do ojca, i zagrozić mężowi rozwodem. To go opamięta! Tak, jak rzeczy stoją, nie możesz ludziom się pokazywać.

Tunia raz pierwszy spojrzała na nią uważnie i skamieniała. Kazia się śmiała! Nie był to wesoły śmiech, ale ironiczny, podczas gdy oczy były zimne i twarde i złe.

Tak, Kazia czuła, że robi się złą i zaciętą.

— Czy mam wyjechać odrazu z Radliczem, czy sama?—spytała zmienionym głosem.

Tunia się obraziła.

— Jeśli tak przyjmujesz moje serdeczne rady, możemy więcej o tem nie mówić!—rzekła, a zadarty jej nosek rozdymał się oburzeniem.

Kazia zapatrzyła się w szary, dymny szmatek zimowego nieba, i milczała. Czuła, że coby powiedziała, Tunia ani jej zrozumie, ani uzna,

ale jej żal było tak się rozstać z jedyną życzliwą sobie duszą.

— Przepraszam cię—szepnęła. Jestem bezmiernie rozdrażniona!—i wyciągnęła do niej rękę.

Tunia nie umiała długo się dąsać. Nosek się jeszcze rozdymał, ale już wolniej.

— No, pewnie, jesteś w okropnem położeniu. Jabym nie przeżyła chyba takiego upokorzenia. Ale trzeba myśleć o ratunku.

— To trudno!—rzekła poważnie Kazia. Na to trzeba inną być, niż jestem, inaczej czuć, i myśleć. Trzeba przytem mieć dom i rodzinę, by do niej wrócić, i trzeba ojcu wszystko wyznać, a ja tego nie uczynię. Muszę milczeć i cierpieć i tu pozostać pod pręgierzem opinji!

Opowiedziała chorobę macochy, katastrofę, która wisi nad ojcem, konieczność ukrywania przed nim prawdy.

Tunia się zamyśliła.

— Istotnie komplikacja straszna. Ale przynajmniej rozmów się z teściem. Niech on wpłynie na syna. Tego trzeba opamiętać, niech wraca. Ludzie ścichną, gdy zobaczą cię pod męzką opieką. Ach, dałabym ja mu, dała, tobą będąc. Dziesiątemuby zakazał urządzać takie fugi. Ale ta kobieta ma w sobie jakiś szalony urok! Doprawdy, uczyć się od niej, jak się mężczyzn trzyma. Ja jej zazdroszczę tej sztuki, czy tego czaru.

W ruchliwym mózgu Tuni myśl zbiegła na tory miłości, rozchmurzyła się zupełnie.

— Wiesz, nie uwierzysz, ale i ja miałam z Julkiem przejście. Dowiaduję się, naturalnie przez mamę Wolską, że ma kochankę. Przeraziłam się, obejrzałam, że go zaniedbywałam, i naturalnie błąd mój zaraz naprawiłam. Mieliśmy drugą edycję miodowych miesięcy.

— Za to, że cię zdradził?

— Ano, cóż robić? Tem się mężów trzyma, moja droga. Muchy na ocet się nie biorą! Ty musisz ze swoim nie mieć odrobiny taktu i sprytu. Powtarzam, twoja wina tylko!

— Zapewne—uczucia mu nie obiecywałam, i nie dałam.

— To bardzo źle, bo to i błąd i grzech. Zresztą, jak ty możesz tak żyć bez miłości? Rybią masz krew, czy co?

Zaśmiała się tym śmiechem i spojrzeniem, chcąc wywołać zwierzenie. Kazi skronie pokrył rumieniec, ale odpowiedziała spokojnie:

— Myślę, że nie doznam tych wrażeń. Nie umiem widocznie kochać, i nie pragnę! Jestem kaleka! Uśmiechnęła się smutnie, i znowu się zapatrzyła w szary, dymny szmatek nieba.

Dzwonek w przedpokoju spłoszył Tunię, spojrzała na zegarek.

— Rany Boskie, miałam o trzeciej być u krawcowej.

Kazia pożegnała ją, i poszła do domu.

Prezes spotkał ją na schodach, zmieniony na twarzy, zdyszany z pośpiechu.

— Chciałem cię szukać. Depesza od Andrzeja! — mówił, urywanym głosem, wracając z nią na górę.

— Wraca?—spytała krótko.

— Gdzież tam! Chory leży w Hamburgu. Nie mam pojęcia co robić! Awantura.

— Trzeba spytać, co mu jest, i co mu potrzeba—odparła spokojnie, biorąc do rąk depeszę. No, groźnego nic nie ma: „Zatrzymany niezdrowiem“.

— Możeby pojechać tam! — bąknął stary. Niezdrowie to podejrzane, a może miał pojedynek, jest ranny? Głowę tracę, ten człowiek do grobu mnie wpędzi!

— Przedewszystkiem wysłać depeszę z zapytaniem. Niech tatko pisze, zaraz Józefa poślę.

— Pójdę sam, bo mam po drodze interes. Ojciec twój zaraz będzie na obiedzie. Zaczekajcie na mnie.

Kazia zajęła się domem i obiadem, i swobodnie powitała ojca, ale Szpanowski chmurny był, i zatrzymał ją, kładąc rękę ną głowie i badawczo patrząc w oczy.

— Słuchajno, co się tu u was dzieje?

— Co takiego?

— Ty coś przedemną ukrywasz. Gdzie Andrzej?

— Zagranicą. Dziś była depesza, że się parę dni opóźni, bo niezdrów. Czy ojcu tak pilno go ujrzeć?—zaśmiała się.

Szpanowski usiadł ciężko w fotelu, i milczał długą chwilę.

— Wiesz, że babcia Bogucka zapisała ci w testamencie swój folwarczek, jeśli Stach nie żyje. Trzeba podać ogłoszenie we wszystkich pismach, może wreszcie jaka wieść o nim będzie. Człowiek nie może tak zginąć. Tymczasem będę tą ziemią zarządzać dla niego.

Nic nie odpowiedziała, a on po chwili znowu zaczął:

— Żebym mógł był przyszłość przewidzieć zeszłej wiosny. Pocom ja cię tu dał? To nie dla ciebie świat i ludzie, a tam bez ciebie, jakże mi pusto!

— Zabierze mnie tatuś może znowu!

— Wróciłabyś?

— O Boże!—choć dzisiaj!—wyrwało jej się nieopatrznie.

Podniósł oczy.

— Widzisz, żem ci szczęścia nie dał.

Obejrzała się.

— Nie. Tak źle mi nie jest. Jeszcze mi za wsią tęskno, jeszczem się tu nie zżyła, ale to przyjdzie z czasem. Owszem, dobrze mi, przywyknę! Tatuś tu zostanie czas jakiś. Myślę, że możeby lepiej było Zosię tu sprowadzić.

Matce byłoby to miłe, i o dziecko bylibyśmy wszyscy spokojniejsi.

Mówiła prędko, żywo, chcąc go zająć czemś innem, skierować na inny tor rozmowę.

— Muszę zostać!—rzekł ponuro Szpanowski. Nie mam żadnej dobrej nadziei, wiem, że wrócę z trumną. Dziecko warto sprowadzić, ale jak?

— Poślę po nie pewną porządną kobietę, którą znam i mogę zaufać. We dwie z boną dadzą radę.

— Dziękuję ci. Ja bo jestem odurzony tem wszystkiem. Słońca nie wielem miał w życiu, ale teraz listopadowe niebo mam w duszy. Ano trudno, praca została na pociechę.

Otrząsnął się siłą woli z apatji, wyprostował się, i począł rozpytywać o fabrykę w Grodzisku, o stosunki, o jej życie. Na tem ich zastał prezes, i z rozczuleniem spojrzał na Kazię.

— Mówię ci, jakem po niej tęsknił przez te dwa tygodnie, było nie do wytrzymania.

— Czuję kadzidło, i zmykam!—rzekła z uśmiechem, wychodząc do jadalni.

— Józefie, ktoś dzwoni. Powiesz, że obiad!—rzuciła do lokaja.

Ale służący wrócił po chwili, i—rzekł:

— To pan Radlicz. Jest w gabinecie pana i prosi, żeby pani raczyła przyjąć.

Rzuciła głową, zawahała się, wreszcie wyszła.

Radlicz czekał z kapeluszem w ręku.

— Otrzymałem depeszę od Andrzeja. Wzywa mnie do siebie natychmiast—rzekł z cicha.

— Więc co?—spytała zimno.

— Chciałem panią uspokoić, że nic strasznego i spytać, czy powiedzieć prezesowi. Miał pojedynek i ranny.

— Naturalnie, powinien pan ojcu powiedzieć. Przecie jutro będą o tem wiedziały wszystkie gazety.

— Nie odemnie, może pani być pewną.

Popatrzała na niego.

— Pewną nie jestem. Zresztą może! Może pan ma dość tego, w co mnie zaplątał.

— Ja? Panią?

— Ano, sprawa z obrazem, plotki, żem pozowała panu, historye z Kołockim.

— Że panią, kocham, wie pani, że mi nie potrzeba patrzeć na panią, by mieć ją zawsze przed oczami, wiem ja, a sprawa z Kołockim—jaka?—że on chce kupić coś, czego nie mam na sprzedaż. Widziała pani obraz?

— Nie, mam dość słuchania o nim.

— Niech pani go zobaczy. Pozować do takiego tematu mogą nawet Westalki. Zresztą nikt na świecie, nawet pani, nie może mi zabronić kochać.

Zmarszczyła brwi.

— Mówił już mi to pan i otrzymał odpowiedź. Czy mam powtórzyć?

— Nie—pamiętam, i dziękuję pani. Miłość z wzajemnością kończy się przesytem, a taka, jak moja dla pani, jest natchnieniem. Owszem, bardzom pani wdzięczny za odprawę. Nigdym tak dobrze nie pracował.

Mówił swobodnie, lekko.

— Nawet gdybym usłyszał od pani dobre słowo, miałbym zawód. Popsułby się ideał, jakby mi kto alpejskie szarotki podał na jarzynę. Wracając do rzeczy, jadę, tedy do Hamburga i przywiozę pani sakramentalną własność i urzędową miłość. W salonie ktoś jest, wolę tutaj rozmówić się z prezesem.

— Zaraz go tu przyślę. Żegnam pana.

Skłonił się sztywnie. Spojrzała nań i rzekła:

— Niech pan ten obraz z wystawy usunie. Chcę wierzyć, że pan się na mnie w ten sposób mścić nie chce. Nie o mnie już tu chodzi, plotka już poszła, ale ojciec mój nic nie wie jeszcze!

Skłonił się znowu w milczeniu.

VIII

W parę dni potem, Kazia znalazłszy chwilę czasu poszła do Ramszycowej. Zastała ją na schodach, eskortującą Lilę i angielkę do karety, pełnej pakunków.

— I pani wyjeżdża?—spytała zdziwiona.

— Jeszcze nie—wysyłam tymczasem małą do Florencyi, a za parę tygodni sama tam pojadę na czas jakiś.

— Same jadą? Nie boi się pani?

— Zdam je pod opiekę Ocieskiej!

Tu się roześmiała.

— Siadaj pani! Odprowadzimy je na dworzec i zobaczy pani bezpłatną komedyę.

Pomimo swego smutku i znękania, Kazia dała się pociągnąć. W drodze spytała:

— Jakże pani namówiła pannę Ocieską na taką ofiarę?

— Wcalem nie namawiała. Powiedziała mi, że jedzie w sobotę, więc wczoraj napisałam do

niej trzy słowa: „Korzystam, że jedziesz, żeby wyprawić z tobą małą i angielkę. Dostawię ci je na dworzec jutro.“ Na to ona mi przysłała adres kantoru nianiek i ani słowa więcej.

Kareta stanęła przed dworcem, wysiadły. Lila pierwsza dostrzegła Ocieską i pobiegła do niej.

— Masz tedy małą i angielkę—rzekła Ramszycowa spokojnie, po przywitaniu. Mieszkanie w hotelu już zamówione, tu są ich kapitały podróżne, tylko mi dziecka zanadto nie rozpieść.

— Kto dzieci ma, niech je niańczy i wozi!— odparła Ocieska. Ja wcale do Florencyi się nie wybieram i wolę jechać w gęsim wagonie, niż w dziecinnym.

— Ale w tym pociągu, którym jedziesz, mogą być dzieci?

— Pewnie, bo mnie nie stać na ekstracug.

— Otóż Lila będzie, a że jedziesz przez Florencyę, możesz je po drodze wyrzucić.

— Tyle to mogę.

Zwróciła się do Kazi, i dodała z komiczną determinacyą:

— Może pani chce posłać do Florencyi kanarki, lub drób żywy, mogę załatwić jedno przy drugiem.

Kazia i Ramszycowa śmiały się, a tymczasem Lila szukała czegoś po ziemi około siebie

i poczęła wreszcie skubać matkę, płaczliwie wołając:

— Niema—zgubiłam!

— Coś zgubiła?—A bukiecik.—No, to masz.

Rozchyliła rotundę, dała małej parę gwoździków, które miała u paska, i Lila napadła Ocieską—mówiąc prędko:

— Był tyli bukiet. Zgubiłam! Masz i wiesz, obiecałam mamusi, że nie będę jeść czekoladek. — A wiesz i Fryc jest z nami. Będzie wesoło!

— Co? Fryc!—załamała ręcę Ocieska, mierząc wzrokiem bezmiernego oburzenia Ramszycową.

Fryc, był to pinczer Lili.

— Ano, Lili żyć nie może bez niego. Mnie o niego nie chodzi, możesz wyrzucić!—odparła Ramszycowa.

Lokaj przyniósł bilety. Rozległ się pierwszy dzwonek. Ocieska, która podróżowała z jedną małą walizką, patrzała ponuro, jak do przedziału zaczęto wnosić paczki i paczuszki, jak się rozgościła angielka, i jak Lili zajęła się koszyczkiem, z którego się odzywał dyskretny pisk Fryca.

— Dobrze wam tu będzie! — zdecydowała Ramszycowa.

— Niezupełnie, braknie papugi i kilku instrumentów dętych!—mruknęła Ocieska.

Drugi dzwonek, zaczęto się żegnać.

— Lila, bądź grzeczna. Przyjadę za dwa tygodnie, i jeśli zasłużysz, kupię ci osiołka!

— Będzie dwa ze mną!—rzekła Ocieska.— Dwa tygodnie mam to niańczyć? Nie! Jeśli za tydzień ciebie nie będzie, zdaję swe obowiązki konsulowi i wyjeżdżam do Rzymu.

— Dobrze, dobrze—śmiała się Ramszycowa— albo raczej, oddaj małą do azilu jakiego. Do widzenia, a napisz z drogi. Dziękuję ci serdecznie.

Uścisnęła Ocieską, ucałowała Lilę, dała parę poleceń angielce, i zeszły z Kazią na peron.

Trzeci dzwonek. Spojrzały w okno. Ocieska, z gwoździkiem w zębach, trzymała Lilę na rękach, posępna i skrzywiona, jak uosobienie ofiary z musu. Fryc już był w objęciach Lili. Pociąg ruszył, zostały same na peronie.

— No, jestem o małą spokojna. Co prawda, z nikim innym by nie pojechała. Byłby lament straszny. A bałam się o dziecko, bo straszna szkarlatyna w mieście, i mam masę roboty właśnie po tych norach.

— A ja panią opuściłam bez uprzedzenia prawie. I doprawdy taki mi wstyd. Co sobie pani o mnie myśli?

— Myślę, że panią serdecznie żałuję. Doktór Downar opowiedział mi wszystko we wtorek.

— Wszystko zapewne nie!—wtrąciła.

— No, resztę mi opowiedziała Ocieska.

— I—co pani pomyślała?

— Ano, to, co zwykle myślę, gdy słyszę ludzkie paplanie: „*guarda è passa!*“ Niech pani się nie martwi, macochy dogląda; gdy mąż wróci, słowa nie mówi, i nie oglądając się na prawo i lewo, swoje robi: pracuje, czyta, gra, bywa, przyjmuje. Głowa do góry i prosto przed siebie. Tylko nie tchórzyć i nie ustępować. Straci pani trochę stosunków, odwrócą się od pani ci i owi, mniejsza; im mniej zostanie, tem lepszych. Rozmieni pani dużo srebra na trochę złota. Bardzo dobry handel. Ma pani trochę czasu? Pojedziemy za rogatki, mam już plac na dom dla moich protegowanych, dostałam od Ramszyca na gwiazdkę. Zaczynają zwozić materyały.

Wyszły z dworca na plac i na schodach spotkały Ramszyca z pudłem cukierków i bukietem.

— Spóźniłem się. Tam do licha!—zawołał— a chciałem podziękować pannie Ocieskiej.

— I małą otruć słodyczami. Bóg ją ustrzegł, a ciebie od miny, z jakąby Ocieska przyjęła twe podziękowanie — zaśmiała się Ramszycowa.—Już ja to załatwiłam.

— No, to mnie uwolnij od tych paczek, bo spieszę na sesyę. A panie wracają? — spytał, pomagając im wsiąść do karety.

— Nie—jedziemy za rogatki. Bądź zdrów.

Pożegnał je i skinął na dorożkę.

— Tyleśmy się widzieli w tym tygodniu!— rzekła Ramszycowa. — Urządzają jakiś syndykat nowy, a, że ja nazywam syndykaty rozbojem, i żądam od niego sto tysięcy rubli z tego rozboju na ubogich, wywija mi się, jak piskorz, niecnota. Chce mnie zbyć marnemi kilkunastu tysiącami. Co znaczy kilkanaście tysięcy! Wyjadę do Florencyi i zostawię mu moje interesa do administracyi na sześć tygodni. Zobaczymy jak sobie da rady! Czy pani mi może dziś po dawnemu towarzyszyć? Bardzo będzie zdrowo. Żadne rady i morały tyle nie zrobią, co porównanie naszych bied do innych.

— Służę, z miłą chęcią. Wyrzuci mnie pani w lecznicy potem!

Tego dnia prezes obiadował na mieście, więc Kazia zapowiedziała się macosze na cały wieczór. Gdy weszła, zastała chorą śpiącą. Usiadła tedy na uboczu i pogrążyła się w myślach. Nie musiały być wesołe, bo twarz jej była surowa i brwi ściągnięte, a wzrok apatycznie utkwiony w jednym kierunku. Wzięła do rąk machinalnie robotę, którą tu sobie przynosiła z domu, ale nie haftowała. Opadło ją bezmierne zniechęcenie i nuda.

Nie wiedziała, ile tak przeszło czasu, ani zauważyła, że macocha przygląda się jej ba-

cznie, dopiero na szelest drzwi w sąsiednim pokoju drgnęła, schyliła głowę, zaczęła szukać igły.

— Ciemno już—rzekła Szpanowska.

Zwykły wyraz swobodny, jak maska, pokrył twarz Kazi, wstała, zadzwoniła o lampę, uśmiechnęła się do chorej.

— Gdzież Zosia?—spytała.

— Ojciec ją zaprowadził do tych waszych krewnych, gdzie wczoraj z tobą była. Dziękuję ci za ten pomysł. Dziecko tak szczęśliwe, że ma towarzystwo, i ta pani zaprosiła ją na każdy wolny wieczór. Ledwie się doczekała trzeciej godziny, tak jej było pilno. Musi się doskonale bawić! Dziękuję ci, poczciwa jesteś!

Było to pierwsze dobre słowo, które Kazia usłyszała w życiu od macochy, i w takiej chwili padło. Spojrzała na chorą oczami, pełnemi łez.

— Dziecku źle bez matki — mówiła dalej Szpanowska. Będziesz ty dobra dla Zosi — prawda?

— Ależ serdecznie ją lubię, i o ile ją mieć będę, postaram się zabawić. Za kilkanaście lat, jeśli mama nie zechce ambarasu, będę jej matkować na karnawałach — odparła Kazia, siląc się na żartobliwy ton.

— Za kilkanaście lat—ho, ho! Może mnie za kilkanaście dni już nie będzie na świecie.

— Co znowu! Za dwa tygodnie będzie mama rekonwalescentką.

— Moja droga, moja matka i dwie jej siostry umarły na raka i ze mną to będzie. Zgodziłam się na operacyę, ale w wyzdrowienie nie wierzę. Ano, trudno — raz się skończy! Wiesz, byłam dzisiaj u spowiedzi, raczej ksiądz tu był i jestem spokojna. Jutro chcę rozmówić się z rejentem, zostawić wszystko w porządku. Mąż twój nie wrócił?

— Lada dzień się go spodziewam.

— Wolałabym zostawić Zosię tobie, niż ojcu. Czuję, że jej krzywdy nie dasz wyrządzić, a on tam zapracowany, zostawić ją musi na pastwę najemnic. Rodziny nie mam! Mój Boże, żebym wiedziała, że to tak prędko mnie spotka, nigdybym ciebie z Górowa nie puściła.

Kazia milczała, zmrożona śmiertelnie tym okrzykiem egoizmu. Za długoletnią poniewierkę los ją mścił, nie czuła tryumfu z tego odwetu, tylko żal, żal, że nawet ta zmiana usposobienia macochy nie była uznaniem dla niej, tylko interesem.

— I żebyś choć dobrze trafiła. Poniewierają ciebie, a wiesz czemu? bo nic nie masz!

— Ależ, mamo, jest mi bardzo dobrze! — zaprzeczyła Kazia. Mój mąż wiedział, że nie mam posagu.

— Wiedział i wie, i dlatego sobie pozwala. Ja już jestem poinformowana o wszystkiem. Tu obok zajmuje numer jakaś pani i odwiedzała mnie. Warszawianka—opowiedziała mi wszystko.

— Przy ojcu!—zawołała Kazia bez tchu.

— Nie, i ja mu jeszcze nic nie mówiłam. Aha, zdradziłaś się, nie chcesz, by ojciec się dowiedział.

— Tyle plotek krąży, po co ma się martwić ludzkiemi domysłami i oszczerstwami! Ja, doprawdy, jestem szczęśliwa!

— I miałaś minę szczęśliwą, tu siedząc przed chwilą. Myślałaś, że śpię. Moja droga— nie żądam od ciebie zwierzeń, zresztą po co! Żeby być szczęśliwą i dać sobie radę na świecie, trzeba mieć pieniądze, albo stosunki, a ty nic nie masz. Dla tego nikt o ciebie nie dba, ani świat, ani mąż, ani jego rodzina. Stary nad tobą skakał, bo myślał, że syna wyciągnie od kochanicy, jak się to nie udało i on się od ciebie odwróci—zobaczysz.

Umilkła, patrząc na młodą kobietę, haftującą przy świetle lampy.

— Powinnam powiedzieć wszystko twojemu ojcu!—rzuciła po chwili.

Kazia podniosła oczy.

— Niech mama tego nie czyni!—rzekła błagalnie.

— Powinnam—wtedy on w to wejrzy, i ciebie ztąd zabierze, a przynajmniej położenie twoje u Sanickich stanie się inne. Nie będą tobą pomiatać, bo będziesz bogatą. Ale za to przysięgniesz mi, że dla sieroty mojej matką będziesz.

Kazia poczerwieniała.

— Mamo, bez przysiąg i nie bogata uczynię wszystko, co w mej mocy, żeby wam usłużyć. Ale, doprawdy, zkąd mamie takie myśli dzisiaj?!

— Nie wmawiaj mi próżnej nadziei. Nie chcesz, by ojciec prawdę wiedział—nie powiem, ale mi przysięgnij, na pamięć swej matki przysięgnij, że Zosię będziesz kochać, że nią się zaopiekujesz, gdy mnie nie stanie.

— Przysięgam, matko, ale już dosyć o tem. Przyniosłam zajmującą książkę, poczytam głośno!

— Czytaj, ale tę, co mi tu zostawiła siostra Klara. Mnie już nic nie zajmuje, oprócz Zosi.

Kazia zaczęła czytać „Naśladowanie Chrystusa.“

Minęła godzina, chora zdawała się drzemać, gdy wtem wsunęła się cichutko siostra Klara.

— Przyszedł lokaj po panią!—rzekła.

Kazia wyszła, wróciła po chwili.

— A co tam?—spytała Szpanowska.

— Mąż mój przyjechał! — odparła, stojąc wahająca.—Muszę iść — dodała po chwili głuchym tonem.

— Idź! Ja ojcu nic nie powiem, boś przysięgła! Pamiętaj!

Kazia pochyliła się, by ją pożegnać, poczuła na głowie ciężką rękę macochy.

— Idź. Jutro operacya, może się już nie zobaczymy. Bardzo mi ciężko. Bądź dobra dla Zosi za to, co ja dla ciebie zrobię. Pamiętaj— wierzę ci—bądź zdrowa! Wspomnisz mnie kiedyś z wdzięcznością jeszcze! Jakie to jutro straszne!...

— Przyjdę rano!

— Przyjdź, zabierzesz Zosię!

W pół godziny potem wrócił Szpanowski.

Chora ucieszyła się dzieckiem, ale Zosia była z hasana i senna, więc ją położono spać w sąsiednim pokoju, a Szpanowski usiadł przy łóżku i spytał:

— Kazia dawno wyszła?

— Była parę godzin. Wezwali ją do domu, bo mąż przyjechał. Jutro rano tu będzie, zabierze małą na cały dzień. Prosiłeś rejenta?

— Będzie o dziesiątej!

— To dobrze. Sprzedałeś te akcye? Kupiłeś bilety?

— Tak.

— To mi je połóż do szufladki. — Czy jest równo pięćdziesiąt tysięcy?

— Trzysta kilkanaście rubli więcej.

— Te zostaw u siebie. Bilety zawiń w papier, zapieczętuj swoim sygnetem, i daj mi tu atrament i pióro.

Spełnił wszystko. Tedy się uniosła na posłaniu i napisała coś na pakiecie, potem schowała go pod poduszkę i opadła wyczerpana.

— Źle ze mną! — rzekła posępnie.

— Mówiłem dziś z doktorem Morawskim. On ręczy, że operacya cię uratuje.

— Ale Downar tego nie mówi.

— Downar chce może uchodzić za cudotwórcę.

— Nie, tylko on nie blagier. Czyś ty kiedy słyszał, żeby kto z raka wyzdrowiał? Niema o czem mówić. W najlepszym razie pomęczę się czas jakiś jeszcze, ale co to warte? Mówmy o interesach. Górów przejdzie na ciebie i Zosię; miljonową będziesz miał dziedziczkę, ty jej jeszcze drugie tyle fortuny dorobisz. Będą się o nią kiedyś dobijali! Chcę, żeby Kazia ją wychowała.

— Kazia! zdumiał.

— Tak. Ona dostanie te pięćdziesiąt tysięcy odemnie jutro ciepłą ręką, żeby je miała dla siebie. Za to przysięgła mi opiekować się Zosią.

Szpanowski podniósł oczy. Takie to było niepodobne do Kazi.

— Chcesz, żeby mała u niej była! Co na to powiedzą Saniccy? Mogą sobie przykrzyć dziecko w domu.

— Bądź spokojny. Będą inaczej traktować Kazię bogatą.

— Ależ ona tych pieniędzy nie przyjmie.

— To moja rzecz! A ja ci mówię, że przyjmie i spełni moje polecenie. A gdyby tobie o nich wspomniała—pamiętaj, że to moja ostatnia wola i życzenie, żeby ona była matką dla Zosi. Pamiętaj, pamiętaj! wymagam tego i—proszę! dodała.

Szpanowski poruszył brwiami.

— Da Bóg—sama wychowasz małą—rzekł z westchnieniem.

Nazajutrz gdy Kazia przyszła, Szpanowska zażądała, by została z nią sama.

Rozmawiały pół godziny, potem Kazia wyszła, prowadząc Zosię za rękę. Znać było, że płakała. Ucałowała gorąco ojca.

— Przyjdę wieczorem—szepnęła mu, i wyszła prędko.

IX

Andrzej z Radliczem przyjechali wieczorem i razem zjawili się w pustym domu.

Sceny, której się Andrzej obawiał, nie było tedy na razie. Służący. z własnego impetu pobiegł po Kazię. Przyszła, i jakby nic, spytała, czy życzą jeść, lub herbaty, tłomacząc, że oboje z teściem obiadowali na mieście. Ledwie potem spojrzała na męża. Potem zajęła się domowem gospodarstwem, poprosiła ich do jadalni i zabawiała swobodną rozmową o wypadkach miejskich. Mówiła tylko z Radliczem bo Andrzej ponury, wściekły, palił papierosy i pił herbatę. Wreszcie wstał, i rzekł:

— Musiało się nazbierać masę interesów. Państwo wybaczą, muszę! muszę przejrzeć korespondencyę.

Gdy wyszedł, Radlicz się roześmiał z cicha. Zmarszczyła brwi, i spojrzała nań surowo.

— Pana to bawi?

— Bawi!—odparł zuchwale. Cieszę się, gdy kto cierpi. Głupcy nic innego nie są warci. I pani nawet nie ciekawa widzieć, co tam się stało?

— Wcale. Kto cierpi, nie jest głupi, ale stać się może złym. Pana to może bawić, mnie—nie.

— Nie myślałem o pani cierpieniu!—tłomaczył się.

— I słusznie. Mnie cierpieć nie wolno—odparła twardo.

— Pani cierpieć nie powinna, poprawił, obejmując ją gorącem spojrzeniem.

Uśmiechnęła się smutno, i wstała.

— Teść przyszedł!—rzekła, wzdrygając się.

— Bomba pęknie! Zmykam. Nie myślę, żeby bito tłustego cielca na powrót marnotrawnego syna!

Prezes poszedł wprost do gabinetu syna.

— Raczyłeś przecie wrócić! — zagaił wściekły. — Może zechcesz zastanowić się i opamiętać?

Andrzej wstał, i patrzał zuchwale.

— Nad czem mam się zastanawiać! Miałem interesa i nikomu, sądzę, nie jestem obowiązany się tłomaczyć z parotygodniowej nieobecności.

— Zapewne, do sądu cię nie wezwą, ani do więzienia za to nie wsadzą.

— No, więzienie mam tutaj!—mruknął ponuro.

— Masz dom, obowiązki, stanowisko, opinię i jesteś żonaty! Przed tem będziesz się musiał tłomaczyć.

— Przed żoną może? — spytał szyderczo. A ja ojcu zapowiadam, że ani myślę, ani chcę, ani będę się usprawiedliwiał. Ojciec mnie ożenił, ojciec wie, w jakich warunkach. Zastrzegam sobie swobodę i będę jej używał!

Prezes patrzał na niego oszołomiony.

— Andrzeju, czyś oszalał? Widzę, żeś niepoczytalny w tej chwili, i mówić z tobą nie będę. Jak oprzytomniejesz, sam zrozumiesz, ileś głupstw popełnił. Gdzie byłeś ranny?

— Głupstwo, draśnięcie!—burknął.

— Widziałeś żonę?

— Widziałem. Miała rozum milczeć, i niech to jej ojciec i nadal zaleci.

Prezes patrzał nań, ruszył ramionami i wyszedł.

Nad domem zawisła ponura cisza. Andrzej wyszedł o ósmej, stary zamknął się u siebie. Kazia załatwiwszy domowe sprawy, poszła na górę, i szyła, rozmyślając, że znowu, jak w Górowie, jest istotą zawadzającą i nigdzie, nikomu, ani miłą, ani potrzebną.

O jedenastej kazała gasić światło. Andrzeja nie było, słyszała, że wrócił dopiero o trzeciej

i gwizdał jakieś kuplety. Wracał z hulanki widocznie.

Nazajutrz w drzwiach lecznicy spotkała Kazia Downara. Operacya była skończona.

Nie pytając, po oczach jego jasnych poznała, że był kontent.

— Uratowana?—zawołała radośnie, wyciągając doń obie ręce.

Skinął głową, uśmiechnął się, i ująwszy w swe olbrzymie łapy jej drobne dłonie—rzekł:

— Udało się. Tymczasem niebezpieczeństwo zażegnane. Dobrze. Dziecko nie zostanie sierotą. Ale pani niech tam nie idzie, wieczorem chyba. A czego to pani tak źle wygląda, anemia się zbiera! Paskudna choroba. Moc weźmie, nerwy starga. Nie trzeba się poddawać.

— Czy to można być zdrowym, kiedy się chce?

— Młodemu można i nawet trzeba! A nie tęsknić do pola, nie tęsknić, ono śpi, odpoczywa teraz. Zima, chłód, głód, ludzie cierpią. U Wieczorków, na Solcu, mówili mi wczoraj: ta pani, co ją pan doktór przysłał, to ino wejdzie, i już jakby słońce weszło! Zanieść im słońce w tę suterynę, wyręczyć mnie starego, bo niemam czasu. A chorobie się nie dać!

— Idę, profesorze, uśmiechnęła się.

Popatrzał jej bystro w oczy.

— Wie pani, kiedy człowiek głupio czas marnuje? Kiedy się nad sobą żali.

Zarumieniła się, spojrzała nań wdzięcznie i rzekła:

— Dziękuję, profesorze!

Uścisnęli jeszcze raz dłonie, i rozeszli się.

Downar spojrzał na zegarek, potem do notatnika.

— Mam trzy godziny dla swoich!—zamruczał, i ruszył na Smolną, nie uważając wcale, że o sto kroków za nim szła żona. Doprowadziła go do rogu Nowego-Światu, i w kwadrans po nim zadzwoniła do mieszkania w znajomej sobie kamienicy.

Po chwili otworzono jej, i w progu, zamykając sobą wejście, stanęła stara kobieta w czepcu i kaftanie, typowa chłopka.

— Chcę się widzieć z doktorem Downarem.

Baba popatrzała na nią, ruszyła ramionami.

— *Ne suprantu!*—odparła cofając się, i zamykając drzwi, ale Downarowa nie ustępowała.

— Nie udawaj, wiedźmo! Jestem żona doktora Downara i będę się z nim widzieć.

Gwar kilku głosów słychać było w mieszkaniu, śmiechy, ożywioną rozmowę.

— Idź, zawołaj mi tu zaraz tego swego pana! tupnęła nogą Downarowa.

Baba powtórzyła swoje: *ne suprantu*, a że w tej chwili Downar zawołał: Barbikie—snać to jej była nazwa — zatrzasnęła Downarowej drzwi przed nosem! Dzwoniła nadaremnie kilka razy, wreszcie zeszła, i wyszukała stróża, który był wściekły, bo mu właśnie ktoś skradł miotłę:

— Czy tu ktoś jest u doktora Downara?

— Abo ja wiem!—mruknął.

— Co to za baba tam służy u niego?

— Meldowana je. Baba, zwyczajna baba.

— Dodzwonić się nie można.

— A pani do onej baby ma jenteres? Ona ci nie gada po ludzku, żmujdzinka je, czy jakoś tak.

— Chcę się widzieć z doktorem.

— On ci nie przyjmuje państwa tutaj, ino czasem prosty naród. Niech pani ze swą chorobą idzie do jego szpitala.

Tu ujrzał chłopaka, wyglądającego z suteryny i zwrócił się do niego:

— Niczyja robota, ino twoja, obwiesiu! Gdzie je miotła, kondlu. Tyś ino przeleciał bez bramę, i już miotły niema.

— Miotła, miotła!—zaskrzeczał chłopiec.— Po ki dyabeł mi ten ożóg. Wasza może na niej dymnęła na Łysą Górę!

Stróż poskoczył do okienka, zaczęła się szermierka językowa, podwórko zaludniło się gapiami. Downarowa wyszła na ulicę.

Gdy Downar przyszedł do domu na obiad, znalazł w mieszkaniu nieład, a na środku jadalni wielki kufer, do którego żona znosiła garderobę. Lokaj i służąca pomagali jej w tem tak pilnie i ochoczo, jakby to była ich własna wyprawa, a w drzwiach od kuchni stała gruba Franciszka kucharka, i uśmiechała się, założywszy bezczynnie ręce na fartuchu.

— No, co się stało?—zagadnął.

— Wyjeżdżam.

— Dokąd? Co tak pilno?

Nie było odpowiedzi. Zrozumiał tedy, że pytać dalej nie warto. Zrozumiał, że Franciszka nie gotowała obiadu, i że najlepiej zrobi, gdy zniknie. Nie rzekł słowa, tylko zaciął zęby, oczy mu dziwnie pociemniały, zwrócił się i wyszedł. Na schodach spotkał Andrzeja Sanickiego.

— Profesor wychodzi, a ja właśnie chciałem się poradzić.

— Służę! Wstąpię do pana. Jakoś pan istotnie na chorego wygląda.

Weszli do gabinetu Andrzeja.

— Chory właściwie nie jestem, ale miałem wypadek z bronią, byłem ranny w bok, lekko

zresztą, ale musiałem zawcześnie tu wrócić, i gorzej mi znowu dolega.

Downar go obejrzał.

— Trzeba poleżeć dni kilka, nic złego, ale się nie goi rany, biegając po mieście. Mięśnie poszarpane; tylko o parę cali na lewo, toby pan poleżał trochę dłużej, bo do Sądu Ostatecznego. Paskudne bywają wypadki z bronią.

— Nie będę leżeć, profesorze. Nie mogę!

— Ano, jak pan nie może, to nie!—odparł flegmatycznie Downar. To opatrzę pana codzień wieczorem przez pierwsze trzy dni, a potem nauczę żonę pańską jak robić opatrunek; za dwa tygodnie będzie pan zdrów.

— No, nie, żona mnie opatrywać nie będzie, ona wcale nie wie o wypadku, i nie chcę, by wiedziała. Profesor mi raczy dochować sekretu.

— Naturalnie, ale ja tu jeszcze panu coś przepiszę. Cały system nerwowy rozklekotany, jak stuletni fortepian. Nigdym pana nie widział w tak złym stanie! Trzeba się zaszanować, panie Andrzeju. Sypia pan dobrze?

— Wcale nic prawie. Miałem ostatniemi czasy masę zajęcia i nieprzyjemności.

— Zajęcia i owszem—to zdrowe, a nieprzyjemności... w pana wieku i położeniu być nie powinno, przy dobrej woli.

— Dobrej woli do troski nikt nie ma! — uśmiechnął się Andrzej z przymusem.

— Ha! takby się zdawało, ale człowiek jest, jak ten robak z gadki: siedział w śliwce, chciał lepiej, wlazł w orzech, źle, wlazł w korę drzewną, źle, więc szukając lepiej, wlazł w chrzan, wtedy się uspokoił. Nie róbcie tak, panie Andrzeju. Troski służą geniuszom, bo wtedy najlepiej tworzą, ale my, ludzie zwyczajni, jak się poddamy troskom, nie tworzymy nic, tylko piekło sobie i swoim. Nerwy dzisiejsze nie obrachowane na znoszenie nieszczęść i klęsk; pan swoje niech oszczędza, bo będzie źle. Jako lekarz i przyjaciel pana ostrzegam. Nie szukać chrzanu.

— Profesor taki uroczysty, jakbym stał nad grobem.

— Bo źle jest z panem! Do grobu wszyscy dążymy, jedni powoli, inni takim pędem, jakby, licho wie, co za nagroda ich tam czekała. Mniejsza zresztą o grób, bo ten nie minie, ale nie traćcie zdrowia, samochcąc. Jak się pan nie zastanowi, nerwów w garść nie weźmie, to czeka pana gorsze niż grób: niedołęstwo, rozstrój, osłabienie umysłowe i fizyczne, zanik woli i sił, jednem słowem: ruina i śmierć, na długo może przed grobem jeszcze. To dopiero prawdziwe nieprzyjemności będą! No, a teraz, do widzenia, panie Andrzeju, i darujcie szcze-

rość, alem wasz przyjaciel stary i wiele nędz widziałem, które można było zażegnać we właściwym czasie.

— Dziękuję, profesorze. Jeśli było waszym zamiarem mnie wystraszyć, toście swego dopięli.

Przeprowadził go do przedpokoju, tam Downar jeszcze się zatrzymał, i rzekł:

— Niech też pan uważa na żonę. Młoda jest i zdrowa, ale to kwiat. Zbladła i zmarniała w mieście: trudno się aklimatyzuje widocznie.

— Jeśli kwiatem ją profesor raczy nazywać, to chyba polny. W cieplarni jej nie chowano stanowczo, a tu robi, co jej się podoba.

— Jak nic może wpaść w anemię, a potem byle co z nóg wali!

I poszedł Downar do restauracyi na obiad, i myślał o swych fachowych sprawach, o biesiadzie na Smolnej, mimochodem o żonie.

Od dawna pożycie domowe traktował, jak reumatyzm zadawniony, do którego wreszcie człowiek tak nawyknie, że mu prawie nie dolega.

Do Andrzeja przyjechał Markham z Grodziska, a że konferencya fabryczna się przewlekła, został na obiad. Cenny to był współbiesiadnik, rozmowa była swobodna, a tematu, jak zwykle, dostarczali ludzie i plotki miejskie;

po obiedzie zjawiło się kilka osób z rodziny, i zaledwie późnym wieczorem domowi zostali sami, i prezes rzekł:

— Obiecałeś Markhamowi być jutro w fabryce. Wróćże wcześnie, bo jutro nasz „*fix*", i koniecznie być musisz.

Jeśli znajdę tam wszystko w porządku, to wrócę.

— Żadne „jeśli"! Musisz być — i musicie temi czasy pokazać się razem w teatrze. Mam dosyć plotek i skandalów.

Kazia milczała, zajęta robotą.

— Nic nie muszę!—wybuchnął Andrzej — i nic sobie nie robię z plotek gawiedzi! I nie myślę grać komedyi, bo mi za to nie płacą. Nie jestem zresztą w humorze bawienia ludzi, ani wysiadywania w teatrze. Mam masę zajęcia.

— Wolisz bawić ludzi sobą: winszuję!—oburzył się prezes. — Masz siebie za bohatera, a wszyscy drwią za twemi plecami.

— Z czego? Że żona moja pozuje malarzom do obrazów? Mogą mi to w oczy powiedzieć, pewnie się nie wzruszę, ani będę kruszył kopii.

— Słuchaj, chyba nie rozumiesz, co mówisz!

— Owszem, to ojciec zapomniał moich warunków przedślubnych. Zastrzegłem sobie zupełną swobodę. Ojciec lekceważył moje żądanie,

teraz je pozna. Proszę brać przykład z niej. Milczy, zgadza się na wszystko, bo mi nic nie może zarzucić. Biorę i daję zupełną swobodę. Inni mężowie mają dwie miary, ja jedną dla nas obojga. Nie pytam, co ona czyni i jak życie swoje urządza, w zamian nie pozwolę na żadną kontrolę i kierownictwo.

Kazia podniosła głowę, spojrzała na niego jasno, smutno i bardzo łagodnie.

— To prawda. Rozmówiliśmy się przed ślubem, jak dwoje spólników o interesie materyalnym. Nie dawałam uczucia, i nie wymagałam. Pan chciał się ożenić dla owej sumy legowanej przez matkę pod tym warunkiem, ja chciałam się usunąć przez wzgląd na ojca. Chciałam mu dać spokój i zadowolenie pewnością, żem szczęśliwa. Była to szalona utopja. Spadłam tu tak obca i dzika, tak niewyrobiona i młoda, że pewnie winna jestem obecnemu swemu położeniu. Nie znam ludzi, ani tego świata, a najgorsza, że nie umiem kłamać i udawać, i wedle siebie ludzi sądziłam. Jestem bardzo winna, ale też i ukarana. Jestem panu ciężarem i kulą galernika, ludziom przedmiotem pogardy i pośmiewiska, i wedle tego, co pan zamierza czynić, niemożliwem będzie ukryć przed ojcem prawdy naszego życia. Wszystko, com budowała, czegom pragnęła, nad czem pracowałam, w gruzy się rozsypie. Ale pan nie winien, nie

pan cierpi, więc jest bezwzględny. Tylko panu jeszcze szczęście wróci i życie się odnowi, bo pan mężczyzna, pan władca swej doli i niedoli, tylko dlatego trzeba, żebym ja się usunęła z drogi. Jestem w waszym domu niepotrzebna, a między wami kamieniem obrazy. Po co mamy sobie robić piekło, ludziom widowisko? po co mamy nawet udawać, jak ojciec chce, dla formy pustej? Dajcie mi odejść! To jedyne rozwiązanie kwestji.

Obadwa patrzali na nią, obadwa w głębi zawstydzeni, żaden się nie odezwał.

Ona raz zacząwszy, nabierała mocy i potrzeby wypowiedzenia do dna swych myśli i uczuć.

— Ja czuję, że tu nie wyrosnę; ludzie mnie, a ja ich nigdy nie zrozumiem, ani się pogodzę z tym światem. Obcą jestem i obcą pozostanę, nie umiem żyć w tłumie, wciąż sądzona, szpiegowana, krytykowana, potępiana. Nie jestem ani lepsza, ani gorsza od nich, jestem inna. Przybyłam z głową, pełną utopji. Chciałam serdecznie być panu przyjacielem i towarzyszką, ojcu, jak rodzoną córką, dla siebie znaleźć jaki cel, zajęcie. Tęskniłam i tęsknię szalenie do wsi; żeby się przemódz, pracowałam i myślałam o innych. I co z tego?... dom stał się panu więzieniem, moje towarzystwo przymusem nieznośnym, na który cała dusza pana się bun-

tuje; ojciec z mojej racji ma upokorzenie i wstyd wobec ludzi, a mnie uczyniono kochanką pana Radlicza, awanturnicą, urządzającą schadzki pod firmą dobroczynności. Cierpiałam w milczeniu, myśląc, że może jeden ojciec przynajmniej zachowa swój spokój, ale i to mi nie dane, więc proszę was: dajcie mi odejść!

Zwróciła się do Andrzeja:

— Robię scenę, i to bardzo nie w porę, kiedy pan ma wiele przykrości, ale tyle już ludzie temi czasy o nas gadali, że gdy zniknę z horyzontu, mniej będzie wrzawy. Jutro rano rozmówię się z ojcem, i mogę zaraz wrócić do Gurowa.

Prezes wstał i słowa nie rzekłszy, wyszedł.

Andrzej pod jasnym jej, prawym wzrokiem oczy spuścił, i nagle poczuł się tak upokorzonym, tak głupim, marnym, nikczemnym, że, jak niedorostek, rzekł bezmyślnie:

— Com ja winien? Okoliczności tak się podle złożyły. Chory jestem, jak pies, wszystko mnie drażni. Cóż znowu?... nie myślałem, żeby z tego jutrzejszego fiksu i tego teatru miała być awantura. O co chodzi? żeby się pani ojciec o niczem nie dowiedział? Odwiedzę go jutro rano, będę tu wieczorem.

— Chodzi nie o jutro, lecz o całe życie! Daj mi pan odejść, zanadto mi tu ciężko.

— Odejść... jak pani chce! Żeby pani była wcale nie weszła do tego domu! Teraz mi obojętne. Pani chce odejść, wyzwolić się dla kogoś, dla Radlicza może.

Zaśmiał się gorzko.

— Ja pani w niczem nie krępuję przecie. Jestem tak znękany i wyczerpany, że tak nagle zdecydować się nie mogę. I pani niech się zastanowi. Prawda, byłem bezwzględny, przepraszam.

Na twarzy jej odmalowało się wielkie zmęczenie i zawód.

— Więc ma zostać, jak było! — szepnęła głucho.

— Pani tak chciała!

— O, nie tak, nie tak!—potrząsnęła głową.— Gotowam była pracować i żyć bez miłości, ale nie w nienawiści być i żyć.

Wzdrygnęła się, podniósł oczy.

— Nienawiść czułem i ja w pani, nie starała się pani niczem mnie dla siebie zjednać.

— Owszem, starałam się panu nie zawadzać, nie narzucać swą obecnością. Byłam wzięta na gospodynię domu, spełniałam mój obowiązek.

— Tak, spełniała pani swój obowiązek, powtórzył. Pani jest uosobieniem chłodnego rozsądku i gospodarności, przynajmniej dla mnie. Inni inną panią znają zapewne. Na obrazie

Radlicza nie gospodaruje pani podobno, ale kocha i marzy.

Żachnęła się, wstała, rzuciła na stół robotę.

— Dlaczego pan to mówi, wiedząc, że to fałsz?

— Tego nie wiem. Radlicz się wcale nie zapiera, że panią kocha, cały świat was łączy, a trudno wierzyć, żeby młody mógł żyć bez miłości. Zapewne, powie pani, że na straży stoi katechizm, ale nie bardzo wierzę w ludzkie wynalazki przeciw żywiołowym siłom.

— Gdybym pokochała, wyznałabym to przedewszystkiem panu!—odparła.

— Po co? Żeby mnie upokorzyć?

— Upokorzyć? Jakim sposobem?—zdziwiła się szczerze.

Popatrzał na nią i ruszył ramionami.

— Istotnie—pani niema pojęcia o miłości!—rzucił niecierpliwie.

Wstał także i syknął z bólu. Przy ruchu uraził ranę i pobladł, dotykając boku.

Zauważyła to, ale nic nie rzekła. Wtedy on ozwał się twardo:

— Może pani śmiało tryumfować i drwić ze mnie. Rywalka pani mnie zdradziła, wystrychnęła na dudka, mąż jej mnie postrzelił. Musieli to pani ludzie dawno donieść. Miała pani rozkoszną chwilę zemsty.

— Ani mi ona była rywalką, bom pana nie kochała, anim czuła rozkosz odwetu, bo mnie pan nie okłamywał. Żal mi było pana.

— Tego mi pani nie okazała.

— Owszem, przed chwilą, gdym chciała się usunąć.—Pomyślałam, że gdybym ja kiedy pokochała, najcięższym by mi był pana widok i obecność, i—prawa.

Spojrzeli sobie teraz w oczy, wyciągnął do niej rękę.

— Zostanie pani? Jeszcze raz przepraszam, będę na przyszłość uważniejszym.

Bez zapału i wiary podała mu dłoń.

— Pójdę, powiem ojcu! — szepnęła z westchnieniem.

— Ja się położę. Może zasnę!

Zawahała się i przemogła.

— Jeśli pan chce, umiem ranę opatrzeć. Codzień w lecznicy to czynię, mam wprawę.

— To już za wiele zaparcia siebie i poświęcenia. W lecznicy są bliźni, a ja wróg i kat. Dobranoc.

Nazajutrz prezes zastał ich oboje przy rannej herbacie. Musiała go Kazia z wieczora bardzo dobrze usposobić i uspokoić, bo na powitanie pocałował syna w głowę i rzekł wesoło.

— Więc tedy Downar znowu cudu dokonał z twoją macochą, córuś. Wartoby chorą odwiedzić.

— Idę tam zaraz. Ale większy cud, że jest teraz tak dobra dla mnie. Czy wie, tatuś, że gdy myślała, że umrze, oddawała mi Zosię na wychowanie i opiekę?

— Niech żyje i niech ją sama chowa!

— Pójdziemy razem do lecznicy — rzekł Andrzej.

— To nie jedziesz do Grodziska?

— Ano nie, bobym musiał wracać przed wieczorem dla tego zebrania.

— To dobrze, chłopcze. Powinnibyście być z wizytą u starych Markhamów i u tych przeklętych Wolskich.

— U Wolskich!—skoczył Andrzej.

— Nigdzie nie będziemy!—zdecydowała spokojnie Kazia. — On jest niezdrów i powinien siedzieć w domu, najlepiej nawet, gdy się położy, a ja mam wyżej głowy roboty z Ramszycową, która wyjeżdża temi dniami, i zdaje na mnie cały swój kram.

— Winszuję, to już cię wcale nie zobaczę.

Uśmiechnęła się.

— Jak gdyby tatuś w domu dużo sam przebywał! Wrócę na obiad i na wieczór, jak zwykle. Dziś nawet wcześniej, bo muszę kolacyę przygotować.

Andrzej kazał konie zaprzęgać, i — rzekł, podsuwając jej *Kurjera*.

— Co wolisz: „Hugonotów“, czy „Lohengrina?“ Wezmę lożę, to i ojcowie z nami pójdą.

— Lohengrina—pojutrze. Dobrze?

Prezes z pod oka na nią patrzał i zachwycał się, i radował. Nie wiedząc, jak okazać swe ukontentowanie, począł pogwizdywać dyskretnie. Służący oznajmił, że konie gotowe.

— Nie zawcześnie będzie! — rzekł Andrzej.

— To się przejedźcie do Łazienek.

— Ależ o jedenastej nie wcześnie!—zaprotestowała Kazia, sprzątając pośpiesznie przy bufecie.

Gdy wsiedli do powozu, Andrzej się odezwał.

— Co za zgroza na propozycyę tych Łazienek!

— Istotnie, przeraziłam się na myśl, jak to panu byłoby przykre. Bywał pan tam w szczęśliwszych warunkach...

— Tak, spotkała mnie pani nawet parę razy w Alejach. Jak to już dawno! Ale czy pani sądzi, że gdy kiedy ze swym wybranym tam pojedzie, to on tam z panią pierwszą będzie.

— Nie, tego nie myślę, ale bym chciała być ostatnią. Tracić jest ciężej, niż wcale nie mieć.

— Pani to zna?

Zarumieniła się mocno.

— Gdybym nie znała, nie byłabym tu z panem.

— Ach, prawda, miała pani narzeczonego.

Zamyślił się.

— A jeśli on wróci? i wróci po panią?

— Powiem panu szczerze i otwarcie. Ale to jeszcze jedna z moich utopii. Nie wróci już! A gdyby wrócił, to nie do mnie.

— Kochała go pani tak bardzo?

Nie odpowiedziała. On poczuł falę nielogicznej złości i niechęci, coś jakby zazdrość o to uczucie kobiety, o którą nie dbał, której nie kochał, ale która z prawa była jego własnością.

— Wolskie!—szepnęła Kazia, kłaniając się.

Uchylił i on kapelusza.

— Szlag mamę ubije!—zauważył.—Skamieniała na nasz widok. Ciekaw jestem, co będą teraz gadać! Ja byłem śmiertelnie ranny w pojedynku, pani odesłana do rodziny! Rozwód w konsystorzu. Pogłupieją.

— Wcale. Powiedzą, że jestem potwór, Messalina, żem pana potrafiła okłamać lub przebłagać, albo, że sobie nawzajem tolerujemy zdrady i zuchwale stawiamy czoło opinii.

— Co prawda, mają trochę racyi. Szczególna z nas para. Mówimy sobie „ty“ przy ludziach, „pan“ i „pani“ gdy jesteśmy sami, nie mamy żadnych tajemnic, a jesteśmy wro-

gami, pani mi się zwierza o eks-narzeczonym, ja pani wyznaję swą miłosną porażkę.

— Nie okłamujemy siebie, dzięki Bogu!

— Tylko oto idziemy okłamywać ojca! — zakończył, bo powóz stanął przed lecznicą.

— Dla tego kłamstwa, gotowam na wszystko.

— Nawet na pozostanie w moim domu?

— Nawet. I wdzięcznam panu za towarzystwo w tej chwili, bardzo wdzięczna.

— Trudno tę wdzięczność okazać.

— Niepodobna. Ani panu potrzebna, ani miła. Ale zobaczy pan, że, za ofiarę ze siebie, dostanie pan od losu nagrodę za mnie.

— Wygodnie jest mieć los za kasyera. Ale jestem teraz w takiem usposobieniu, że trzeba cudu, by mi coś mogło zrobić przykrość lub przyjemność.

Spojrzała nań z uśmiechem.

— A ja zakład stawię, że sprawię ten cud.

— Pani?

— Ja, jeśli pan zechce ze mną pójść ztąd jeszcze na godzinę, z wizytą.

— Pójdę przez prostą ciekawość.

Szpanowski wyszedł na ich spotkanie, wypadła też Zosia, dopominając się, że chce iść do Maniusi i Felisia, i powitała ich uśmiechem Szpanowska.

— Zupełnie nas pan Kazi pozbawił. Wpadnie na chwilę, i już ją coś, a raczej ktoś do domu ciągnie.

— A mnie się zdaje, że jej nigdy w domu niema—odparł swobodnie.

— To ty hulasz po świecie!— rzekł wesoło Szpanowski. Od tygodnia codzień ciebie czekają.

— Żona mi dokumentnie zmyła głowę wczoraj za to, i tak wystraszyła, że dziesiątemu zakażę bałamuctwa. Teraz będę siedzieć w domu, aż mnie sama wypędzi.

— To ty, Kaziu, ostro rej wodzisz w domu!— zaśmiał się Szpanowski.

— Ma racyę—dodała Szpanowska! Ma młodego, ślicznego chłopca, niech go pilnuje, bo ukradną.

— Nie dam się wziąć!

— Gadanie. Nie wierz temu, Kaziu, i pilnuj sama swego. To najbezpieczniej, słyszysz?

— Słyszę, mamo, ale on żartuje. Nie miałam prawa i racyi do zmycia głowy, bo się nie bałamucił, ani bawił za granicą! Miał interesa. Teraz go istotnie trochę w domu przetrzymam, bo niezdrów i przepracowany.

Reperowała pilnie jakąś okaleczoną Zosi lalkę, i była mu tak wdzięczna, tak wdzięczna, że nie śmiała spojrzeć!

A on patrzał na jej pochyloną, złotą głowę, i zauważył raz pierwszy, że zbladła i zmizerniała, sieć żyłek miała na skroni, i usta ledwie różowe. „Młoda jest i zdrowa, ale to kwiat“, przypomniał słowa psychologa Downara i żal... mu się jej zrobiło.

— Będę miał do wiosny dużo roboty, nim się to zorganizuje, ale potem chciałbym się trochę uwolnić, wyjechać na odpoczynek. Zeszłe lato odsiedziałem w tym skwarze, z powodu małżeństwa, teraz muszę to powetować. Kazia też zmarniała w mieście, potrzebuje powietrza i ciszy.

— Daj nam ją pan do Górowa na lato!— zawołała Szpanowska, a Szpanowskiemu zabłysły oczy.

— No nie—zaśmiał się Andrzej. Nie dam jej nikomu.

— Ależ nie myślę was rozłączać. Razem!

— Ciebie znudzi wieś prędko! — westchnął Szpanowski.

— Kaziu, użyj swego wpływu. Wstyd ci będzie, żeby się znudził. Przyjeżdżajcie!

Kazia podniosła oczy do okna, na ołowiane niebo.

— Tak jeszcze daleko do słońca i lata— rzekła.

— Ja chcę do Maniusi i Felisia!—zawołała grymaśnie Zosia, tupiąc nogami.

— Pójdziesz, pieszczotko, Kazia cię zaprowadzi.

— Ja chcę zaraz. Ja nie będę czekać.

— Można zaraz!—rzekł Andrzej. Zabierzemy ją ze sobą—i zdamy stryjence do kompletu.

Rad był okazyi, by się uwolnić, ale gdy się znalazł w powozie, nie pilno mu było do domu.

— Cóż, rada pani ze mnie?—spytał.

— O, tak wdzięczna. Nie śmiałam spojrzeć na pana ze wstydu, że pan tak musiał kłamać z mojej racyi.

— Wcalem nie kłamał. Prawdą było, że wczorajsza pani propozycya rozstania mnie wystraszyła. Czy pani sobie może wyobrazić, jakby mnie ojciec przyjął, żebym się na to zgodził. Nie kłamałem też mówiąc, że jestem nie do wzięcia, bo istotnie nie potrafiłbym kochać i pożądać, a i nie dam pani komu, bo mi gospodyni w domu potrzebna. Z nas dwojga nie ja kłamałem, ale pani.

Mówił po francusku, co obraziło Zosię.

— Mówisz coś na mnie! Jak śmiesz? Poskarżę się mamusi!

Roześmiał się.

— Bądź spokojna, ani myślę o tobie.

Zwrócił się do Kazi, i dodał po francusku:

— Milutkie stworzenie. Żeby było moje, tobym zabił!

— Egoistka! Będzie jej dobrze na świecie!— zdecydowała filozoficznie. Zaprowadzę ją do stryjenki, niech pan wraca do domu.

— A ten cud, co pani miała sprawić?

— Chce pan naprawdę! To proszę chwilę zaczekać.

Wróciła zdyszana, rozjaśniona, i—rzekła do stangreta z uśmiechem.

— Na Pańską, Walenty, do mojej kamienicy.

A Walenty też się uśmiechnął, a potem się obejrzał na Andrzeja i głową pokręcił.

Ruszyli, ale po drodze Kazia wstąpiła do sklepu z kwiatami i wróciła z wazonem skromnej białej primuli, potem wstąpiła do owocarni, a wreszcie spytała Walentego:

— A torbę wam Józef dał?

— Dał. Juści wiemy porządek!—odparł.

— Ten cud mógłby się stać na ulicy z lepszym brukiem! — zauważył Andrzej, krzywiąc się, gdy wjechali w głąb Pańskiej.

— O Boże! Rana panu dolega, jakżem nie uważna! Wracajmy!

— Nigdy z pół drogi. Głupstwo, opatrunek się osunął trochę. Mam doktora w domu.

Bruk był coraz gorszy, domy coraz nędzniejsze, wreszcie Walenty stanął przy samym rynsztoku, przed pochyłą bramą, obok której stały dwa drewniane domostwa, pamiętające chyba szwedów w Polsce.

Nad rynsztokiem stało trzech chłopaków i dziewczynka, zajętych wyławianiem z brudnych mydlin pomarańczowych skórek.

Na widok powozu przerwali swe zajęcia, spojrzeli, i nagle wrzasnęli jednym głosem:

— Nasza pani. O la Boga, dyć żyje!

Chłopcy rzucili się z tym wrzaskiem w bramę, wpadli na stróża, rozległo się energiczne „psia krew“, i już na podwórku pisk głosów.

— Ludzie, rety, nasza pani przyjechała!

Dziewczynka pocałowała Kazię w rękę, stróż pokłonił się jej czapką do kolan i machnął miotłą mydliny z rynsztoka, a potem uśmiechnięty, wziął z rąk Walentego dużą skórzaną torbę i ruszył przodem.

Kazia wysiadła, pogłaskała dziewczynkę po głowie, dała jej piękne, czerwone jabłko.

— Braciszek zdrów? Cóż u was słychać?

— Tatuś na mieście. Mama pierze. Wczora tatuś strasznie Józia obił, recytowała idąc obok niej.

Za bramą było podwórze, otoczone ze wszech stron odrapanemi, nędznemi domami, z których w tej chwili wysypała się ciżba ludzi, dzieci przeważnie i kobiet, ubogich, nędznych, jak to ich otoczenie.

Po za oknami widać było twarze tych, co zejść nie mogli, pracą zajęci, a cała ta szara masa szła ku Kazi, otaczała ją, ogarniała, wi-

tała, jak dobrze znajomą, z okrzykami dobrodusznej, szczerej radości.

Andrzej znał w fabrykach tę czerń, ale znał ją, albo pokorną i nieufną, albo zbuntowaną i zuchwałą, znał te twarze zniszczone przedwcześnie nędzą, albo cyniczne zepsuciem, znał milczenie ponurego poddania, lub pomruk głodem rozjuszonej bestyi, znał ich pijanych, znał fałszywie pochlebnych, ale to, co widział teraz, było dlań zupełnie nowem.

Kobieta, ledwie odziana, z rękoma obnażonemi po łokcie i białemi od mydlin, z twarzą szeroką, czerwoną, typowa, wesoła mazurka z zadartym nosem i siwemi wesołemi oczami, widocznie rej wodziła, i była adjutantem Kazi, wśród tej armii maluczkich i biednych, bo dotarła pierwsza do „pani“ i śmiejąc się wołała:

— A widzicie! Nie gadałam: Pani do nas się zjawi, co miała nas porzucić! O la Boga, a oni co pletli, a umarła, a chora, a zabili ją! A widzicie, a widzicie! Żywa i cała! Ja mówiłam: Co wy ta wiecie, jako państwo żyją— mają i oni swoje kłopoty i zajęcia. Cości jej przeszkodziło! Najgorszy ten pies Józefiak! To on gardłował—macie waszą magnatkę, pobawiła się wami, i tyle ją będziecie widzieć.

Tu chłopcy roześmieli się chórem, a jeden najśmielszy zawołał:

— A pani Tomaszowa mu za to w pysk dała, a on tak zgłupiał, tak zgłupiał, że i nie oddał.

— Oddałby mnie!—krzyknęła Tomaszowa, czerwieniejąc. A tobym tę chuchrę ostudziła!

— Była ci frajda, była! chychotali chłopcy.

— To Józefiak znowu bez roboty?—spytała Kazia.

— Zwymyślał po pijanemu majstra, to go wyleli! Siedzi to zatracenie w stancyi, na moją niedolę!—odpowiedziałą inna kobieta. Paniusiu złocista, nie karzcie mnie i dzieci za niego!

— Zaraz tam do was wstąpię. A rządca jest?

— Jest!—odparł stróż. Ino Stasiak to już na Bródnie, i Sobieskie gospodarz wyrzucił.

— Rządca!—gwizdnął któryś z chłopaków.

— Zmykajcie!—zaśmiała się Kazia.—Dzieci, są tu jabłka, ale kto pacierza nie umie gładko, niech się na nie nie oblizuje: Ja się z rządcą rozmówię i zacznę egzamin od Ambrozików—słyszysz Wicek, o gołębiach nie myśl, radzę ci.

Dziatwa pierzchła, kobiety przypomniały, że śmiecia pełno po stancyach, śmiecia, o które „pani“ zawsze wojuje, i uspokojone, że Opatrzność ich nie opuściła, wróciły do swych nor, a na podwórku zostali oboje Saniccy, stróż, Tomaszowa, i zbliżył się ku nim garbaty, mały

jegomość, którego Kazia pozdrowiła, jak dobrze znajomego.

— Dzień dobry, panie Wierzbicki. Dobrze, żeście Sobieskich się pozbyli, zakała to była domu. A proszę o listę zaległości komornego.

Jegomość stanął przed nią, pocałował ją w rękę, a potem oczy zamknął, twarz mu się skurczyła, otworzył usta:

— Kwa, kwa, kwa!—wybełkotał, krzywiąc się i zaciskając pięści z wysiłku.

Andrzej, który się całej scenie przyglądał zrazu trochę zgorszony, potem zdumiony, potem zaciekawiony, teraz poczuł taką potrzebę śmiechu, że parsknął tak szczerze, jak dawno się nie śmiał.

Kazia się obejrzała na niego, i po jej twarzy latało drżenie nerwowe.

— *De grâce, ne me faites pas perdre mon sérieux*—szepnęła prędko i zwróciła się do nieszczęsnego jąkały.

— Ja właśnie pamiętam o kwartale, panie Wierzbicki—i proszę o listę.

— Ale niestety, każdy głuchy udaje, że słyszy; kulawy—radby tańczyć, jąkała — nigdy nie traci nadziei, że będzie Demostenesem.

I Wierzbicki, zamiast odrazu oddać listę, miął papier w ręku, i znowu oczy zamknął.

— Go, go, go...

— Wiem, gospodarz dusi!—podpowiedziała Kazia.

— Ko, ko, ko...

— Komornikiem grozi. Dobrze, dobrze, dziś to załatwię, i kto nie może naprawdę płacić, za tego panu oddam! Żegnam pana tymczasem, bo muszę obejść swą czeladkę!

Pół gwałtem wzięła mu papier z ręki i skinęła na Tomaszową i Andrzeja.

— Pa, pa, padam!—bełkotał Wierzbicki.

— Padam do nóg! — szepnęła, śmiejąc się już swobodnie.

— Przeklęty jąkała!—mruczała Tomaszowa. Co nie dogada, to nadokucza. Do Ambrozików idziem, paniusiu? Dla Julki pewnie wazonik?

Skinęła głową, zwróciła się do Andrzeja.

— Ma pan już dość wizyty?

— Nie! Bawię się i zaciekawia mnie to wszystko. Służę do końca.

— O, to dopiero początek.

— O!—zauważyła poufale Tomaszowa, a ja myślałam, że to mąż pani.

— A dlaczegóż nie?—uśmiechnął się.

— No, bo nie, kiedy pani „pan“ mówi.

— A co wam się zda, kim jestem?

— Juści nic złego, bo nasza pani nie taka, jak to bywają! Z ciekawości pan przyjechał, albo od *Kurjera*.

Kazia szła naprzód po stromych schodach i nic nie mówiła. Na każdem piętrze, we wszystkich drzwiach czatowali na nią ludzie, ale się nie naprzykrzali prośbą, nie zatrzymywali. Wiedzieli, że nikogo nie minie, nikomu czasu nie poskąpi. Patrzali tylko za nią, a w mieszkaniach rozlegało się zamiatanie i sprzątanie, i głosy dziecinne powtarzające jedne przez drugie: „Pod Twoją obronę“, „Dziesięcioro“, „Wierzę“, „Aniele Boży.“

— Huncwoty, andrusy, jakie ci to na jabłka chciwe. A podczas, to kijem nie nagnać do pacierza!—mruczała Tomaszowa.

Na drugiem piętrze spotkali brodatego mężczyznę w obszarpanym paltocie, narzuconym tylko na ramiona. Schodził spiesznie. Zatrzymała go Kazia.

— Dzień dobry, panie Józefiak. Proszę chwilę zaczekać, bo mam do pana interes.

Mężczyzna przywarł plecami do ściany, nie patrzał na nią, twarz miał złowieszczą.

— Spieszno mi, nie mam czasu!—mruknął.

— Pięć minut tylko. Mam wieści o Kurkowskim, parę książek dla pana i polecenie.

Drab nic nie rzekł, ale zawrócił i otworzył przed nią drzwi swego mieszkania. Izba to była zapchana dziećmi i gratami bez żadnej wartości. Na widok męża, Józefiakowa zdumiała. Wyleciał zbuntowany i wściekły, od-

grażając się na „panów“, wracał cichy i pokorny. Rzuciła się do Kazi, podała jej stołek jedyny, dla Andrzeja otarła fartuchem kuferek. Dzieci małe i duże obstąpiły wnet Kazię, a ona gładząc je po twarzach i główkach mówiła do Józefiaka:

— Pan Twardowski pisze mi, że Kurkowski rzetelnie pracuje, zdrów i zadowolony. Mury fabryki już stoją, maszyny obstalowane tu w Warszawie, i lada dzień będą wyprawione. Otóż prosi, żeby mu wyszukać pięciu zdolnych ślusarzy, i wraz z maszynami wysłać. Pomyślałam tedy, że mi pan pomoże i doradzi. Ma pan pewnie kolegów dość rozwiniętych, żeby zrozumieli myśl pana Twardowskiego.

— To każdy, kto nie bydle robocze, zrozumie.

— Więc mi pan takich zarekomenduje. Wie pan warunki i statuta?

— Wiem, kto wolny i sam, to szczęśliwy.

— Pan tak mówi, jakby i tym swoim braciom zazdrościł. Chce pan, proszę jechać razem.

— Pewnie, a co z tem zrobię? Rentę im zostawię na życie, czy potopię w Wiśle!

Wskazał na kupkę głów jasnych u kolan Kazi.

— To już mój kłopot będzie.

— A, bo to prawda! Zresztą, co mają żebrać? niech zdychają ze mną razem!

— Bajesz pan! Ja pierwsza im żebrać nie dam. Dla Władka i Stasia mam robotę, Anusia może już szyć się uczyć.

— A Hela może na guwernantkę!—szydził.

— Hela zostanie z matką niańczyć Jasia. Hela malutka, ale bardzo mądra — prawda? Pochyliła się do sześcioletniej dziewczynki, która najbliżej stojąc, patrzała jej w oczy, przekrzywiając główkę, jak ptaszę.

Otworzyła torbę, wydobyła parę książek, które podała Józefiakowi, potem już więcej nań nie zważając, zwróciła się do kobiety.

— Tu jest dla Stacha kurtka i buty dla Władka. Wyszorujcie ich, matko, należycie i poślijcie z tą moją kartką na Ogrodową do pana Hilda. Dosyć chłopaki bąki zbijać, trzeba wam na ludzi wyjść. Dla Anusi tu jest skrajana spódniczyna i bluzka, zeszyjcie jej to, po niedzieli do szwalni ją zabiorę. A jakże tam komorne, węgiel jeszcze macie?

Józefiak stał, z książkami w garści nieruchomy, ponury. Czapkę miał na głowie, palto na ramionach, po twarzy latały mu myśli bezładne, walka, bunt, wstyd, upór. I stał tak podczas całej rozmowy o kwestyi życia i dachu tych piskląt, które swą nędzę jemu zawdzięczały, i z pod oka patrzył na Kazię.

Załatwiwszy kwestyę bieżących potrzeb, zwróciła się do dzieci, twarz jej się rozjaśniła

prawie dziecinną uciechą. Wzięła delikatnie za ucho Staśka i zawołała:

— A teraz baczność „Ojcze nasz“, zmówi Hela, „Zdrowaś“ Władek, a ty gołębiarzu „Wierzę!“ Niechno mi się kto zmyli!

— „Ocie naś, którzi jeś!“—zaczęła świergotać Hela, zwracając się do obrazka Częstochowskiej.

Józefiak powoli sięgnął ręką, zdjął czapkę, Andrzej powstał z kuferka, chłopcy półgłośnym szeptem wtórowali, Kazia patrzyła na ołowiane niebo za oknem i poruszała ustami, powtarzając serdecznie modlitwę. I była ta izba, jak szary padół ziemi pracowitej i znojnej, na której zakwitł, jakby złocień, ta kobieta—kwiat polny, a nad nią skowrończym świergotem unosiło się ku Bogu malutkiej Heli „Ojcze nasz.“

Za drzwiami czekała Tomaszowa, i na głos pacierza zajrzała także. Józefiak się obejrzał i usunął.

— Wejdźcie—toć was nie zjem!—mruknął.

Kazia rozdawała jabłka i serdeczne słowa, dzieci skakały z uciechy, dumne, że się żadne nie zmyliło, i wszystko żegnało ją, cisnęło się, coś jeszcze opowiadało, i otoczona tą gromadką, wydostała się wreszcie na schody.

Józefiak skłonił się, wyciągnęła doń rękę.

— Liczę tedy na pana—rzekła.

Nic nie odpowiedział, obejrzał się, czy Tomaszowa nie patrzy, i pocałował jej rękę.

Poszli na strych.

Facyatka to była pełna zakamarków, z oknami, jak wyloty olbrzymich armat.

I tu było pełno ludzkiego mrowia, i tu ciasno od sprzętów bez żadnej wartości.

Ambroziak, kaleka o jednej nodze, siedział u warsztatu stolarskiego i rzeźbił w dębinie. Stary jego ojciec mieścił się w kącie ze swą introligatorską prasą i narzędziami, na ziemi siedział chłopak z ogromną głową, miną idyoty i bawił się skrawkami papieru, a na łóżku leżała dziewczyna woskowo blada, suchotnica widocznie.

Ambroziakowa, matka, żona i opiekunka całej tej rodziny, powitała Kazię uśmiechem prawie wesołym.

— Paniusiu złocista, a toć nam się zdały wieki, żeście do nas nie zajrzeli. Myśleliśmy nieszczęście jakie. Cośmy się z Julką namodliły!—Ociec, pani przyszła!—krzyknęła, trącając na drugiem łóżku leżącego mężczyznę.

Ten ociemniały był i głuchy zapewne, bo podniósł głowę i odparł kaszląc:

— Coś, by kwiecie czuć!

— Gorzej mu?—rzekła Kazia, podając chorej dziewczynie wazonik kwitnący.

Podeszła do warsztatu, przywitała rzeźbiarza, spytała starego introligatora o robotę, spytała o Wicka, czy nie spsocił co u majstra, o Kazika, czy mu się ręka zgoiła, dała jabłko idyocie, i wreszcie zawołała Andrzeja, by obejrzał rzeźbę.

— Śliczna robota!—zdecydował szczerze.

— Udała mi się! uśmiechnął się uradowany Amrozik. To do ołtarza, proszę pana, do Kapucynów, cały dębowy będzie, to słupek około cyboryum. Odpryskuje mi tylko, psia krew, dębina.

— A nie klnij, poganinie!—upomniała żona. A jeszcze o ołtarzu mówiąc.

Podała zydelek Andrzejowi, spojrzał nań uważnie. Był cały ślicznie, artystycznie rzeźbiony.

— I to wasza robota!

— A moja. To z tych czasów, kiedy tu jeszcze pani do nas nie wstąpiła; nie było chleba, ledwiem ze szpitala wyszedł, nuda i nędza żarła. Chłopcy coś nie coś zarabiali, ale nas tyle tu kalek. Ani się najeść, ani z głodu zdechnąć, a najgorzej nuda. Ja, panie, bez roboty—trup. Chory, słaby, kaleka, takiego ludzie zdrowe popchną, podepcą, i tyle. Aż tu raz Kazik mi przynosi kawałek olszyny, drugi raz kawałek, trzy ino dłutka miałem, ni warsztatu, ni żadnego narzędzia, bo wszystko szpital zjadł,

ani nie myśleli, że żyw zostanę. Nie śmiem pytać chłopca, zkąd masz drzewo, rozumiem, że ukradł, jak przyzna się, trzeba go będzie sprać, i kazać odnieść, a tu do tego drzewa ręce mi się trzęsą. Zacząłem robić, jakby mi zdrowie i życie wróciło, tenci zydelek jest. Żona mówi, że trzeba go do kościoła dać, bo grzeszny, ale, jak na niego patrzę, to mi się zda, że prędzej rękę dam sobie uciąć.

— Ręki waszej szkoda ucinać, śliczne te wasze roboty—nie rzemieślnicze!

— Jeszcze ja nic tak umiem. Matko—pokażcie panu skrzynkę.

Kobieta dobyła z kuferka mały przedmiot, i przez fartuch podała go szepcząc:

— Ino by pani nie dojrzała, bo to dla niej on to dłubie nocami. Dla pani, co ją nam Bóg dał, jako swego Anioła Stróża. To pańska żona! Oj łaskę pan ma u Pana Jezusa, musiała panu taką żonę matka wymodlić, wypościć. Musi ją też pan miłować, miłować, jako duszę. Dajże wam Boże jasną dolę i zdrowie, i dziatki piękne i jako ona złociste! Józef—opowiedz panu, jako to było z nami.

— A no, jak pan widzi, tylko ja nie miał warsztatu, ojciec prasy, Julka i teść łóżek, Wicek butów, żeby na robotę iść, i codzień „pykawy“ kwakał i kukał, a ziąb był, a głód!

Ot co było, a ot temu trzy miesiące. Wicek bosy poszedł żebrać, co było robić, no—i patrzajcie: Wicek wrócił karetą z panią. Obejrzała nas, pogadała mało-wiele i w mig postawiła nas na nogi. Za czem od nas do innych poszła—takci Wicek dla całej posesyi Opatrzność przywiózł. Karetą, bestya, przywiózł!

I zaśmiał się serdecznie Ambrozik, i ze śmiechu tego oczy mu zwilgotniały, że je rękawem musiał obetrzeć.

Andrzej obejrzał się na Kazię. Siedziała na łóżku suchotnicy, i rozmawiała z nią. Poczuła jego wzrok, i powstała, zaczęła się żegnać. Tomaszowa zabrała książki oprawione, i wyszli, żegnani błogosławieństwem.

— Nieprawda, że to niepospolity artysta i zdrowe, dobre dusze mają wszyscy!—rzekła schodząc na dół. Mój Boże, bogaci czuliby się najnieszczęśliwszymi, obarczeni tylu chorobami i kalectwami, bluźniliby i wyrzekali. Ja Ambrozików tak lubię serdecznie; im się zdaje, że ich wspieram, a to oni mnie krzepią, i są mi dobroczyńcami.

I szli dalej, z piętra na piętro, od nędzy do nędzy, od starości bezsilnej do młodości bez opieki i kierunku, od choroby bez środków leczenia do nałogów nabranych w rozpaczy, wśród bezrobocia i złych instynków, zrodzonych z głodu i brudu, i buntu biedy, ociera-

jącej się co chwila o zbytek, i apatyi, i zezwierzęcenia, i cynizmu.

Gdy obeszli całą prawie posesyę, Andrzejowi się zdało, że jak Dante piekło i czyściec zwiedził.

U Tomaszowej, żony dorożkarza, zakończyli. Tam też Wierzbicki otrzymał swą listę z notatkami Kazi i pieniądze.

Wytrząsnęła całą sakiewkę, zliczyła, zmięszała się, i rzekła do męża po francusku:

— Pożyczy mi pan piętnaście rubli, do jutra?

— *Prenez tout!* — rzekł, wysypując garść złota.

— O la Boga—ile tego!—splasnęła rękami Tomaszowa.

— Cóż? Teraz uwierzycie, żem mąż pani!—zaśmiał się.

— A właśnie, że nie. Dałby ci ta mąż żonie tak zaraz! Oho, prawda, obżera się to o każdy grosz, a na hulankę, to go zawsze stać!

Kazia porachowała złoto, schowała je, i pożegnała Wierzbickiego.

— Pa, pa-padam!—goniło za nimi.

Wsiedli do karety, torba była pusta, konie ruszyły ostro, znudzone czekaniem.

— Przeklina pan w duchu swoją ofiarność. Nie było ani szczególnej przykrości, ani przyjemności, nuda, zaduch, brud, przymus!

— I to w ten sposób spędza pani dnie całe?

— Mniej więcej. W tej mojej kamienicy bywam raz na tydzień, resztę pracuję z Ramszycową. Ona ma szwalnię, ochronę, lecznicę, przytułek dla dziewcząt upadłych i rekonwalescentów, codzień rano zgłasza się do niej rzesza biedaków, których potrzeby należy sprawdzać, jest co robić!

— A wczoraj wieczór omal ci biedacy i protegowani, nie zostali bez opieki. Chciała pani wszystko rzucić.

— Nie rzuciłabym ich dla fantazyi, lub zniechęcenia. Mój Boże, żeby nie oni, czy byłabym tu dotychczas? Dali mi cel, pracę, myśl, zajęcie, wszystko co zdrowe i silne.

Wjechali na Marszałkowską.

— Oni to mój świat, a to jest, było i pozostanie mi cudze, i najcięższym obowiązkiem.

Spojrzała na zegarek, i zatrzymała Walentego.

— Ja tu wysiądę. Mam sprawunki dla domu na dzisiejsze przyjęcie. Dziękuję, panu!

Wyskoczyła, skinęła mu głową i weszła do sklepu, powóz ruszył.

Przed ich domem ujrzał Andrzej Radlicza, który na niego czekał.

— Co to? Nie w Grodzisku? — spytał po przywitaniu.

— Downar mnie nastraszył. Kazał się szanować.

— I gadają ludzie, że cię widziano z żoną na mieście.

— Czy mi nie wolno?

— Ano, nie, bo nie wiedzą, co to znaczy.

— Znaczy, żem był z wizytą u teścia. Mam dość hec z ojcem i kwasów domowych. Chodź na górę, ale cię uprzedzam, że swego „Wrzosu“ nie będziesz oglądać: chyba zostaniesz na obiad.

— To zostanę, jeśli zaprosisz.

— Takeś stęskiony jej widoku! — zaśmiał się Andrzej.

— No, wolałbym więcej jak widok, ale uczę się małem zadawalniać.

Weszli do gabinetu Andrzeja, rozłożyli się wygodnie, zapalili papierosy.

— Barańska leci na ciebie!—rzekł. Dowiaduje się, kiedy do niej przyjdziesz. Co, ładna bestya?

— Ładna, tylko ordynarna i głupia, jak karp. Nie lubię takich.

— To trudno. Takiej Celiny nie łatwo znajdziesz. Było się nie żenić, miałbyś dotąd.

— Myślisz? Ja wątpię, dowiedziałem się wczoraj wielu rzeczy od Markhama. Maks już tam był od roku, tylko ja byłem ślepy. Ostatecznie powiem ci szczerze, odpadła mnie chęć zmywania jednego szału drugim, odurzania się, by zapomnieć. Żałuję swej rozpaczy, bólu, żalu dla takiej podłości i fałszu. Chcę odpocząć i zapomnieć. Zmęczony jestem.

Radlicz spojrzał nań uważnie. Wydał mu się zmieniony, zamyślony, poważny i spokojny.

— Wyglądasz na kandydata do rekolekcyi i spowiedzi—roześmiał się.

— Może znasz amatora na mieszkanie Celiny?

— Młody Goldmark je weźmie dla Klary. Co chcesz za całe urządzenie?

— Dwa tysiące, byle się pozbyć.

— Chodźmy po obiedzie do teatru, spotkamy Goldmarka.

— Dziś u nas *fix!* Nie mogę.

— Nie możesz opuścić *fixu*, u siebie. Człowieku, ty dążysz do samobójstwa, ty gotoweś się zakochać w żonie.

— W czyjej?

— No w swojej!

Andrzej ramionami ruszył.

— Wszystkich po sobie sądzisz! — odparł i zadzwonił.

— Pani wróciła?—spytał lokaja.

— Wróciła.

— Powiedz, że pan Radlicz będzie na obiedzie.

Rozmawiali dalej, i po chwili Andrzej spytał:

— Jakże się skończyło z tym twoim „Wrzosem“. Sprzedałeś Kołockiemu?

— Nie. Przestał mnie napastować, zapomniał.

— Zrobił swoje. Dużo hałasu, skandalik, kompromitacya kobiety, i poszedł dalej. Wyobrażał sobie, że mnie dokuczy. Źle trafił!

Radlicz pomyślał, że i jemu się nie udało. Andrzej nie był na żonę zbuntowany, nie odgrażał się, do domu przyrość był, jakby gotów. Czemże go zjednała?

Lokaj oznajmił obiad. Radlicz zajął miejsce obok Kazi i badawczo jej się przyglądał. Ale twarz jej była jak zwykle pogodna i spokojna, zachowanie swobodne.

— Czy ta kobieta jest z lodu, czy z gutaperki?—pomyślał z głuchą złością i chęcią, by jej dokuczyć, wyprowadzić z tego spokoju.

— Słyszałem, że z zakładu protegowanych Ramszycowej, uciekło siedem panienek—rzekł. Będą panie miały nielada kłopot z odnalezieniem tych zbłąkanych owieczek.

— Wcale sobie tego kłopotu nie zadamy. Gwałtem się nie rekrutuje i gwałtem się nie zatrzymuje.

— Więc to jest zakład istotnie filantropijny. Biedaczki tam restaurują siły i mają utrzymanie w razie stagnacyi w interesie.

— Chociażby! — odparła spokojnie. Chore psy i konie mają też przytułek. Zresztą co do ucieczki owych siedmiu, musiał to pan słyszeć od Wolskich, bo to nieprawda. Kto się z piekła chciał wydostać i wydostał, ten nie wraca.

— Wolskie dziś pewnie będą z narzeczonym!—mruknął prezes.

— Niechno on mnie spyta o posag, odpłacę im za wszystko!—rzekł zajadle Andrzej.

— Czyś oszalał! — zaśmiał się Radlicz, gotów zerwać, a wtedy nie osy będą, ale szerszenie. Ten człowiek wart pomnika obok Zygmunta. Urwie jeden łeb hydrze!

— Żeby tak jeszcze kto tobie łeb urwał!—zaśmiał się prezes.

— To jednak dziwno! — ozwała się Kazia. Nie ma dwóch zdań o Wolskich. Każdy je ma za plotkarki i oburza się, ale każdy słucha ich plotek, powtarza i każdy ich się boi, i każdy ich przyjmuje.

— Ciekawym co innego zrobić, kiedy ich nie można powywieszać!—odparł Andrzej.

— Zgotować duży kocioł wrzątku, nająć nad niemi mieszkanie i zalać! — zdecydował z całą powagą Radlicz. Ręczę, że na taki wypadek niema paragrafu w karnym kodeksie.

— Ale niema też paragrafu na plotki i fałszywe nowinki.

— Nie, to jest kunszt. Szekspir powiada: „farbiarska sztuka niczem jest wobec sztuki czernienia cnoty“—dodała Kazia poważnie.

Obiad się skończył, przeszli do salonu na kawę.

— Dużo osób się spodziewasz? — spytał prezes.

— Około trzydziestu.

— Wyobrażam sobie, coby to był gdzieindziej za rejwach. A ty, ani dbasz, ani się kłopoczesz.

— Ale za to kłopocze się za mnie ciocia Dąbrowska. Co tydzień w przeddzień wpada i biada godzinę: jak ty dasz rady! A ja właśnie daję radę, bo mi nikt w zarządzie nie pomaga, ani się wtrąca. Was dwóch, to jakby jeszcze dwóch gości, ani mnie mustrujecie przedtem, ani krytykujecie potem.

— No, ja Bogu dziękuję, że sam nic nie obrywam —rzekł Andrzej z uśmiechem.

— Co prawda, czasem nawet warto!—uśmiechnęła się, i wyszła do jadalni. Radlicz wstał także.

— Zostań!—rzekł Andrzej. Niech się Wolskie tu zobaczą i niech się wściekną.

— Albo jeszcze więcej rozplotą — mruknął prezes. Dałem za dwa tysiące prezentów i co to pomogło.

— Kaziu!—zawołał Andrzej — czy Radlicz ma zostać, czy nie?

— Naturalnie zostać, jeśli chce — odpowiedziała swobodnie.

— A będę miał z kim flirtować?

— Wśród kilkunastu pań, chyba znaleźć kogo nie trudno.

Radlicz został. O ósmej, sakramentalnie pierwszy dzwonek się odezwał, a w półgodziny potem salon i gabinet były pełne. Nikt nie skrewił. Za wiele mówiono o młodych Sanickich ostatniemi czasy, aby ktokolwiek nie przyszedł osobiście się przekonać, co się stało.

Ale ciekawość nie miała pastwy. Andrzej nie wyglądał na desperata. Przeciwnie był jak rzadko wesół i uprzejmy, prezes promieniał, Kazia, w bardzo ładnej eleganckiej tualecie, bawiła gości, uśmiechała się, opowiadała o chorobie macochy, wypytywała o brukowe nowinki.

Ostatnia, jak zwykle przyszła Dąbska. Spytała, z przyzwyczajenia: „niema tu Julka?“ i nie czekając odpowiedzi, wpadła do salonu, zaczęła witać na prawo i na lewo, i dożeglowawszy wreszcie do wolnego fotelu, zawołała:

— Wiecie pewnie od Kazi ostatnią nowinę?

— Odemnie?

No, przecie to się stało nad tobą, na drugiem piętrze—Downarowie się rozeszli.

— Et, brednie. Zaraz tu będą oboje.

— Nie będą! Ona jest u Orzelskich. To fakt!

— To było do przewidzenia!—zdecydowała tajemniczo mama Wolska.

— Żeby kobiety miały charakter, każda powinna to uczynić! — zawołała profesorowa Kęcka, sławna z tego, że mężowi zostawiła władzę i głos, tylko na wykładach.

— Ach, jakby to dobrze było!—westchnął Radlicz.

— A pan co o tem może decydować—oburzyła się Dąbska.

— Jakto? Mogę! Czy jest istota bardziej zawadzająca, jak mąż.

Dzwonek. Po chwili do salonu wszedł Downar.

— Aha! sam! — szepnęła Tunia tryumfująco.

— Idealnie, tylko ja Downarową ustąpię innemu!—dodał szyderczo Radlicz.

Wszystkie panie utkwiły wzrok w nowoprzybyłym, a on się witał powoli, zatrzymywany wciąż.

— A gdzież pani? — spytała Tunia nareszcie.

— Trochę niezdrowa! — odparł obojętnie, i poszedł dalej.

— Jak ten niedźwiedź umie jednakże blagować.

— I pomyśleć, że w jego wieku i na jego stanowisku jeszcze sobie pozwala! — dorzuciła Wolska.

— Co chcieć! Wiadomy ateusz!—westchnęła stara Markhamowa.

Towarzystwo było w komplecie. Starsze panie skupiły się około kanapy, panowie młodsi bawili młode mężatki i panny, w gabinecie prezesa już wint kwitł. Kazia przesuwała się od grupy do grupy, a ciocia Dąbrowska, patrząc na nią tak swobodną, drżała z niepokoju o kolacyę.

Rozmowy były rozbite, swoboda zupełna, gwar rósł, mięszał się z dźwiękami fortepianu, wybuchał niekiedy kaskadą śmiechów, sprzeczką graczów, przy wintowych stolikach.

W jednym kącie zebrała się gromadka mężczyzn nie winciarzy. Był tam Szpanowski, Feliks Sanicki, Downar, profesor Kęcki, ci debatowali nad społecznemi kwestyami, reszta towarzystwa bawiła się kosztem bliźnich, lub flirtem.

Kazia, której obowiązki gospodyni nie pozwalały zająć się czemś, lub kimś wyłącznie, spoglądała tylko czasami ku ojcu, i uśmiechała się doń zdaleka, a on był pełen zadowolenia i szczęścia, że ją widzi wesołą, panią tych zbytków i przepychu, kochaną i szanowaną.

Ani przeczuwał poczciwiec, ile pod tym blaskiem i świetnością było goryczy, ile w jej pogodzie i spokoju było przymusu i męki.

Radlicz flirtował zawzięcie, i obserwował Andrzeja, który był w świetnym humorze, bawił panie, śmiał się i dowcipkował i wodził oczami za żoną.

I Kazia spotkała go też w jadalni, gdzie wyszła na chwilę z jakiemś poleceniem do służby.

— Służę dziś, jak pocztowy koń! — rzekł z uśmiechem, szukając syfonu na bufecie! Rana mnie piecze, pić mi się chce, głowa boli, ludzie mnie zanudzają — i pytam, poco to wszystko?

— Dla bóstwa, które się światem nazywa— odparła, podając mu szklankę i syfon.

— No nie, dla świata bym się tyle nie fatygował. Chciałem dziś pani dogodzić.

— I dogodził pan. Dziękuję. Ojciec taki szczęśliwy.

— Zawsze ojciec, tylko ojciec. A pani?

— Ja, dziękuję!

— Nie wiele pani zużywa zapału na wdzięczność.

Odwróciła, oczy, zmięszana.

— Nie mogę, nie umiem inaczej! — szepnęła.

— Względem mnie szczególnie—żachnął się.

— Kaziu, rozległ się za nimi głos Dąbskiej. Zaproponuj śpiew Jadzi Wolskiej. Mama Wolska aż kipi, żeby się dziewczę zaprodukowało. Co, to ty tu z mężem flirtujesz? Winszuję.

— A pani ją posądzała o kogo?

— No, chociażby o Bukowieckiego! Ale, panie Andrzeju, czy ten rejent Iwicki przyrósł do winta?

— Przeflancować go do panny Zofii? Zaraz.

— Przepraszam, że wam przeszkodziłam.

Kazia wyszła do salonu, więc Dąbska dodała:

— Zaczynam mieć nadzieję, że będzie jeszcze z pana porządny człowiek. Nawraca się pan, to dobrze. Ma pan szczęście, że pan na taką kobietę natrafił, inna dawnoby pana porzuciła.

— Tak, inna, którаby umiała kochać lub nienawidzieć, którаby miała krew i nerwy. Ale ta! Ruszył ramionami.

— Nie kocha pana, nie szaleje! Dziwna rzecz, tyle pan uczynił, by ją zjednać i zdobyć—zaśmiała się ironicznie.

Z salonu rozległ się śpiew. Jadzia Wolska męczyła „Asrę“ Rubinstejna. Dąbska zatkała uszy.

— Rany Boskie! Czemu to dziewczę nie haftuje, nie maluje, nie robi koronek!—syknęła rozpacznie.

— Dla Bukowieckiego i to dobre! — zaśmiał się.

— Kazia ślicznie to śpiewa—słyszał pan?

— Kazia śpiewa? Nie wiem nawet, zdziwił się.

Wyszli do towarzystwa, przyłączyli się do oklasków i do próśb o „jeszcze cośkolwiek.“

— Doprawdy nie mogę! Nie jestem przy głosie. Fatalna akustyka w tym salonie!—broniło się dość miękko „dziewczę.“

— Oj, co tam! Dobrze i tak! Niech pani rżnie!—zdecydował Bukowiecki. Toć kupę nut pani przyniosła.

— Nie mogę sama akompaniować!

— To ja służę!—ofiarowała się Kazia.

— I ja bym mógł! — mruknął Radlicz złośliwie.

Przyniesiono nuty. Za grzechy żywota pokutował z kolei Moniuszko: odśpiewało dziewczę „Pieśń wieczorną.“

— I ciekawość, po co to się drze! — rzekł Downar do Szpanowskiego. A córka pana, jak skowronek śpiewa, i musi temu akompaniować.

Po kątach drwiono i krytykowano, ale przy fortepianie rozlegały się pochwały i podziękowania, czem podniecona artystka wykonała jeszcze jakąś włoską barkarollę, i oznajmiła, że jest wyczerpana, i, że za wiele dymu jest w pokoju, co fatalnie na głos wpływa.

Kazia wstała od fortepianu, gwar powstał, i nikt oprócz niej, nie słyszał mruczenia Radlicza:

— Jeśli dym na ten głos szkodzi, powiesić ją co rychlej w wędzarni. I jak pani może tym fałszom wtórować! To kunszt dopiero!

— Fałsze słyszę od rana do nocy. Można do tego tu nawyknąć.

Lokaje oznajmili kolacyę, powstał ruch ogólny, zamięszanie chwilowe, szukanie dam do par, i przejście do jadalni. Ciocia Dąbrowska ożyła!

Stół był zastawiony elegancko, pełno kwiatów, kryształów, mnóstwo apetycznych zakąsek.

— Co za śliwki! I o tej porze. Ciekawam co kosztują. Torty za skromne! Muszę Kazi zrobić uwagę na drugi raz! Ale co będzie z bażantami, i ona zawsze lekceważy majonez! Tylko ma talent służbę wymusztrować. Co prawda, to prawda.

Umiała też Kazia dobrać pary, przyznały to jej matki panien na wydaniu, nawet Wolska, widząc obok córek dwóch dawnych kolegów Andrzeja, i stara Zaleska, spostrzegłszy rejenta Iwickiego przy Zośce. Markhamowa stara dostała prałata Bełwickiego i siedziała na pierwszem miejscu. Dąbska miała Radlicza. Na szarym końcu, komenderując wzrokiem służbie, siedziała Kazia z Downarem.

— Otóż i nasze wtorki przepadną! — rzekł do niej.

— O, jak mi ich serdecznie żal.

— Bo, czy taki tłok może być przyjemnością—mruknął. Na biesiadzie, mawiali starożytni, nie powinno być ucztujących mniej, jak Gracyi i więcej, jak Muz. Gromadą ucztują tylko barbarzyńcy. Na te stracone wtorki przyjdę do pani, jeśli wolno. Zagra pani i zaśpiewa dla odyńca!—Sam będę jakiś czas zapewne.

— Żona pańska wyjechała?

— Uhm—wyjechała. Gadają już pewnie, że na zawsze, ale wróci!

Mówił to bez zapału i bez troski.

— Wróci, bo się zaturbuje o domy i kapitały. Wie, że ja tem nie będę się zajmować. Już parę razy wyjeżdżała! Głupstwo!

Umilkł na chwilę i dodał, jakby do siebie:

— Postawili Mickiewiczowi pomnik. A ja nie dałem grosza. Głupiec był! Litwin czysty— i napisał „Trzech budrysów.“ Za to, bodaj mu w piekle Laszki służyły!

— Profesor zatem i Jagiełły w sercu nie nosi.

— Jagiełło odpokutował za życia. Kolega! Zresztą może nie śmieli z niego w oczy drwić koroniarze, kupę Litwy za sobą miał. A że go żona niecierpiała i lekceważyła, za to ją świętą omal zrobili. Poświęciła się, litwina poślubiła, żywcem na męki się dała, nieboraczka! Wiarę mu dała, koronę mu dała, furda przytem szczęście.

— Co to? Chirurg w historyka się bawi?— zagadnął opodal siedzący profesor Kęcki.

— Ot, coś się zgadało! — mruknął Downar i umilkł.

— Nie bawcie się, doktorzy, historyą, bo podobno cholera jest w Warszawie!—rzekł stary Markham.

— Dlaczegoby nie była. Gdzie ośm dziesiątych ludności źle się odżywia, źle mieszka, i źle się odziewa, tam musi być brud, głód i choroby.

— A jednak ta nędza miejska ma urok, bo gromadami zmykają ze wsi! — rzekł Szpanowski.

— Miliony dajemy na dobroczynność, a bieda się mnoży przerażająco! — westchnęła Markhamowa.

— Taka to i dobroczynność.

— Co? Pan twierdzi, że Warszawa mało robi dla ubogich i potrzebujących pomocy.

— Wiele robi, bo tworzy tych ubogich i potrzebujących. Gdzie jest żebrak, to dowód, że znajduje się taki, co za wiele ma. Zuchwały i silny kradnie, słaby i nikczemny żebrze, i tak być musi, bo jest u kogo kraść i u kogo żebrać.

— Boże, jaki ten Downar nudny!—szepnęła Tunia do Radlicza. Na raucie jeszcze o chorobach prawi.

Tu się Bukowiecki odezwał.

— U nas pod Kamieńcem w cukrowni u Markusa Lewi zbuntowali się robotnicy, zatłukli pisarza. A prowodyra widziałem na „wogzalu“ w kajdanach.

— O! A Wołodyowskiego pan też pewnie widział—rzekł z miną naiwną Radlicz.

— Nie—nie znam tego! — odparł bałaguła.

— To pan kawał czasu przespał!

Niektórzy tłumili śmiech, narzeczona sponsowiała, mama Wolska spojrzała piorunująco na malarza, sekunda ciszy, którą przerwał głos panieński, z drugiego końca stołu.

— Pan się na tem nie zna. Suknie „cloche“ już wychodzą z mody.

— Co? Kto ci mówił?—podchwyciła Dąbska.

— U Hersego! Mają już fasony nowe z Paryża.

Rozmowa rozbiła się znowu na pary, tematа, i zlała się w gwar i szum, coraz żywszy, w miarę spożytych delikatesów i spełnionych kieliszków.

Nareszcie ruszono od stołu! Panowie się ulotnili na cygara i papierosy, w salonie damy zabawiały się dość sennie, pozbawione męskiego elementu. Panienki spacerowały po kilka pod rękę, lub udawały, że przeglądają ilustracye.

Był to dla gospodyni najcięższy moment, to też Kazia po chwili zajrzała do gabinetu i spojrzała błagalnie na męża.

Zrozumiał ją, rzucił papieros i jął wyciągać młodszych panów!

Ożywiła się atmosfera w salonie. Opadnięto Radlicza, prosząc o deklamacyę, po kątach flirtowano w przyśpieszonem tempie, starsze panie, syte nowin i wrażeń kulinarnych, marzyły o odwrocie, radcowie żwawiej kończyli robry.

Nareszcie około północy gremialny odwrót, pożegnanie, uściski, trochę zamięszania w przedpokoju z kaloszami i damskiemi kapeluszami,

„moje uszanowanie“, „do miłego widzenia“, „jakże nam było przyjemnie“, „prosimy o nas nie zapominać“, „całuje rączki“, „dobranoc“— i za ostatnim gościem zamknęły się drzwi.

Na schodach jeszcze żywe rozmowy, w bramie chwila mitręgi ze stróżem i „dyskami“ i fala gości wylała się na ulicę do czekających karet, dorożek, lub na piechotę do domu.

— Uf!—odsapnął Andrzej, rozpinając tużurek i rzucając się w fotel. Jakbym cepem machał, takim zmęczony! To ci wynalazek idyotyczny.

— Trudno, kto bywa, musi przyjmować!— zdecydował prezes. Ja miałem bardzo porządną partyę, wygrałem siedemnaście rubli.

— Powinien je ojciec oddać Kazi za fatygę, albo mnie za piękną reprezentacyę.

Mówił to umyślnie, bo znał dziwactwo starego, że o ile na wydatki był szeroki, o tyle wygrane w karty ruble dusił, jak sknera.

Prezes udał, że nie słyszy.

— Ogromnie mi się pić chce! Córuś — dostanę filiżankę herbaty z cytryną?

— Kazia, zajęta porządkami w jadalni, odpowiedziała śpiesznie: dostanie tatko — i dalej gospodarzyła.

— Mogłabyś spocząć nareszcie! — zawołał niecierpliwie Andrzej. Cała ta gromada gości

krytykuje nas teraz i wiesza, a my mamy ich oszczędzać.

— Co mają krytykować. Przyjęcie było porządne, bawili się doskonale!

Kazia przyniosła mu sama herbatę, zatrzymał ją za rękę, spojrzał serdecznie.

— Takaś bledziutka i mizerna. Zmęczone dziecko. Siądź tu przy starym, cały dzień gdzieś latasz, wcale cię nie widziałem dzisiaj. Masz—dam ci coś dla twej hołoty! Złóż rączki.

I wysypał jej na dłonie całych siedemnaście rubli, wygranych w winta.

Andrzej wybuchnął śmiechem.

— Świat się kończy, czy ojciec ma gorączkę?

Spojrzał zdziwiony pytająco.

— Jeszcze nikt, nigdy w życiu nie dostał od ojca tych pieniędzy.

— Bom nie miał w życiu prawdziwego dziecka, to jest córki! Tobie miałem dawać może? Miałeś i tak zawiele na gałgaństwa i głupstwa. No, usiądź, córuś, pogawędź ze starym. Dobry dziś dzień, mogłabyś się do mnie uśmiechnąć i nawet pocałować na podziękowanie.

— Wszystko, co tatuś chce! uśmiechnęła się, objęła go za szyję, ucałowała. Dziękuję za grosze, bardzo w porę przyszły, bo siedzę w długach.

— Pewnie u Salomona Pipermenta, na lichwie.

— — Tak źle jeszcze nie, honorowy dług u męża.

— Ja żonie daję, a nie pożyczam!

— Widzisz, podziękuj i jemu. Twoje drapichrusty będą rychło rentę miały. A ty, Jędrek, nie chcesz herbaty?

— Herbaty?—powtórzył, budząc się z chwilowej zadumy Andrzej—nie, herbaty nie chcę.

— Myślę o tych ludziach, co tu dziś byli, śmieli się, dysputowali, bawili! Czy też który był szczery?

— Był z pewnością jeden. Doktór Downar. Dlategoś go sobie wybrała do kolacyi.

— Tak. To moja flamma jedyna, prawdziwa, o którą właśnie nikt mnie nie posądzi.

— Masz słabość do doktorów widocznie! Zmarszczyła na sekundę brwi i nic nie odpowiedziała, zwróciła się do teścia.

— Tatuś jutro użyje mego towarzystwa, dziś zmykam, czeka mnie jeszcze po tej bitwie obrachunek potłuczonego szkła i porcelany, kwestya intendentury: Dobranoc!

Pocałowała go i wyszła do jadalni.

— Dzięki Bogu—wygraliśmy!—rzekł cicho prezes do syna. Uspokoiła się, i zostanie. W jakim ja strachu byłem wczoraj, wygląda cicha i słodka, ale to cicha woda. Byłem pewny, że

wszystko przepadnie, że wyjedzie. Zlituj się, oszczędzaj ją.

Andrzej milczał.

— Jabym bez niej żyć nie potrafił. A żebyś wiedział, jak pomimo wszystko zazdroszczą jej nam.

— No, mnie nie mają czego, ani ja sam tak bardzo mym losem nie zachwycam się. Ano, mniejsza. Potrzebuję spokoju i dlatego ustępuję. Dobranoc ojcu!

A tymczasem goście nakarmieni i zabawieni, wracali do domu i streszczali wrażenie wieczoru.

— Budujący wpływ ma Downar na Sanicką — mówiła Markhamowa do drzemiącego w karecie męża. Toć podobno oboje należą do kliki tego maniaka Twardowskiego, co zakłada falanstery na Kaukazie, i ona wcale prawie nie uczęszcza na nasze sesye, a polecone tej rodziny ubogie dotąd nie były u spowiedzi. A kto ją wie, może i sama nie bywa! Co człowiek znosić musi dla miłości bliźniego. Muszę ją oszczędzać, bo zupełnie zawojowała prezesa. Zaczepić ją, to stary zamknie kasę dla nas.

— Jaką on wynalazł gdańską szafę! — zamruczał sennie Markham.

— Suknia Sanickiej pewnie kosztowała paręset rubli! — mówiła zawistnie Mania Wolska.

— A co jej to szkodzi? Za swoje nie kupiła. Takie nędzarki jak złapią bogatego męża, tracą i marnują tysiące, jak plewy.

— Zresztą musi się ładnie ubrać do Radlicza. A ten Andrzej ślepy, głupi, bezeceństwo takie toleruje we własnym domu.

— No, i Radlicz skończony szubrawiec.

— Andrzej z nim hula, on nie cierpi tej klępy—rad, że jej nie potrzebuje pilnować. To plotki o tym pojedynku. Celina wróciła, tylko zmieniła mieszkanie, bo prezes tego wymagał.

— Kazia zeszkapiała!—mówiono w kompanii Dąbskiej. No, i Radlicz ją negliżuje już.

— Ona nigdy furory nie zrobi. Nikła jest, bez życia. Za parę lat świeżość straci i będzie kompletnie bez uroku i wdzięku.

— Ta dużo w życiu nie użyje. Niema temperamentu, nie będzie się podobać.

— No, jakoś stary pospędzał do kupy swą trzódkę, Andrzej był wyjątkowo uprzejmy, ciekawym, czy długo z nim będzie spokój!—mówił Feliks Sanicki do żony.

— Wątpię, ona dla niego za poważna i delikatna. Za młoda! Żeby mieli dziecko!—odparła pani.

— Wyśmienite były te kapary. Nie wiesz? kupne?—pytał Dąbrowski, człapiąc piechotą na Chmielną.

— Nie miałam czasu spytać Kazi! Pewnie kupne. Ale majonez u nas lepszy! Bażanty trochę wysuszyli! I torty nie optyczne! Zresztą, udało się. Ale ja zawsze jedno powiem, ona zawiele rachuje na służbę, lekceważy i ryzykuje. Uda się sto razy, a potem może być nieszczęście. Dobrze, że oni bogaci, ale ona powinna bardziej seryo traktować swe obowiązki. Kiedyś pożałuje.

— Ten gałgan w niej się zakocha! Jest na tej drodze, a ona mu wszystko wybaczy, daruje. O naturo, coś stworzyła kobietę, ileś na to zużyła skrawków kwiatów, gwiazd i piasku! A coś nam kazała to kochać, ileś nam w łby nakładła cielęcego mózgu! Kopnąłbym cię i plunął, żebyś nie siedziała we mnie! — monologował Radlicz, wyglądając, w której knajpie jeszcze się świeci.

Downar był już u siebie samowładnym władcą mieszkania, ten jeden nie krytykował, ani myślał o raucie! Zapalił lampę w salonie, otworzył fortepian, uśmiechnął się sam do siebie i począł przebierać jedną ręką po klawiszach, potem zaśpiewał:

„*Lietuwninkaj mes esam gime*“, jakby był na Smolnej. Mścił w ten sposób dolę Jagiełły i Budrysów!

XI

Karnawał był tego roku krótki, więc niezwykle ożywiony, zima zaś była niezwykle ostra, więc węgiel zdrożał. Gazety pełne były sprawozdań z balów i nawoływań o wsparcie, więc tańczono i flirtowano na dobroczynność, na przytułki, na ochrony.

Balowały sfery najwyższe i najniższe, ruch był w mieście olbrzymi, a wieczorem nie było prawie kamienicy, w którejby nie tańczono.

Pewnego dnia o południu Kazia zjawiła się w poczekalni u Downara i przerażona tłumem pacyentów, chciała się cofnąć, ale ją lokaj zatrzymał.

— Pani raczy przejść do gabinetu. Pan profesor zaraz wyjdzie. Zamelduję, skoro ten numer się ułatwi.

— Dobrze, bo mam pilny interes.

Nie czekała długo.

— Proszę wybaczyć, profesorze, moje natręctwo, ale tylko parę słów...

— A niech i godzinę. Odsapnę i ja.

— Pani niema?

— I i i—dawno wróciła, jeszcze przed Nowym Rokiem. Jak te przeklęte gazety roztrąbiły mój dar na szpital, zaraz wróciła, jak mówi, resztę ratować! No, cóż tam u pani słychać. Źle pani wygląda.

— Przepracowana jestem. Karnawał! Odbyłam już siedem balów, czeka mnie jeszcze pięć! Uf!

— Pani to lubi?

— Ja! żachnęła się. Nie rozumiem, jak można bawić się dlatego, że karnawał, lub smucić się dla tego, że post. Ale mąż i teść sobie tego życzą, tak wypada, nie można się wyróżniać, bo co sobie ludzie pomyślą. Prowadzimy dom otwarty, musimy bywać i bawić się.

— Ano tak—rzekł poważnie Downar: *Es erben rich Gesetz und Rechte, wie eine ewige Kranheit fort!*

— A tu mam tyle biedy. Pani Ramszycowa zostawiła mnie na swem stanowisku, miała mi pomagać pani Rudnicka, i pomagała do karnawału. Teraz wprawdzie nie bywa na balach, ale zupełnie mnie opuściła.

— Pewnie, bo się o nią stara młody Goldmark.

— Ej, może to plotki. Mniejsza zresztą, ale zostałam sama do roboty, a tu straszny tyfus panuje. U mnie, na Pańskiej, miałam siedmiu chorych, a najciężej było u Józefiaków. Wie profesor, on pojechał do Twardowskiego, zostawił rodzinę pod moją opieką. Zachorowała matka tego drobiazgu, i najmłodsza dziewczynka, moja faworytka, malutka Hela. Miałam ciężkie parę tygodni, ale wyszły obie.

Uśmiechnęła się radośnie, a on spojrzał na nią, w twardych jego rysach mignęło rozczulenie.

— Niechże się pani starannie dezynfekuje i bierze trochę chininy, jako prezerwatywę.

— Nic mi nie będzie. Żeby się łatwo zarażało, gdzieby byli lekarze. Ale to nie koniec mych bied. Otrzymałam dziś list od doktora Rajewskiego, że wyjeżdża do Kielc, dla ważnych rodzinnych interesów, i że od jutra przestaje odwiedzać nasze zakłady.

Downar pokręcił głową z krytyką milczącą, bo nie chciał na kolegę nic rzec, potem chwilę pomyślał i rzekł:

— Mam dla was idealnego człowieka, ale jutro chyba za prędko. Onegdaj wrócił. Ale tenby pani Ramszycowej dogodził. Człowiek idei i powołania, a że trochę czerwony, to nic nie szkodzi. Ten z wami sercem i duszą będzie pracować. Ukochany był mój uczeń, zdolny,

pracowity... Wrócił i zaraz się do mnie zgłosił. Chciałem go przy sobie zatrzymać, ale, może tamto mu będzie odpowiedniejsze! Dam go wam!

Kazia słuchała, oczu nie spuszczając z niego.

— Jak on się nazywa, profesorze?—spytała głucho.

— On? Bogucki Stanisław.

— Wrócił! — wyrwało jej się, aż Downar oczy podniósł.

— To pani go zna?

— Znam—i—nie dawajcie go nam profesorze. Zresztą on sam nie zechce. Był moim narzeczonym.

— A, a, a!—przeciągle rzekł i głową pokręcił. I pani go opuściła w takiej biedzie! Aaa—to do pani niepodobne. Nie trza było!

A nią wstrząsnął dreszcz i straszny ból zdławił spazmem serce. Pochyliła się, zakryła twarz dłońmi i trwała tak bez ruchu, bez łez, bez łkania.

Downar pożałował swego słowa i sądu.

— Tak mi się wyrwało bez namysłu. Niechże mi pani wybaczy. Jeśli pani to uczyniła, to musiała być racya! No, cóż zresztą, życie płynie.

Ona się już opanowała. Zerwała się z miejsca, przetarła czoło ręką i rzekła głosem zmienionym:

— Profesor ma racyę i prawo sądzić. Winnam! On wrócił, może zapomniał i zmienił się. W każdym razie będzie mną pogardzał. Wolę to, niż gdyby cierpiał. Trzeba mi iść. Mam tyle zajęcia. Życie płynie.

Mówiła prędko, bezładnie, a przez tę chwilę twarz jej się dziwnie zmieniła, oczy wpadły i podkrążyły się ciemno.

— No, już ja pani lekarza wynajdę i jutro go sam zainstaluję, a na miejsce pani Rudnickiej, przyślę pani do lecznicy moją swojaczkę Boufałową: zdrowa, mocna kobieta. Pomoże i wyręczy. Tylko niech się pani nie naraża i nie zamęcza.

Pocałował ją w rękę i przeprowadził do przedpokoju. Tam jeszcze obejrzał jej rotundę, czy ciepła, i dopilnował z ojcowską troskliwością, by się dobrze otuliła i wrócił do swych pacyentów—mrucząc.

— Żal stworzenia! Nadto ma ciężko! Czysta dusza!

XI

O zwykłej obiadowej godzinie zastali Saniccy Kazię prezydującą w jadalni. Andrzej wracał z Grodziska, ożywiony był, wesół, i zaraz na wstępie—rzekł:

— Kupiłem lożę na „Hrabinę“. Markhamowie będą z nami. Ale dziś to jubileuszowe przedstawienie, musisz się ustroić!;

— Idź sam. Radam jeden wieczór wypocząć!

— Po czem? Śmiesznie mało bywamy! Zresztą Markhamom byłoby przykro. Pomyślą, że się boczysz! Odpoczniesz jutro!

— Jakto? Jutro bal lekarzy. Musimy być, obiecałem najsolenniej Morawskim! — zawołał prezes. Przecie masz już na ten bal tualetę.

— Mam! Siódmą w tym karnawale. Tak mi szkoda tych setek, co te gałgany kosztują.

— A mnie nie szkoda. Podobasz się ogólnie!—rzekł Andrzej. No, nie grymaś! Już tylko dwa tygodnie karnawału.

— A zapominacie, że pojutrze ślub u Wolskich! Nie możecie chybić. Byłaby śmiertelna obraza. A teraz bardzo są na ciebie, córuś, łaskawe.

Milczała, ledwie dotykała potraw, czuła się śmiertelnie znużona. Oni tego nie uważali, zajęci rozmową, nowinami, anegdotami miejskiemi.

Wreszcie Andrzej do niej się zwrócił:

— Miałem wczoraj na balu w ratuszu kapitalną rozmowę z Jarłową.

— Z tą siostrą Kołockiego?

— Wdową po starym Jarle! Powiada do mnie, jaka szkoda, że pan żonaty. *Vous medonner l'envie d'essayer d'un beau garçon!* A ja jej na to. *Et vous m'en drnner d'essayer d'une comtesse.*

Prezes się śmiał. Pochlebiał mu ten sukces syna w arystokracyi. Kazia się uśmiechnęła blado, obowiązkowo.

— Bardzo piękna kobieta. Ma profil kamei.

— Jarło jej zostawił półtora miliona!—dodał prezes. Testament był u mnie!

Mówili znowu ze sobą, i przeszli w wyśmienitych humorach na kawę do gabinetu.

— Więc koniecznie potrzebnam w teatrze?—spytała Kazia po chwili. Takbym rada zostać w domu!

— Mówię ci, że Markhamowie się obrażą! Cóż znowu, wielka ci fatyga te parę godzin!— zawołał niecierpliwie Andrzej, i dodał natychmiast:

— Może wolisz koncert „Lutni“? Możemy po nich wstąpić, i zmienić program wieczoru.

— Jabym wolała otrzymać tygodniowy urlop i odwiedzić ojca! — rzekła, wstając leniwie.

— Oszalałaś! O tej porze na wieś! Żartujesz chyba!

— Żartuję, masz racyę. Idę się ubierać!

— No, nie grymaś. Pojedziemy do Górowa na Wielkanoc, gdy sady zakwitną!—rzekł wesoło i dalej ojcu coś opowiadał.

„Gdy sady zakwitną“—powtórzyła w myśli, ale i to wspomnienie, nadzieja wiosny, nie potrafiło jej teraz ucieszyć. W pół godziny potem, już ubrana, schodziła do karety, nie mogąc przezwyciężyć nieznośnej senności i znużenia. Orzeźwił ją nieco chłód, ruch uliczny, łuna świateł w teatrze i dźwięki muzyki.

Teatr był natłoczony i jarzył się od strojów i klejnotów. Nikt nie słuchał uwertury, każdy zresztą umiał ją na pamięć, i każdy tu był, żeby się pokazać, spotkać znajomych, admirować tualety, podniecać się do flirtu, zabawy, rozpusty, tą wystawą obnażonych ra-

mion kobiecych, gorącem, pełnem zapachu perfum i tonów muzycznych.

W tem ludzkiem mrowiu, skupionem ciasno, oświetlonem jaskrawem światłem gazu, wrzały wszystkie namiętności, a królowała ciekawość pusta, zawiść niska, próżność nikczemna.

Lornetki były w ruchu, odnajdywano znajomych, zamieniano spojrzenia i uśmiechy, taksowano brylanty, krytykowano stroje, szeptano skandale, uśmiechano się zjadliwie, lub cynicznie, pokazywano sobie modne kokoty, robiono przegląd karnawałowych panien, szacowano ich posagi, a o uwerturze myślał tylko nieboszczyk Moniuszko w grobie.

Kazia słuchała, co mówiono w koło niej, dorzucała niekiedy słowo do paplania Emilki Markhamowej, sama nie lornetowała, mając z natury bardzo ostry wzrok, a nie czując żadnej ciekawości, patrzała w afisz.

Nagle jakaś siła zmusiła ją do podniesienia oczu.

W krzesłach było morze ludzkich głów, łysin męskich i fantastycznych fryzur kobiecych, mięszało się to wszystko chaotycznie, kołysało, jak fala i pomruk szedł, jak z morza. I w tem morzu ujrzała tylko jedną twarz, jedną głowę

i spotkali się wzrokiem i pozostali oboje bez tchu, jak skuci źrenicami.

— Stachu! — dusza jej mu to rzuciła, bez dźwięku, nie głosem, ale całą potęgą milczącego spojrzenia.

W tem dzwonek na scenie, i nagle światła sali zgasły, szmery się uciszyły, kurtyna się podniosła. Wszystkie oczy zwróciły się ku scenie, i prawie cały teatr miał jedną myśl:

— Żeby prędzej antraktu się doczekać.

Kazia przymknęła oczy, i szczęśliwa się czuła, że nie potrzebuje mówić, słuchać, patrzeć.

Zdało się jej, że huragan, wicher, fale morskie szumią jej w głowie, że ogień ma w piersiach, że tonie, spada w bezdenną przepaść: Wrócił, żyje, jest. Wracają tak ptaki z wyrajów, z za morza! O Jezu!

Z chaosu wrażeń pierwsza, naturalna, wszechpotężna siła młodości i życia zawrzała w niej pieśnią. Stach wrócił, jak wiosna wraca!

Wtem się wzdrygnęła, przerażona.

— Co ci?—szepnął za nią Andrzej. Oparty był ramieniem o jej fotel i doknął był jej ręki.

— Przestraszyłem! — dodał, i z poufałością męża posunął dłoń, aż do ramienia i pozostawił tak.

Uczyniła jej ta pieszczota wrażenie piętna gorącem żelazem, zacisnęła nerwowo zęby, by z bólu nie syknąć, nie zdradzić odrazy. Jemu gorąca fala krwi mignęła w oczach, pochylił się nieznacznie i musnął ustami po szyi. Poruszyła się i usunęła bez słowa, czuła tylko, że jej zimny pot pokrył skronie i w oczach pociemniało.

Markhamowa trącila go wachlarzem i szepnęła z uśmiechem.

— Mógłby pan to czynić dyskretniej! Ręczę, że nawet kapelmistrz widział!

— Ale nawet arcybiskup nie znalazłby w tem nic grzesznego!—odparł podobnież.

— Cicho!—upomniał Markham, stróż form i pozorów!

Akt dobiegał końca, ostatnie tony, brawa, przeciągłe okrzyki, kurtyna zapadła, gaz zapłonął, ruch uczynił się w całym teatrze. Panowie w krzesłach, jedni odeptywali nogi damom, przeciskając się do wyjścia, inni plecami zwróceni do sceny, lornetowali, zamieniali ukłony ze znajomemi, których nie dostrzegli z początku, w łożach wizytowano się. Miejsce Andrzeja zajęło z kolei kilku panów, ostatni Radlicz, który spojrzał na nią bystro.

— Nadwerężył panią szpetnie karnawał. Prawda, że ludzie, jakby się wściekli, tak hulają. Tylko, jakoś amatorów na mężów brak.

Do tego doszło, że mnie, mnie stręczą tę tam milionową Majerównę.

— I bierze ją pan?—spytała ciekawie Markhamowa. Bylibyśmy w sąsiedztwie, oni mają willę pod Grodziskiem.

— Nie biorę, pani łaskawa, bo jestem malarzem na płótnie, a nie na perkalu. Po drugie, ona jest ruda, to typ kolegi Żmurki, nie mój, a po trzecie, zanadto kocham mężatki, i ręczę, że z mędel ich nie przeżyłby mego wiarołomstwa.

Poczęli się przekomarzać z Markhamową, ale Radlicz zarazem obserwował salę i rzekł:

— Jarłowa ma jeszcze przepyszny biust. To jest rasowa szkapa. Postawiłbym na nią w totka, gdyby biegała! Wzięłaby dużo młodszych!

— Panie, bardzo proszę, to nie targowica na Pradze.

— Albo ja mówię, że na Pradze! O co się pani kłóci?

— O szacunek kobiet!

— Niech się szanują, albo im bronię! Może co za to dostaną nawet, na tamtym świecie.

— Pan jest wstrętny potwór!

— Próbowała pani?

— Wynoś się pan!

— Na rozkazy!

Ukłonił się i wyszedł.

24

Kazia nie podniosła już oczu, nie spojrzała tam w krzesła i nie czuła już wiosny i życia w sobie. Niesłychanym wysiłkiem woli była pozornie swobodna i grała swą światową rolę.

Dopiero gdy powstał ruch odwrotu, spojrzała na salę, ale już tam nie było dla niej nikogo, tylko tłum.

Na schodach Markham zaproponował kolacyę.

Spojrzała na Andrzeja ze zgrozą, że przyjmie, że ją jeszcze czeka męczarnia sali restauracyjnej, gorąco, zaduch potraw, i wyziewów trunków, spotkanie znajomych, ale Andrzej się wymówił i rozstali się na placu.

Odetchnęła nareszcie w swym buduarze. Oswobodziła się ze strojów i klejnotów, odprawiła służącą i otworzyła list od ojca, który zastała w skrzynce pocztowej.

Papier drżał w rękach i skakały litery, ale czytała blada z wrażenia, pożerała słowa:

„Moje kochane dziecko, miałem w zeszły wtorek nielada niespodziankę. Wyobraź sobie, Stach Bogucki się odnalazł, wrócił i był u mnie. Zmienił się bardzo, szczególnie duchowo. Zdziczał i sponurzał, mało co mogłem z niego wyciągnąć. Przywitał mnie sztywnie: chorowałem! mruknął i tyle. Nie spytał o babkę, o ciebie, o nikogo, o nic. Siedział zgarbiony ze wzrokiem w ziemi, jak wilk. Chciałem mu zdać

rachunki z administracyi folwarczku. Zaśmiał się, zerwał, papiery zgarnął, i mruknąwszy mi: dziękuję, ukłonił się i wyszedł! Dziki człowiek. Szkoda! Za gorący był, spłonął i popiół został. Stracony. Dobrze, że stara Bogucka nie dożyła tego powrotu!...“

Kazia nie czytała dalej. Zamknęła oczy, odrzuciła głowę na poręcz fotela i jakby zmartwiała.

Wtem skrzypnęła klamka u drzwi i wszedł Andrzej.

— Narzekasz na zmęczenie, a nie idziesz spać! — rzekł, siadając na kanapce. Jakaś ty mizerna. To nie karnawał, ale te twoje dobroczynne bieganiny tak cię męczą! Jak mi tak będziesz marnieć, to zabronię.

Wyprostowała się i rzekła.

— Otrzymałam list od ojca. Przeczytaj!

Wziął do rąk. Zrazu trochę znudzony, przy pierwszych słowach brwi zmarszczył i tak już chmurny doczytał końca. Potem przejrzał raz jeszcze i dziwnie się uśmiechnął. Oddał jej papier, sięgnął do kieszeni i podał jej w zamian kopertę czerwoną, mocno pachnącą.

— A ty przeczytaj to—rzekł, zapalając papierosa.

Było tam kilka słów po francusku, bez nagłówka i podpisu, ale treści tak erotycznej, że zwróciła mu ze wstrętem.

Roześmiał się.

— Zeszły się, jak obstalowane. Wrócił tedy ten twój ideał, a ja mam oświadczyny od Jarłowej. Szkoda, że nie wcześniej. Teraz nie mam ochoty.

Milczała, ze wzrokiem wbitym w ziemię, ze splecionemi na kolanach rękoma.

Trochę urażony tem milczeniem, dodał:

— No, i chyba ty już się ze mną pogodziłaś i losu byś nie zmieniła. Mogę figurować na wystawie inwentarza, jako wzór męża! Gdybyś ty była cokolwiek mniej apatyczna, czuję, żebym się w tobie rozkochał. Tymczasem, zaczynam się z tobą godzić i na razie innej nie chcę. No, rzuć ten list i kładź się spać. Będziesz na balu źle wyglądać.

— Tembardziej idź spać. Czy mam cię zanieść do sypialni?—dodał, wstając.

Zerwała się z fotela i słowa nie mówiąc, wzięła świecę z biurka i wyszła.

Nazajutrz czuła się tak niezdrowa i słaba, że zapragnęła raz pierwszy w życiu leżeć, spocząć. Ale po chwili pasowania się z nieznośną niemocą, wstała, wzięła proszek chininy, orzeźwiła się chłodną kąpielą i poszła do zwykłych zajęć.

— Zaspałaś, córuś! Dobrze, będziesz frisch na bal!—powitał ją prezes.

Andrzej czytał *Kurjera* i rzekł:

— Węgiel znowu zdrożał. Markham się uparł nie robić kontraktu. Teraz nas rżnąć będą, jak sami zechcą.

— A biedacy chyba zmarzną wszyscy!— westchnęla Kazia.—Znowu dziś 12 stopni mrozu.

— Nie wychodź na ten ziąb. Ty się doprawdy napytasz biedy po tych norach i narobisz nam dopiero ambarasu!

— Muszę wyjść chociażby do lecznicy. Toć tam tłok będzie dzisiaj, a doktór się zmienia. Nie wiem jeszcze, kogo mi Downar wynajdzie.

Andrzej coś zamruczał, ale go zwyżka węgla pochłaniała i chciał się o tem z Markhamem rozmówić; spojrzał na zegarek.

— Zastanę go jeszcze na dworcu! — rzekł, kończąc śpiesznie kawę i wyszedł.

Prezes miał jakąś sesyę, także się śpieszył, a wnet potem i Kazia wyszła do lecznicy.

Jak przewidywała, tłok był.

— Doktór jest? — spytała zdziwiona dozorczyni.

— Jest, jakiś nowy, z listem od profesora Downara. List zostawił i zaraz się wziął do roboty. A tak starannie chodzi koło nich, jakby hrabiami byli.

Podała jej list i Kazia weszła do gabinetu, gdzie po konsultacyi załatwiano materyalne potrzeby pacyentów. Rozerwała kopertę:

„Szanowna pani! — Okazuje się, że zaszło nieporozumienie i pomyłka. Mój protegowany, doktór Bogucki, upewnił mnie, że ani narzeczonej w kraju nie zostawił, ani pani zna. Posada i zajęcie bardzo mu się podoba, a że i ja jestem pewny, iż odpowiedniejszego nie sposób znaleść, więc go instaluję niniejszym, spokojny, że ten zaufania nie zawiedzie. Proszę się nie zrażać jego sposobem obejścia; szorstki jest i ponury, ale rzecz swoją zna, a wartość charakteru wynagrodzi brak form. *Downar.*“

Kazia, przeczytawszy, otworzyła drzwi do małego pokoiku biura samej Ramszycowej i poleciła dozorczyni poprosić doktora.

Wszedł po dość długim oczekiwaniu i sztywnie się ukłonił.

— Bogucki! — mruknął, i spojrzał na nią przelotnie.

— Dlaczego pan skłamał, że mnie pan nie zna?—spytała rozpacznie.—Czy pan zapomniał, czy pan się mści, czy pan mną pogardza? Nie zasłużyłam na to. I po co pan tu przyszedł?

— Nie mam przyjemności znać pani. Przyszedłem z polecenia profesora Downara na posadę, która odpowiada moim celom i idei. Czy pani nie życzy sobie, żebym tu pozostał? W takim razie usunę się, tylko dziś jeszcze załatwię pacyentów; to mój obowiązek. Chory,

tembardziej nędzarz, nie powinien czekać do jutra.

Zwrócił się, by odejść.

— Stachu!—wyrwało się jej mimowiedzy.

Zły ogień zapałał w oczach Boguckiego. Taka zaciętość i niechęć, że jęknęła, jakby otrzymała uderzenie bolesne.

— Pani mnie bierze za kogoś innego!— rzekł twardo. — Pytał mnie profesor Downar, czy miałem narzeczoną. Zkądże? Gdybym miał, toby mnie nie opuściła dlatego, że mnie los podeptał, żem był nędzny, słaby, zgnieciony nieszczęściem. Alem ja sam był i sam jestem i sam będę. Narzeczonej nie miałem i mieć nie mogę, bo nie posiadam ni pieniędzy, ni świetnego stanowiska, a przecie mej idei kobiecie nie ofiaruję na zabawkę i poniewierkę! Ale, pani daruje, chorzy czekają!

Stała bez słowa, bez myśli, niezdolna się bronić, domęczona już tym ciosem. On wyszedł!

XII

Tej nocy, po balu, Kazia się ocknęła, jakby ją coś wstrząsnęło, jakby na nią ktoś zawołał.

Otworzyła oczy i starała się zrozumieć, co się z nią dzieje.

Dzwony biły, wiele dzwonów, a biły rozgłośnie, aż ją bolało w głowie od dźwięków i huku.

Na co dzwonią? gdzie? ha, to na rezurekcyę w Górowie. Jest tam Wielkanoc przecie.

Bo wiosna już świta. Rezurekcye i sady kwitną, pachnie jabłoniowem kwieciem i polatują w powietrzu, strącone powiewem ranku, białe płatki, pełno ich, opadają bez szelestu, a dzwony grają. Trzeba iść na rezurekcyę. Idzie wśród sadów na te dzwony, płatki białe padają, ale jakie one zimne, biała już od nich i ziemia, coraz więcej wiruje, to śnieg, zadymka.

Ogarnia ją chłód, dreszcz, zęby szczękają, ale idzie, bo dzwony wołają. To nie dzwony, to młoty w kuźni, co stoi za dworem w Górowie.

I oto ją ogarnia żar kowalskiego ogniska, ale jaki żar, to ona sama płonie, ona leży w żarze. Rzuca się, chce się cofnąć, osłania głowę, ale to ojciec miechem dmie i ojciec ją tak rozpaloną, jak sztabę metalu, kładzie na kowadle, a tłum ludzi jest w koło, ludzi z młotami i te młoty spadają na jej głowę, spadają, walą, tłuką, miażdżą, bolą, bolą, bolą.

Patrzy, kto bije, patrzy, wszyscy są i Andrzej, i Wolskie, i macocha, i Radlicz, i stara Markhamowa i Tunia, a wreszcie widzi nad sobą złe oczy Boguckiego i młot wzniesiony i uderzenie...

— O Stachu! ty nie bij! ty nie bij!—szepce, potem już nic nie widzi, nic nie czuje, nic nie rozumie z rzeczy tego świata.

XIII

Ranek posępny, zimny, ponury, ranek poniedziałkowy po zapustnej niedzieli. Miasto jeszcze śpi po wczorajszych balach, długo spać będzie, nabierze sił na ostatki. W powietrzu wiruje śnieg, patrzą nań z uciechą dorożkarze, z niechęcią stróże i policyanci. Oprócz nich, niema prawie publiczności na ulicach.

Stasiek Józefiak z gromadą kolegów roznosicieli, wylatuje na miasto z *Kurjerem*. Leci chłopak i pogwizduje, jakby na gołębie, a właśnie przed Świętym Krzyżem spostrzega dwa, zapomina na chwilę o obowiązku, gapi się.

— Werfle! Ktości spłoszył, że się to tłucze w taki czas. Ciekawość—czyje?

Gołębie spadły na skwerek przy Koperniku, szukały żeru, spłoszone frunęły na ramię krzyża u figury Zbawiciela, tedy Stasiek tam spojrzał i zaczął czytać świeżutką żałobną klepsydrę.

Czytał, podszedł bliżej, palcem po literach poprowadził, obejrzał się, jakby kogo spytać chciał, spojrzał na zamknięte jeszcze drzwi

krypty, i uspokojony, że nikt nie uważa, zerwał jedną klepsydrę i, wziąwszy nogi za pas, poleciał na Berga. Gnał, ile tchu, Erywańską, przerżnął Marszałkowską, wpadł na Pańską.

Tomaszowa, wyprawiwszy męża z dorożką na miasto, zabierała się do szorowania dzieci, gdy Stasiek wpadł zdyszany, zziajany i wrzasnął:

— Wiecie! Pani nasza umarła.

— Ola Boga! Jezu! Kto ci mówił!

— Ot—klepsydra już u Świętego Krzyża! Czytajcie.

Tomaszowa nie umiała czytać, porwała papier i pobiegła z nim na facyatkę do Ambrozików.

Wtedy Stasiek przypomniał sobie *Kurjera* i chlipiąc, zgarbiony, powlókł się do swej roboty. A na facyatce u Ambrozików była już ciżba i napływało coraz więcej, tłoczyli się wszyscy, całe domostwo tam się zbiegło, mężczyzn, kobiet, dzieci, tłum szary, nędzny, i słuchali Ambrozika, który czytał, jąkając się:

„Kazimira ze Szpanowskich Sanicka, po krótkiej i ciężkiej chorobie zmarła 9-go lutego w wieku lat 23.“

Po tłumie przeszła fala przeciągłego jęku i szlochanie. Ambrozik odchrząknął, bo go coś dławiło w gardle, i kończył:

„Pogrążeni w głębokim smutku ojciec i mąż, zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych

na nabożeństwo żałobne, odbyć się mające w kościele św. Krzyża dnia 11-go lutego o godzinie 11-ej zrana i na wyprowadzenie zwłok w tymże dniu i z tegoż kościoła, o godzinie 2-ej na cmentarz powązkowski.“

Ambrozik skończył, pochylił głowę, w ramiona ją wtulił i tak oparty o warsztat, pasował się z buntem, który mu w piersi rósł, a kobiety wśród łkań i szlochań wołały:

— O Jezu, o Panienko Najświętsza, jakże my tak zostaniemy! Umarła! 23 lata! Toć chyba Boga niema, żeby taka umierała! Toć temu dziesięć dni jeszcze była! Tak się cieszyła, że u Józefiaków pozdrowieli. Nad Helą małą siedziała. Co jej się stało! Jako mogła zamrzeć! Jak nam ją Bóg mógł zabrać! O Jezu, o Jezu!

— Sądzono nam zginąć!—ozwał się ponury głos męski.

— Chyba ją zabili!—wybuchnęła Tomaszowa. Ja polecę do ich kamienicy! Takie państwo, a toćby ją z choroby odratowali.

— Matusiu, żebym ja choć ją raz jeszcze w trumnie zobaczyć mogła, moją złocistą!—szeptała Julka suchotnica.

— Zobaczysz ją w niebie, nieboże. Nie przyjdzie już do nas! Jezu, Jezu! Zabrał ją Bóg, jak anioła. Ludzie, chodźmy za nią pacierz zmówić, a juści, i na Powązki za nią pójdziemy!

— I tamci z nią chyba zostać odrazu, bo i po co wracać! — jęknęła Józefiakowa, która ledwie się zwlokła z choroby. I Helę jej zaniosę! Jako ją odratowała, to niech ją ze sobą zabierze.

— Chodźmy do Świętego Krzyża!

Śnieg sypał coraz gęściej, kobiety ruszyły gromadą, pomimo perswazyi sąsiadek, wlokła się też Józefiakowa, z jakąś zaciętą rozpaczą. I niosła Helę, otuloną w chustkę, i ledwie szła, a gdy się dowlekła, tamte już wracały i sama znalazła się w krypcie. Pusto było i mroczno. Ruch uliczny się budził, ale nikt do umarłych nie szedł, boć karnawał żywych zajmował. Józefiakowa upadła na kolana!

Wysoko, wśród całych gajów roślin cieplarnianych, stała metalowa trumna, katafalk pierwszej klasy kosztował setki, imponował, ale Józefiakowa patrzała nań ponuro! Był to grób jej dzieci, jej doli, jej całej przyszłości. Nie modliła się, poczęła tej umarłej się skarżyć, wyrzucać, a wreszcie, znękana ostatecznie, zaniosła się rozdzierającym płaczem i łkała malutka Hela, nie rozumiejąc, co się stało, i chyba po przez światy duch Kazi ten płacz musiał słyszeć.

— Co wam, kobieto? Czego tak płaczecie? Ktoś dotknął ramienia Józefiakowej. Obejrzała się, jakiś pan stał nad nią.

— Po mojej pani płaczę—wyjąkała.

— Służyliście u niej?

— Nie, ona ci nam służyła! Pan nie wie! My z Pańskiej ulicy! Nas tam zostało może ze stu ludzi, a wymarnieją bez niej. I po co ona mnie z tyfusu wyratowała i tego robaczka, po co się cieszyła, jak dziecko ożyło z gorączki. A sama od nas poszła! Jakie prawo miała nas rzucić! Chyba Boga niema na świecie!

Mężczyzna popatrzał na trumnę i długo stał nieruchomy.

Kurjera już przeczytali ludzie, coraz wchodził do krypty to lokaj wygalowany, to chłopak od ogrodnika, to posłaniec, kładł każdy wieniec u stóp katafalku i wychodził spiesznie.

— Zaprowadźcie mnie do siebie! — rzekł wreszcie mężczyzna do Józefiakowej. Pani mi was poleciła. Chodźcie!

U progu skinął na dorożkę, ulokował kobietę, pojechali. I szedł za nimi duch Kazi i słyszał w sobie Bogucki jej głos cichy i słodki:

— Stachu — umiłowałam w życiu ciebie i twoją ideę. Teraz ci ich oddaję, tych moich, serdecznie moich. O Stachu, koili mi oni tęsknotę po tobie, byłeś ze mną przy nich! Takci i tobie będzie. Nie szukaj mnie wśród tych wieńców i nie idź za tym prochem moim na Powązki! Ja tam nie będę, ja z tobą, Stachu serdeczny, wśród nich zostanę!

XIV

Kurjer był już rozniesiony. Czytał go Wolski, pijąc samotnie kawę. Żona i córki jeszcze odsypiały jakiś balik. Zbudził je bez ceremonii wołaniem:

— Słyszeliście! Awantura! A toć Andrzejowa umarła.

— Nie może być? Kiedy?—ozwały się senne głosy.

— Wczoraj. Już jest nekrolog. Pogrzeb we wtorek.

— Ile miała lat? Zkąd pogrzeb!

Rozbudziły się nowiną. W negliżach zeszły się do jadalni, czytały wszystkie.

— To się biedaczka wybrała w same zapusty!—westchnęła mama. Ależ zgasła prędko. Prezes się okropnie zmartwi.

— No i Andrzej był onegdaj okropnie przybity, gdym tam wstąpił po wieści.

— Et—co tam Andrzej! Zobaczycie, że go Jarłowa złapie.

— Będziemy, mamo, na pogrzebie?

— A jakże, i na nabożeństwie! Trzeba odświeżyć czarne suknie.

— No, to nasz wieczór u Sobolskich przepadł.

— Ano, chyba nie wypada!

— Co by to jej było szkodziło umrzeć w Popielec.

— Wypada wianek posłać?—bąknął Wolski.

— Zapewne—wszyscy poślą. Cóż robić! Nie można się wyróżniać! Trudno—kilkanaście rubli to będzie kosztować, ale dla starego trzeba to zrobić.

— Żeby choć śnieg nie padał we wtorek. Masę osób będzie na pogrzebie pewnie.

— Wątpię—zła pora.

Wolski westchnął i wstał.

— To ja wianek zaraz poślę.

— O kwiaty mniejsza, tylko na wstęgę nie żałuj. Każ wydrukować... zamyśliła się i dodała—najmilszej krewnej—od Wolskich...

— Ach!—co za cios dla Sanickich!—zawołał stary Markham, przy czytaniu *Kurjera.*

— Co? Umarła biedaczka! Już! Co prawda, od pierwszego dnia choroby, doktór Morawski najgorzej wróżył. Wojowała i dowojowała się. Dowiedziona rzecz, że się zaraziła tyfusem u jakichś swoich protegowanych! Co za nieostrożność! Bywała wszędzie, mogła nanieść nam wszystkim zarazy. Łaska Boska jeszcze. No, teraz Ramszycowa znowu sama zostanie. Downar do niej telegrafował, bo jak się ta biedaczka położyła, chaos tam zapanował. Żadnej u nich organizacyi niema!

— Biedny prezes, tak ją kochał.

— Biedny! Andrzej już zaczął latać za Jarłową, teraz jeszcze bardziej się zadurzy! A ta mu domu nie umili na starość, o nie! Szkoda starego. Trzeba wianek posłać i być na nabożeństwie. Na Powązki damy karetę Guciowi z żoną!

— Jezu Marya! Kazia umarła! — wrzasnęła Dąbska do pierwszej z kuzynek, które się ukazały tego dnia. Była rzetelnie zmartwiona, więc choć już było około pierwszej, jeszcze nie zaczęła tualety, ani domowych porządków. Kuzynki jej przeczytały nekrolog, przyszły po szczegóły.

— Tyś miała odwagę tam chodzić w czasie choroby! To strasznie zaraźliwie!

— Ano—byłam codzień! Ja i Dąbrowska stara!

— Bardzo cierpiała? Mówiła co?

— Nic! Siedem dni nie otworzyła oczu i ust! Nic nie słyszała, ani rozumiała! Mówię wam, okropne było. Doktorowie powiadają, że musiała już od tygodnia mieć tyfus i tak go przechodziła, dlatego i nie było już ratunku. Dyszała tylko i czarną była od gorączki, ale na nic się nie skarżyła, tylko wczoraj poczęła rękami pościel szarpać! Biedactwo!

— A ksiądz był?

— Był onegdaj! Podobno, gdy do niej przemówił, otworzyła oczy i poruszyła ustami, ale głos nie wyszedł z gardła, tylko się jakby uśmiechnęła!

— Biedactwo! — powtórzyły wszystkie. Że też tylu doktorów mieć mogli i nie uratowali.

— Było pięciu! Prezes od zmysłów odchodził.

— A Andrzej?

— Andrzej był jak odurzony. A przytem wściekły na tę jej nędzę protegowaną. To oni ją zabili, tam się zaraziła—mówił! Powyduszałbym to, jak robactwo. Niech mi się ośmielą pokazać! Żal mu jej było, naprawdę żal!

— A Radlicz co? Dowiadywał się?

— To jest narwaniec!—spotkałam go onegdaj.—Wie pan — powiadam—że z Kazią bardzo źle.

— Źle, odpowiada, a może dobrze. Ukochani przez bogów umierają młodo! Zresztą, proszę pani, na bruku się wrzosy nie hodują! Fiut, stróż miotłą w rynsztok zmiecie, kwiaty zawsze tak kończą! Powiedziałam mu parę słów prawdy, ale, czy który artysta ma sumienie!

— Jutro pogrzeb?

— Jutro! Strasznie mi nie na rękę, bo mam masę roboty! Biedactwo!—nie użyła ostatków. Telefonowałam do Julka, żeby wieniec posłał, najdroższy jaki jest! Ogromnie ją kochałam!

XV

O zmroku wprost z dworca przyjechała Ramszycowa i zadzwoniła do Sanickich.

Po twarzy służącego domyśliła się prawdy, spytała o prezesa.

— Leży chory.

— A młodszy pan?

— Wyszedł z panem Szpanowskim.

Ramszycowa rzuciła kartą i poszła na górę do Downara. Tam przedewszystkiem spytała, czy pani jest, a na odpowiedź przeczącą, weszła bez meldowania do gabinetu, wołając.

— Powiedzcie mi, gdzieście byli i co warta wasza głupia nauka, żeby jej dać umrzeć!

Downar siedział w fotelu u biurka, a w cieniu w kącie był ktoś jeszcze.

Downar powstał i powitał ją i za całą odpowiedź ramionami tylko ruszył.

— Nie chciałam wierzyć, żeby ona, tak młoda, tak silna, tak zdrowa, mogła tak zgasnąć! To straszne.

— A może jeszcze bardziej niepodobna, że tak długo żyła! Lepiej jej teraz! Czy to szczęście kilkadziesiąt lat umierać, bo co innego jest życie? Ale teraz nie znajdzie pani łatwo takiej do pracy towarzyszki. Żeby taką nasz brat Laszkę dostał pod Rosienie, toby inaczej szanował i pilnował, ale dla tutejszych za dobrą była! Trzeba było zamęczyć dla dogodzenia karnawałowi. Jeszcze niejedna przyjaciółka w duchu jej złorzeczy, że popsuła pogrzebem ostatki. Kukły!

Ramszycowa usiadła i zadumała się.

— Nie marzę nawet, by ją ktoś w mem sercu i uznaniu zastąpił, ale żywi żyją i trzeba o nich myśleć. Ostatni od niej list miałam, że doktór Rajewski nas opuścił! Mała szkoda, niecierpiałam go, ale musimy szukać zastępcy.

— Ona pani już i tego kłopotu oszczędziła. Sama wybrała zastępcę. Ot, tu jest właśnie kolega Bogucki! Od dziesięciu dni już ordynuje.

Ramszycowa spojrzała badawczo nań. On się milcząco ukłonił, a Downar dodał:

— Dziś, właśnie przed chwilą, mówiliśmy z nim. Dziwak jest, stawia warunki.

— Jeśli pana Boguckiego wybrała pani Sanicka, z góry na nie przystaję!

— Będzie pracował miesiąc w pani zakładach na próbę! Jeśli pani dogodzi, chce dostać odrazu dziesięć tysięcy rubli!

— Rozumiem! Instalacya i małżeństwo!

— Nie pani. Będzie mieszkał przy lecznicy, jeden pokoik mu wystarczy i żenić się nie myśli. Ma dużą, bardzo liczną rodzinę! To dla nich.

— Powtarzam, jeśli pani Sanicka na to się zgadzała, ja przystaję.

— Pani Sanicka tego chciała! — rzekł poważnie Downar. A ja pani za tego kolegę ręczę, jak ojciec za syna.

— Będziemy tedy razem pracować! Tylko już jej nie będzie z nami!—westchnęła Ramszycowa.

I jej, tak trzeźwej, zmętniały na chwilę oczy, a nie rada temu, zerwała się, uścisnęła w milczeniu dłonie obu mężczyzn i wyszła.

Żeby nie mąż, zapomniałaby zupełnie o wieńcu.

. . . .

Nie miała Kazia szczęścia do końca. Nawet jej pogrzeb dał Warszawie powód do krytyki i wyrzekań. Bo śnieg walił od południa, formalna zadymka.

Z jej racyi niszczono tualety, z jej racyi musiano najmować karety i przepłacać dorożki, bo o pieszej wędrówce, choćby do pierwszego rogu, mowy być nie mogło, a wszyscy ubolewali nad Andrzejem, który iść musiał za karawanem.

Ale pogrzeb był wspaniały, to przyznano jednogłośnie, musiał kosztować tysiące, ale o ileby był efektowniejszy w pogodę!

A tak pieszo szła tylko hołota, gapie zapewne i rzezimieszki. Ale zkąd się tego tyle nabrało na ten psi czas. O pierwszej już tłum był przed kościołem, tłum źle odziany, może dlatego obojętny na śnieg i ziąb. Zapchał chodnik, wylał się na ulicę, otoczył mrowiem karawan, tamował ruch tramwajów.

Nareszcie ustawiono trumnę i pogrzeb ruszył.

Szedł za karawanem Andrzej i Szpanowski i to mrowie szare, tłum bezimienny, a za nim dopiero karety i dorożki, ale tłumu nie ubyło, i czerń ta doprowadziła Kazię wiernie do kresu życiowej wędrówki. A śnieg wciąż padał, słał jej swe białe kwiaty.

Powązki pochłonęły trumnę i eskortę, a po niedługim czasie zwróciły żywych. Tłoczono się u bramy, siadano napowrót do powozów, mówiono już o potocznych sprawach. Markhamowie młodzi ustąpili swej karety starym Dąbrowskim, wracali dorożką.

— Szczególne, co się z Tunią stało?—dziwiła się Emilka.

— A oto dopiero jedzie!—zaśmiał się Markham. Zatrzymali się. Jednokonką jechała Tunia, zasapana i zziajana, jakby sama ciągnęła wehikuł.

— Rany Pańskie! Gdzie Julek—wołała.

— Pojechał z Andrzejem karetą.

— Macie państwo, a ja się spóźniłam, bo chciałam razem jechać! Czekałam na niego, telefonowałam na wsze strony. Ano, siadam z wami, już biedaczce naprawdę nic nie pomogę. A wianek nasz widzieliście? Opowiecie mi, kto był? A mowy były? Jakże? Płakał kto? A Ramszycowa dała wianek? Tak żałuję, żem się spóźniła, ale to Julka wina. Tak się spieszyłam, nawet nie karbowałam włosów. Co prawda, na tę pogodę, ani uczesania, ani tualety nikt nie zauważy. Jakże Andrzej się zachowywał? Wiecie, już gadają, że ona umarła z desperacyi, że on za Jarłową lata. Nie dam trzech groszy, że się pobiorą. Serdeczny mi żal Kazi. Dobre było stworzenie, poczciwe, ale brakło jej sprytu kobiecego! Nie umiała wyrobić wokoło siebie sympatyi i miłości. Ale, nie uważaliście—Radlicz był?

— Nie. To bardzo niestosowne. I Downara nie było.

— A bo się zaraz po śmierci przemówili ostro z Andrzejem i zerwane stosunki! A wiecie, z kim zaręczona Majerówna?

Rozmowa przeszła na temat wspomnień karnawałowych. O Kazi nie było wzmianki. Żywi wrócili do żywych i życia.

Następnej jesieni nad grobem stał posługacz cmentarny i robotnik od kamieniarza, brał rozmiar na nagrobek. Rozmawiali sobie przytem, ćmiąc papierosy.

— To mąż pomnik stawia?

— I, i, i, gdzie zaś! Jakiś stary, siwy! Ojciec pewnie. Bogaty! Siedmset rubli płaci!

— Aha—to ten, co wczora był na mogile, kazał ją oprzątnąć. Tylem miał dochodu!

Kamieniarz trącił nogą szkielet bukietu, jakieś badyle suche.

— Przecie ktoś maił?

— Nie widziałem, kto. Miotłę ci jakąś przynieśli. Wziął do rąk badyle i roztarł je w palcach.

— Wrzos leśny żadna parada. Za dziesiątkę dostanie! Ktości na ofiarę nie zbankrutował. A ja, tom grosza nie dostał.

KONIEC.